

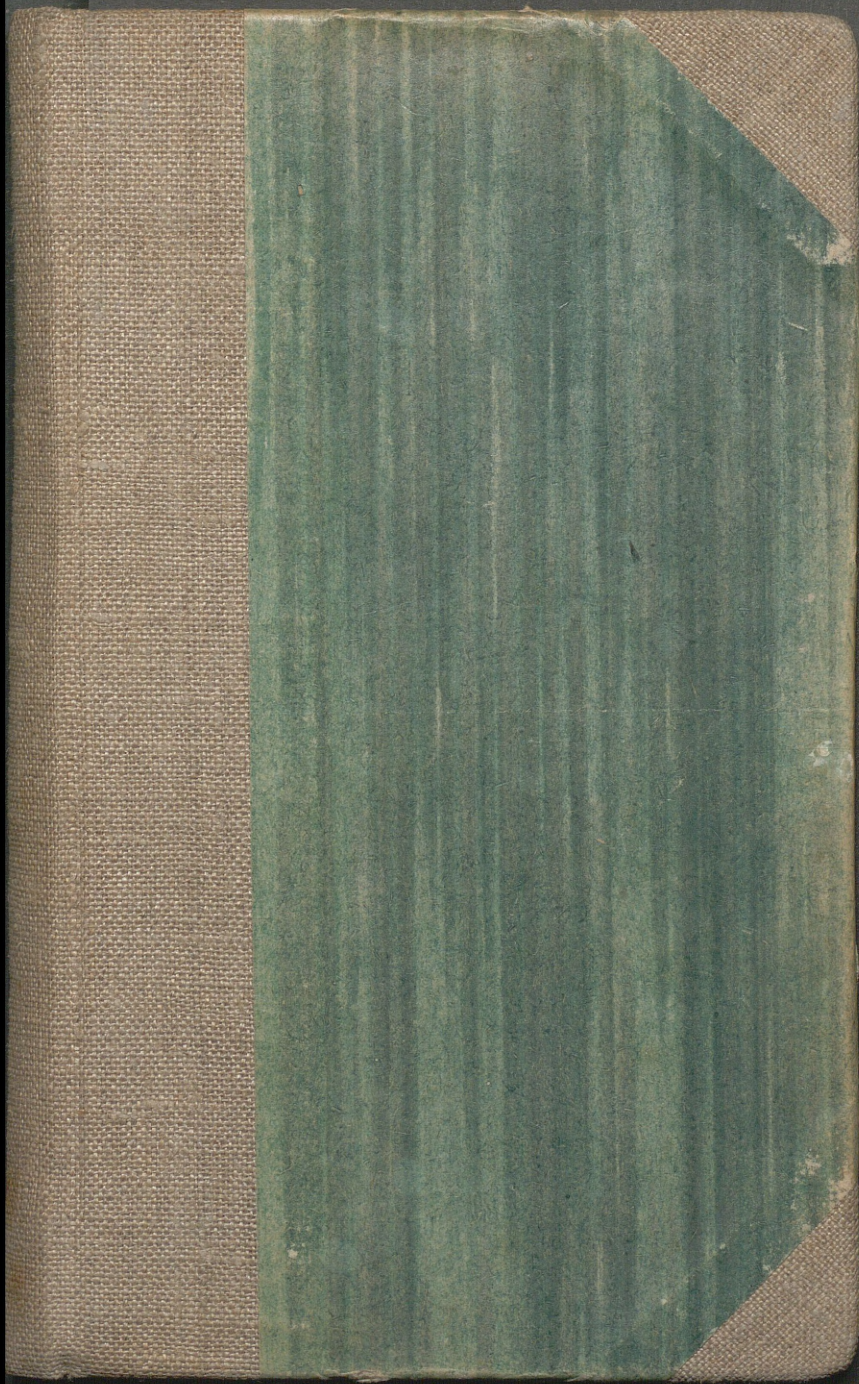
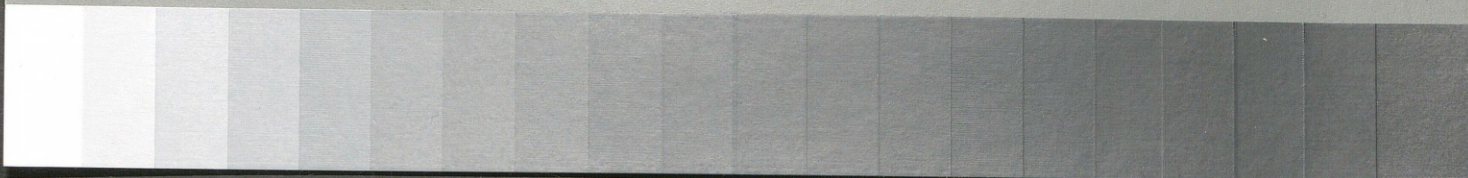


Grey Scale #13



DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

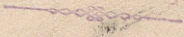




EDZISŁAW LINDEMAN

ADWOKAT

ul. Traugutta (Długa) 40.



WSPOMNIENIA
SIERŻANTA
LEGJI CUDZOZIEMSKIEJ



HENRYK SIENKIEWICZ
w mundurze holenderskim.

HENRYK SIENKIEWICZ

6

WSPOMNIENIA
SIERŻANTA
LEGJI CUDZOZIEMSKIEJ

Z PORTRETEM AUTORA



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ——— LUBLIN ——— ŁÓDŹ
KRAKÓW ————— G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC. :

1914

HENRYK SIENKIEWICZ

WSPROMNIENIA

SIERŻANTA

LEGJI CUDZOZEMSKIEJ

Дозволено Военною Цензурою.
Варшава 14-го Октября 1914 года.



Друк. i Litogr. Jana Cotty w Warszawie, Kapucyńska 7.

Pod powyższym tytułem otrzyma-
liśmy rękopis, z następującym listem au-
tora „Quo Vadis“:

Wspomnienia, które przesyłam, wyszły
nie z pod mojego pióra, ale z pod pióra
mego imiennika i krewnego, któremu mło-
dość przeszła na służbie wojennej we Francji
i w posiadłościach holenderskich. Jest to zaj-
mujące i pełne prostoty opowiadanie o legji
zagranicznej w Algierji i o wojnie Holendrów
z sułtanem Aczynu. Z obu tych służb autor
wyniósł liczne odznaczenia honorowe, jednak-
że o swoich czynach wspomina dyskretnie,
kładąc największy nacisk na opisy ludzi
i krajów oraz wojennych zdarzeń, dokona-
nych przez wojska, w których służył. Je-
stem przekonany, że czytelnicy będą czytali
z ciekawością to bijące prawdą i życiem
opowiadanie, w którym przesuwają się i lic-
ne polskie postacie naszych żołnierzy-tu-
łaczów.

Henryk Sienkiewicz.

Pod powyższym tytułem otrzymał
tenże tytuł i następujący list od
księcia „Ogn. Vahia”

Wspominania, które przesyłam, wyszły
nie z pod mojego pióra, ale z pod pióra
mojego imiennika i krewnego, któremu mi-
łość przeszła na ślubie wojennej we Francji
i w posiadłościach holenderskich. Jest to za-
mieszanie i pełne przyzwolenie o jego
zagranicznej w Algierji i o wojnie Holendrów
z sultanem Auzum. Z obu tych słów entor-
wydował liście odznaczania honorowe jednak-
że o ewidencjach wspaniałych wspomina dyskretnie,
kładąc największy nacisk na opisy ludzi
i krajów oraz wojennych zdarzeń, dokon-
anych przez wojska, w których służył. Je-
stem przekonany, że czytelnicy będą czerpać
z ciekawością to bliżej prawdy i życia
opowiadanie, w którym przesuwają się i lic-
nie polskie postaci naszych żołnierzy tu-

Henryk Sienkiewicz

Obrona Belfortu 1870—71. — Niewola w Bawarii. —
Komuna. — Algierja. — Holandja. — Jawa. — Wojna na
Sumatrze w Aczynie.

Wychowany w domu, gdzie tradycje Napoleońskie ze czcią były przechowane, naczytawszy się dzieł Dumasa i wszelkiego rodzaju awantur, z wyobraźnią bardzo bujną, przejęty byłem dla Francji podziwem i głęboką sympatją. To też gdy wybuchła wojna w 1870 roku, marzeniem mojem było służyć w szeregach francuskich i bić się ze zniechędzonym Prusakim.

Nie łatwe to było przedsięwzięcie dla młodego chłopca, niespełna 18-letniego, tembardziej, że z zamiarami swymi kryć się musiałem — wreszcie wyrwawszy się z pod domowego dozoru, naturalnie bez paszportu, przeszedłem granicę, omijając Prusy, i przez Wiedeń a następnie Szwajcarję dostałem się do Francji w S-t Louis.

W drodze do Wiednia, gdzie zatrzymałem się parę dni dla nabycia najkonieczniejszych przyborów a przede wszystkim dobrego rewolweru, nic nie zaszło godniejszego uwagi, oprócz

niejednego kłopotu, wywołanego przez nieznamość zupełną języka niemieckiego

Dojeżdżając do Wiednia, w wagonie zapoznałem się z jakimś sympatycznym Austriakiem, który nieco mówił po polsku; on to mnie objaśnił, że Francuzi zostali pobici pod Wisemburgiem i Worthem, ale był zdania, że te dwie bitwy nic nie znaczą i że wkrótce Niemcy zostaną sromotnie pobici, a Francuzi oprą się aż o Berlin.

Na granicy francuskiej zaskoczyła mnie niespodzianka: nikogo nie puszczano bez paszportu. Kapitan żandarmerji oświadczył, że zmuszony będzie pierwszym pociągiem odesłać mnie z powrotem do Szwajcarii. Tłómaczyłem mu, że umyślnie przybyłem do Francji, aby wstąpić do armji, że jestem Polakiem, że dziad mój był kiedyś podpułkownikiem artylerji francuskiej, a brat mój stryjeczny obecnie służy w wojsku francuskim.

Nakoniec na wielkie moje prośby, poparte przez kilku Francuzów, którzy zajęli się mym losem, pozwolono mi jechać dalej. Z jakąż radością wykupiłem bilet do Belfortu, bo spodziewałem się tam zaciągnąć do wojska, nie przypuszczając ani na chwilę, że znajdę się w rozpaczliwym położeniu, które mogło się skończyć jak najgorzej.

Na stacji ruch ogromny: znać, że to wojna. Do pociągu, którym jadę, wsiada moc rezerwistów Garde Mobile; wszyscy są nadzwyczaj podnieceni, wielu pijanych; wagonów brak; żołnierze siłą zdobywają miejsca, nie zwracając uwagi na pasażerów, pchają się do wszystkich klas; a uniformy ich pozostawiają wiele do życzenia. Znać, że to żołnierz nieregularny.

Wszystko to robi na mnie niemiłe wrażenie, ale pocieszam się tem, że jeszcze nie widziałem prawdziwego żołnierza dzielnego, rycerskiego, jakiego sobie w mojej wyobraźni przedstawiałem.

Nakoniec pociąg rusza, rozlega się wszędzie Marsyljanka.

W przedziale, który zająłem, siedzi naprzeciw mnie cywil, z którym zaraz się zaznajamiam; miły, towarzyski, jak wogóle wszyscy Francuzi, jest on reprezentantem jakiejś firmy, był nawet kiedyś w Warszawie.

Oprócz nas dwóch cywilnych, reszta wszystko żołnierze, jeden drugiemu siedzi na kolanach, my ledwie ruszyć się możemy, taki ścisk. Mój Francuz jest bardzo rozmowny, wypytuje o różne szczegóły, chwali ciągle Polaków, połowę ledwie rozumiem, bo mówi bardzo szybko z nieznanym mi akcentem południowym. Podtrzymuję konwersację, jak tylko mogę, a coraz

to wyglądam oknem, aby przyjrzeć się tej upragnionej Francji.

Z okien, o ile mogę dojrzeć, wsie gęste, ludne bardzo, domki murowane z czerwonymi dachami, otoczone po większej części ogrodami; dużo winnic; wszystko to robi miłe wrażenie, albowiem znać tu dobrobyt.

Od czasu, jak wsiedliśmy do wagonu, zauważyłem, że żołnierze ciągle na mnie zwracają uwagę i szepcą coś między sobą, ale, zajęty rozmową z Francuzem, nie zwracałem na to uwagi, dochodziły mnie tylko wyrazy: „espion prussien“. W wagonie było gorąco; zdjąłem więc z siebie płaszcz i, odpiawszy pas z rewolwerem, położyłem na siedzeniu, a sam dalej wyglądałem przez okno. Po chwili, zwróciwszy głowę do wagonu, widzę mój rewolwer w ręku jednego z Garde Mobile, który manipuluje nim w ten sposób, że lada chwila może wystrzelić. Zwracam się więc do niego, żeby był ostrożny i rewolwer mi oddał.

Naraz powstaje hałas, sprzeczka; rewolweru mi nie oddają i oświadczają, że mnie aresztują, bo jestem szpiegiem pruskim. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie. Na nic nie zdały się moje tłumaczenia. Zresztą wśród Francuzów było takie mniemanie, że kto złym akcentem mówi po francusku, musi być Prusakiem.

Mój towarzysz podróży ujmuje się za mną, lecz to nic nie pomaga, jeszcze więcej ich rozjątrza, a widząc mnie zgryzionego, pociesza, że to się załatwi na pierwszej większej stacji, że wezwie żandarma, to ich do porządku doprowadzi.

Mijamy kilka małych stacji, nakoniec pociąg staje na jakiejś większej. Zdaje mi się, że to była Milhuza. Mój towarzysz wyskakuje z wagonu i przyprowadza żandarma, objaśniewszy go o zajściu; policjant ostro zwraca się do żołnierzy, czyniąc im uwagę, że to do nich nie należy, i każe im oddać rewolwer. Nic to jednak nie pomaga, bo pociąg rusza, a ja zostaję się z moimi prześladowcami. Pytam ich, dokąd jadą. Odpowiadają, że jadą do Belfortu i tam mnie oddadzą w ręce władzy. „No — myślę sobie — to przecież niepodobieństwo, aby mnie tam nie wysłuchano i nie wypuszczono na wolność“. Robię więc dobrą minę, i czekam tego Belfortu.

Nakoniec dojeżdżamy. Żegnam się z moim towarzyszem podróży, bo on jedzie dalej, i chcę wysiadać, ale żołnierze zatrzymują mnie, a jeden z nich zdaje raport jakiemuś oficerowi żandarmerji i wskazuje na mnie. Chcę się tłumaczyć, nie pozwalają. Żołnierze otaczają mnie, kładą na lufy szable-bagnety i prowadzą na miasto.

Godzina już dosyć późna, miasto słabo oświetlone, wiodą mnie kilkoma ulicami. Tak jestem przygnębiony, że na nic nie zwracam uwagi. Nakoniec zatrzymują się przed jakimś dużym gmachem. Patrząc, nad drzwiami napisane: „Prison civile“. Serce mi się ścisnęło.

Ciężkie drzwi się otwierają, i jeden z żołnierzy, zdaje się kapral, oddaje mnie jakiemuś żandarmowi więziennemu, a sami się wracają. Żandarm, widząc mnie tak bardzo przygnębionego, pociesza, abym się nie niepokoił, że dzisiaj zrobić nic nie można, bo już późno, ale jutro kapitan na śledztwie, jeżeli się nic nie okaże, z pewnością mnie uwolni.

Kiedy mu powiedziałem, że jestem Polakiem, jeszcze bardziej był uprzejmy; opowiadał mi, że miał dziadka, który zginął pod Smoleńskiem w 1812 roku. Służył razem z Polakami. Pytał mnie, czy jestem głodny. Z początku odmówiłem, chociaż od rana nic w ustach nie miałem, ale tak nalegał, że nakoniec się zgodziłem.

Wkrótce przyniósł chleba, jakieś mięso na zimno i pół butelki wina. Zostawiwszy płaszcz, abym się okrył, bo noc była chłodna i dżdżysta, powiedział mi dobranoc i drzwi zamknął na klucz. Teraz dopiero, zostawszy sam, widząc

się bezsilnym wobec nieznanego mi niebezpieczeństwa, oddałem się prawdziwej rozpaczycy.

Płakałem, jak małe dziecko. Nakoniec wyczerpany, przytem głodny, posiliłem się nieco, chociaż w gardle to jedzenie mi stawało, wypilem szklanekę wina i, otuliwszy się płaszczem, położyłem się na twardej ławce, a po przejściu tylu wrażeń, zasnąłem snem żelaznym. Dopiero na drugi dzień, kiedy już był ruch na korytarzach więziennych, obudziłem się.

Koło dziesiątej zjawił się mój dozorca żandarmerji i poprowadził przez długie korytarze do biura, gdzie zastałem dwóch oficerów żandarmerji i cywilnego sekretarza. Wszedłszy i ukłoniwszy się, zauważyłem, jak bacznie przyglądają mi się ci panowie, ujrzałem na stole mój mały kufeczek i rewolwer.

Po chwili zaczęła się indagacja. Zarzucono mnie setkami pytań i oskarżeń. Na jedne odpowiadałem, na niektóre nie odpowiadałem, chociaż rozumiałem, bo brakowało mi słów. Potem nastąpiła ścisła rewizja. Przetrząsnięto wszystko, poodpruwano nawet w niektórych miejscach podszewki od ubrania; oficerowie naradzali się między sobą; naraz kapitan zapytuje mnie, czy umiem po niemiecku. Odpowiadam, że nie; oficerowie półszepcem porozumiewają się z sobą i widzę karteczkę z mego pugilaresu w ich rę-

kach; była tam rozmowa w języku niemieckim, potrzebna mi do porozumienia się i jeszcze w Wiedniu podyktowana.

Kapitan pokazuje mi tę karteczkę i pyta się, czy to ja pisałem. Odpowiadam, że tak, widzę, że na ich twarzach maluje się zdziwienie i zapytują mnie: „Jakto? Przed chwilą zapytywałem pana, czy pan rozumie po niemiecku, pan powiedział, że nie, a z tej kartki okazuje się, że pan zna język niemiecki. Co to ma znaczyć?”

Po chwili zjawia się jakiś cywilny i, zamienwszy parę słów z kapitanem, odwraca się do mnie i zapytuje po niemiecku. Zrozumiałem, że pyta, z których stron jestem, ale udałem, że nic nie rozumiem, i odpowiedziałem po francusku: „Nie rozumiem“.

Nakoniec zaczyna mi grozić wielką odpowiedzialnością, radzi się przyznać do wszystkiego i nie gmatwać śledztwa. Tłómaczę jak mogę, lecz z trudnością to przychodzi. Wreszcie oświadczam, że wielu wyrażeń prawnych nie rozumiem, i proszę o tłumacza. Odpowiadają mi, że to będzie trudno, bo nie wiedzą, czy w Belforcie znajduje się tłumacz — w każdym razie poszukają.

Pierwiastkowe śledztwo skończone. Kapitan każe mnie odprowadzić do celi, dodając, że

jeżeli zażądam czego do polepszenia życia więziennego, to na mój koszt żandarm mi sprowadzi. Poprosiłem o papierosy, które mi razem z rzeczami skonfiskowano. Odpowiedział, że to przechodzi jego możność, bo instrukcje więzienne tego zabraniają, ale dopóki jestem w jego kancelarji, to mogę palić — i poczęstował mnie papierosem ze swego porte-cigare.

Za chwilę zjawia się żandarm; sekretarz więzienny daje mu numer celi, i wyprowadzają mnie. Przechodzimy długim korytarzem, aż na drugie piętro; spotykam dużo żołnierzy spacerujących. Jak się później dowiedziałem, byli to żołnierze karani za rozmaite przewinienia dyscyplinarne ośmio, lub piętnastodniowem więzieniem; zamykani byli na noc, a w dzień chodzili po wszystkich korytarzach, rozmawiając wesoło; przyglądali mi się z zaciekawieniem, i znowu usłyszałem to nieszczęśliwe: „Prussien“.

Nowa moja cela była niewielka, lecz czysta; łóżko, wałek pod głowę, kołdra wełniana, stół, dzbanek z wodą — oto całe umeblowanie. Okno bardzo wysoko i grubo okratowane, drzwi bardzo silne.

Znowu samotność i niepewność, co dalej będzie.

Pocieszałem się, że może, gdy tłómacz się znajdzie, jakoś się wytłómaczę; była to słaba

nadzieja, ale sam chciałem się łudzić nadzieją, żeby nie wpaść w ostateczną rozpacz.

Straciłem zupełnie apetyt. Na obiad dali coś w rodzaju krupniku, kawałek mięsa i makaron. Wszystko to nawet nie tak złe było, ale prawie nic nie jadłem. Widocznie żandarm zaprotował to, bo po południu zjawiała się siostra miłosierdzia, a dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, zaczęła mnie pocieszać, żebym się nie oddawał rozpaczy, że ona wie, że Polacy są dobrzy katolicy — trzeba wierzyć w miłosierdzie Boskie, a ona ze swej strony może kogo znajdzie w Belforcie, ktoby się zajął mym losem.

Najciężej dokuczała mi samotność i ta niepewność, co oni chcą ze mną zrobić. Gdybym miał co czytać lub pisać! Obiecano, że gdy śledztwo się skończy i zapadnie decyzja, to dostarczą mi książek i wolno mi będzie przez godzinę codziennie spacerować po korytarzu — ale tymczasem nic.

Po trzech dniach zawezwano mnie znowu na śledztwo. Zastałem nakoniec tłumacza, który zrobił na mnie jak najgorsze wrażenie. Był to człowiek lat około 30-tu, bardzo niepozorny, a przytem tak przerażony, że aż się trząsał. Wystąpił do mnie z pretensjami za odrywanie go od pracy, że on się boi żandarmów, ponieważ

teraz wojna, mogą go także o co posądzić. Mówił po francusku niezłe.

Wytłómaczywszy się teraz ze wszystkich zarzutów, zapytałem kapitana, co myśli nadal ze mną zrobić. Przecież nie na to porzuciłem kraj, rodzinę i wszystko, co mi drogie, aby we francuskim więzieniu siedzieć. Odpowiedział mi, że gdyby komunikacja była łatwa, odesłałby mnie do Szwajcarii, ale teraz nieprzyjaciel się zbliża i zrobić tego nie może, trzeba będzie pozostać w więzieniu do końca wojny.

Na to oświadczenie zdawało mi się, że ktoś mnie młotkiem w głowę uderzył, i łyzy, jak groch po twarzy mi się polały. Widziałem, że to zrobiło na kapitanie wrażenie, bo był to ludzki człowiek; powiedział, że teraz cała Francja zajęta szpiegami, że na mnie ciąży podejrzenie, jednakże może być, że jestem niewinny, ale jego obowiązkiem być ostrożnym. Zresztą może się coś wyświetli, a wtedy będę wolny.

Zrozumiałem odrazu, że te słowa otuchy były podyktowane przez ludzkość, ale postaci rzeczy nie zmieniły i że jakieś nieszczęśliwe fatum ciąży nade mną, niemniej przeto byłem mu wdzięczny i za to. Co parę dni dopominałem się, aby mnie prowadzono do kapitana, lecz zawsze jedną odpowiedź słyszałem, że nic stanowczego powiedzieć mi nie może.

Przechodząc przez korytarze na śledztwo, spotykałem żołnierzy spacerujących, między innymi zauważyłem młodego o twarzy inteligentnej kaprała z Garde Mobile. Ile razy przechodziłem, zawsze mi się kłaniał i mówił: „Bonjour, Monsieur le Polonais!“ Odpowiadałem ukłonem i na tem się kończyło, bo żandarm nie pozwalał rozmawiać, a zresztą czasu nie było w przejściu.

Ciężki mój smutek zaczął przemieniać się w jakąś apatię. Całemi godzinami siedziałem nieruchomy, zdaje mi się, że o niczem nie myślałem.

Kiedy niekiedy zaglądała do mnie siostra miłosierdzia, pocieszała, jak mogła, ale dotąd nic zrobić nie była w możności. Widząc, że jestem mizerny, przysłała mi doktora, który mi oczywiście nic nie pomógł, bo jedynem lekarstwem dla mnie byłaby wolność.

Dzień za dniem tak upływał.

Pewnego dnia dało się słyszeć drapanie do drzwi. Przysunąłem się więc prędko i usłyszałem pytanie, czy chcę papierosa. Naturalnie odpowiedziałem, że tak, i wkrótce przez dziurkę od klucza wsunęła się dutka skręcona, jak gruby ołówek, a w niej troszkę tytoniu na parę papierosów, kilka zapalek i bibułka. Z jakąż radością odebrałem tę pożądaną dla mnie przesyłkę!

Podziękowałem, a po głosie poznałem tego kaprała, który mi zawsze dzień dobry mówił. Na drugi dzień znowu usłyszałem drapanie do drzwi i znowu otrzymałem dutkę z tytoniem, a oprócz tego ćwiartkę papieru i ołówek, oraz następujące słowa:

„Tutaj, w Belforcie, jest porucznik Polak. Nie znam jego nazwiska, ale napiszcie do niego z prośbą o pomoc, a ja się postaram, aby list do niego doszedł. Za godzinę przyjdę i przez dziurkę od klucza mi go podacie“.

W krótkich słowach opisałem moje położenie i błagałem o pomoc rodaka. Upłynęło trzy dni od tego czasu, już zacząłem wątpić, aż tu pewnego dnia wzywają mnie do biura. Schodzę z bijącym sercem; mój kaprał uśmiecha się do mnie i powiada, że wszystko będzie dobrze.

W biurze zastaję, oprócz kapitana i porucznika żandarmów, trzech wojskowych wyższych stopni. Jeden szczególnie zwrócił moją uwagę, z szeroko wyszywanymi złotem rękawami, człowiek lat z górą 50, typowy oficer napoleoński.

Wszyscy byli zajęci ożywioną rozmową. Po kilku minutach jeden z oficerów, młody, z małymi galonami, przystępuje do mnie i podaje rękę.

— Jestem porucznik Zieliński — powiada. — To pan do mnie pisał karteczkę?

Naturalnie, mówi po polsku.

Zawijaże się krótka serdeczna rozmowa. Zieliński jest oburzony i mówi:

— Powarjowali ci Francuzi, wszędzie tylko szpiegów widzą; jakże jestem szczęśliwy, że mogę przyjść panu z pomocą. Skończy się już pańskie prześladowanie, za chwilę będziesz pan wolny, zabieram pana do mojej kompanji.

Dziękuję w serdecznych słowach porucznikowi, on mnie ściska, jak gdybyśmy oddawna byli przyjaciółmi. Moi Francuzi przypatrują się tej czulej scenie i słuchają z uwagą naszej rozmowy. Porucznik objaśnia ich o całym przebiegu sprawy.

Po chwili przysuwa się do mnie pułkownik Keller, podaje mi rękę, przeprasza za doznana przykrość; zaczyna rozprawiać o bohaterstwie i poświęceniu Polaków. Następuje nastrój bardzo serdeczny, wszyscy mnie ściskają, a kapitan żandarmerji przeprasza za swoją pomyłkę, usprawiedliwioną okolicznościami.

Jestem w siódmym niebie. Odrazu zapominam o wszystkich utrapieniach, jakie przeszedłem. Gdybym mógł, skakałbym z radości i wszystkich całował. Żegnam kapitana żandarmerji i w otoczeniu moich wybawców z głową podniesioną, z uśmiechem na ustach wychodzę.

Żandarm w korytarzu saltuje; przed bramą szyldwach prezentuje broń. Zdaje mi się, że te wszystkie honory są dla mnie.

Porucznik Zieliński zabiera mnie do swej kwatery. Zjadamy wesoło śniadanie. (Zapoznałem się z kilkoma młodymi oficerami, a po południu idziemy do kapitana Szustra, kometandanta 8-ej kompanji franc-tireur'ów (wolnych strzelców) bataljonu altkirchskiego. Tutaj czytają mi regulamin wojskowy. Podpisawszy się, że wstępuję, jako ochotnik, na kampanję przeciwko Niemcom, zostaję ostatecznie przyjęty.

Idziemy do magazynu, ubieram się po wojskowemu, zachowuję tylko moje wysokie buty, które uważam za lepsze, niż ich kamasze sukienne. Jako uzbrojenie dostaję szaspot i szablę-bagnet; ładownica i 100 naboji kompletuje uzbrojenie. Kompanja moja, w liczbie około 180 ludzi, składa się przeważnie z Alzacczyków — połowa prawie z wysłużonych żołnierzy.

Ja tylko i porucznik jesteśmy cudzoziemcami; zaprzyjaźniam się zaraz z młodym, jak i ja, chłopcem, sierżantem-furjerem, nazwiskiem Adam. Jest synem weterynarza. Bardzo miły i wesoły chłopiec. Rodzice jego mieszkali w Belforcie.

Na drugi dzień zaczyna się służba, dwie godziny rano i dwie po południu mustry, której się uczę z łatwością.

Po dwóch tygodniach znam wszystkie niezbędniejsze obroty i z bronią umiem się obcho-dzić. Na długie uczenie nie było czasu, bo Niemcy zbliżają się pod Belfort i komunikacja jest przerwana.

Czas zaprzestać opowiadania o sobie i za-poznać czytelnika choć pobieżnie z Belfortem, jego siłą obronną. Belfort, miasto niewielkie, kulkotysięczne, położone na wschodzie Francji, blisko granicy szwajcarskiej, za całą obronę miał zamek, t. j. rodzaj cytadeli, wykutej w skale i dominującej nad miastem.

Kiedy wojna wybuchła, forty naokoło Bel-fortu były jeszcze niewykończone, dopiero puł-kownik Denfert, komendant inżynierji, do stanu obronnego je doprowadził. On też został w cza-sie oblężenia głównodowodzącym. Był to czło-wiek wielkiej energii i waleczności.

Forty Hautes i Basses Perches pod jego kierunkiem były wykończone i uzbrojone, a tak-że reduta Bellevue; wszystko to było robione z największym pośpiechem, bo nieprzyjaciel się zbliżał, a przytem Denfert nie dał się zamknąć w ścisłym pasie fortyfikacyjnym, ale o kilka kilometrów od Belfortu zajmował wzgórze i wio-ski Danjoutin i Prouse.

Treskoff, zjawiwszy się w listopadzie, mu-siał wiele czasu stracić, aby pozdobywać wsie

okoliczne, ciągle będąc przez załogę Belfortu odpychany, ponosząc wielkie straty w ludziach. Siła zbrojna Belfortu wynosiła 16,000 ludzi, a w tem tylko dwa bataljony regularnego wojska — reszta to Garde Mobile i Garde Nationale.

Napróżno Treskoff zdobył z wielkim trudem Monts-ESSERT, Cravache, Bavillier; napróżno od 3-go grudnia bombardował, mieszkańcy przenieśli się do piwnic, bo domy wszystkie były w ruinie, ale forty i zamek nie pozwalały się zbliżyć. Bellevue odpowiadała ciągle, pomimo że literalnie była zasypywana granatami.

I ten Belfort, z początku tak lekceważony przez Niemców, otrzymał sławne imię „Leichenfabrik“ (fabryka trupów), jak go nazwali Prusacy. Widząc, że od strony Bellevue nic nie zrobią, z całą energją przerzucili się Prusacy na stronę południową, otworzyli nowe baterje ciężkich dział. Dnia 8-go stycznia 1871 r. nakoniec udało im się zdobyć wioskę Danjoutin, a w kilka dni później Perousse, wszystko to jednak nie przyspieszyło zdobycia Belfortu. Dnia 26 stycznia w nocy uderzyli Prusacy z wielkim impetem do szturm na forty Hautes i Basses Perches, lecz z ogromnemi stratami zostali odparci.

Trzeba było znowu otworzyć nowe baterje i przez dwa tygodnie zasypywać granatami. Nakoniec forty zostały opuszczone, a załogi co-

fnęły się do zamku, ostatniej pozycji obronnej pułkownika Denferta.

Teraz 97 dział oblężniczych skierowanych było przeciwko zamkowi, jednakże Belfort odpowiadał ciągle na ten piekielny ogień. Dnia 18 lutego 1871 r., wskutek zawieszenia broni i kroków wojennych, słaby garnizon z bronią, z armatami, z rozwiniętymi sztandarami i z muzyką na czele, opuścił Belfort, udając się do Vesoul. Wojska niemieckie, ustawione rzędami, prezentowały broń. Pułkownik Denfert wyszedł ostatni, odtąd sławny za swoją obronę.

Kompanja moja miała bardzo ciężką i niebezpieczną służbę: jak tylko Prusacy zaczęli się posuwać, zostaliśmy wysłani do wsi Danjoutin, aby trzymać tam tak zwaną przednią straż i nie pozwalać sypać za blisko baterji. Razem z moją kompanją był odkomenderowany jeden bataljon linjowy.

Przed naszym zjawieniem się już kilka domów było zbombardowanych, zastaliśmy wioskę prawie pustą, mieszkańcy z dobytkiem schronili się do Belfortu. Zaraz po przybyciu zajęliśmy się sypaniem szańców, bo było do przewidzenia, że atak nastąpi wkrótce. W dzień było to za ryzykowne, gdyż fort Hautes Perches z 24 działami nas bronił.

Zima w roku 1870—71 była bardzo ostra w całej Francji, a cóż dopiero nad granicą Szwajcarii; mrozy dochodziły 18 stopni, śniegi ogromne; służba więc w tych warunkach była bardzo ciężka. Każdej prawie nocy po dwa lub trzy alarmy; ja z moją kompanją najczęściej w przedniej straży, to jest o jakie 500 metrów przed wsią, przed samym nieprzyjacielem w szczerem polu, kopaliśmy dołki, paliliśmy w nich małe ogniska, ale ciągle trzeba było je przysypywać śniegiem, aby płomień nie buchnął, bo zaraz mieliśmy gościa w postaci 12-centymetrowego granatu; nieraz po dwa dni nas nie luzowano, albowiem rezerw było mało.

Strasznie byliśmy wyczerpani. Pamiętam, że na posterunku, w śniegu wyżej kolan, ani na chwilę przystanąć nie mogłem, gdyż w tej chwili sen mnie ogarniał. Pomimo pewności, że nieprzyjaciel się skrada, niepodobna było się przewyciężyć, bo oczy same się zamykały.

Kładłem bryłki lodu i śniegu za kołnierz, aby się otrzeźwić.

Każdej nocy strzelanina. Najczęściej były to ataki, że tak powiem, próbne.

Prusacy posuwali się na jakieś 600 do 800 metrów pod wieś, a straciwszy trochę ludzi, bo, oprócz ognia ręcznego, artylerja z fortów zasy-

pywała ich granatami, wracali do siebie. Na tych ciągłych utarczkach schodziły tygodnie.

Dwa razy w nocy wyparli nas Prusacy z Danjoutin, ale za nadejściem dnia artylerja z fortów ich wyparła i na nowo zajęliśmy wieś.

W początkach stycznia kompanja moja została zluzowana i przeniesiona do wsi Perousse, tworząc tam także przednią straż. Dnia tego porucznik Zieliński, widząc mnie bardzo zziębniętego, zaprosił do prowizorycznej kantyny oficerskiej dla rozgrzania się.

Wszedłszy, zastaliśmy kilku oficerów, grzejących się przy ogromnym piecu żelaznym, na środku izby i popijających poncz na winie. Ogrzawszy się i wypiwszy po szklance, opuściliśmy kantynę. Uszliśmy zaledwie kilkadziesiąt kroków, aż tu przelatuje z szumem nad nami granat. Ledwie mieliśmy czas upaść na ziemię, następuje trzask i wybuch. Oglądamy się, a tu dym wali się z kantyny. W kilkunastu susach jesteśmy na miejscu. Granat przebił ścianę i roztrzaskał piec żelazny. Widok był straszny.

Czterech oficerów, w tem dwóch kapitanów, bez życia, literalnie rozszarpanych, trzech zaś lżej rannych, a dziewczynce 8-letniej, córeczce kantyniarki, która kręciła się po pokoju, urwało obydwie nóżki.

Parę minut opóźnienia z wyjściem, a byłby nas ten sam los spotkał.

W Perousse nie było lepiej, niż w Danjoutin; ten sam rodzaj służby i ciągle nocne utarczki.

Kompanja moja zmalała ogromnie i już co prawda zmęczeni byliśmy tem oblężeniem.

Pewnej nocy wyszliśmy na rekonesans w 100 ludzi; dowodził por. Zieliński; ja szedłem zaraz przy nim. W blizkim lasku z największą ostrożnością posuwaliśmy się gęsiego. Wtem słyszymy jakiś szmer i „Wer da?“ się rozlega. Żołnierze nasi na ślepo, bez komendy odpowiadają ogniem i rzucają się naprzód. Prusacy ledwie po kilku strzałach, zestrachani, zbici w kłęb, rzucają karabiny i poddają się. Było ich 30 i dwóch podoficerów.

Otoczywszy i rozbroiwszy ich, pośpiesznie wracamy, żeby nam czasami jeńców nie odbito.

Pierwszy raz tak zbliżka widzę Prusaków.

Porucznik Zieliński dobrze mówi po niemiecku, więc bada ich, jakim sposobem znaleźli się w lesie. Okazuje się, że to był patrol wysłany na zwiady, który zbłądził w lesie, bo noc była ciemna.

Większa część tych więźniów nie mówiła wcale po niemiecku: byli to Poznańczycy świeżo

powołani do wojska. Zaraz też gruchnęła wieść, że to są Rosjanie przebrani.

Nasi jeńcy z początku ogromnie byli przestraszeni, bo ich oficerowie opowiadali, że wziętych do niewoli wolni strzelcy rozstrzeliwali, ale gdy się porucznik odezwał po polsku, a ja ich upewniłem, że im włos z głowy nie spadnie i że teraz skończyło się ich utrapienie, nie posiadali się z radości, tylko ich podoficerowie chmurnie na nas spojładali.

W kompanji mojej był także jeden sierżant Francuz, który mówił parę słów po polsku: był on guwernerem w Polsce; w 63 r. wstąpił do powstania, następnie, wzięty do niewoli, kilka lat przesiedział na Syberji. Okazywał mi wiele sympatji i niejedną grzeczność mu zawdzięczam.

W rzadkich chwilach wolnych od służby porucznik Zieliński zabierał mnie często do swojej kwatery; czasami wychodziliśmy za linię wędet, pokryjomu.

Porucznik brał szaspot i, podszedłszy jak można było najbliżej, spędzaliśmy placówki pruskie; po paru strzałach zregulowawszy wizjery, takeśmy im dokuczali, że musieli ciągle zmieniać miejsce. Widocznie kule nasze zaczynały ich niepokoić. Na ten dystans nie odpowiadali ze swych karabinów, które były na 600 do 800

metrów, kiedy szaspoty strzelały dobrze na 1200 metrów.

Czasami wysłali parę granatów do nas, a kiedy za blisko nas padały, wtedy z wesołemi żartami wracaliśmy do siebie, ciesząc się, żeśmy ich kilku wyprawili na tamten świat, a wszystkich wyprowadzili z cierpliwości.

Zima nam srodze dokuczała. Szczęście, że Belfort był dobrze zaprowiantowany. Mięsa solonego, mąki, sucharów, wina i wódki nigdy nie brakło. Administracja wojskowa codziennie rozdawała żywność cywilnym, których los był bardzo smutny, przez ciągłe bombardowanie wielu bardzo zginęło, a przytem głód wśród nich panował.

W połowie stycznia pułkownik Denfert wysłał parlamentarza do głównej kwatery pruskiej, prosząc ze względów ludzkości, aby pozwolono starcom, kobietom i dzieciom opuścić Belfort. Odpowiedzieli odmownie, twierdząc, że im więcej ust do żywienia, tem prędzej Belfort się podda. Jednakże omylili się w swych rachubach.

Już to humanitarnością Prusacy nie odznaczyli się w tej wojnie.

Pewnego dnia, w drugiej połowie stycznia, mróz był piekielny. Kompanję moją złuzowano z placówki i w domach, chociaż zbombardowanych, zajęliśmy kwatery; żołnierze powyry-

wali drzwi z innych domów i porozpalali ognie, grzejąc się, szczęśliwi, że są jako tako zabezpieczeni od mrozu.

Położywszy się na podłodze, zasypiałem. Naraz wchodzi kapitan z porucznikiem Zielińskim, aby obejrzeć, jak jesteśmy ulokowani.

Dawszy instrukcje sierżantowi Majorowi, wychodzą, porucznik zabiera mnie z sobą, mówiąc: „Chodźcie ze mną. Parę domów dalej znalazłem dobrą kwaterę do przenocowania: jest tam łóżko i kanapa, kazałem też napalić na kominku, będziemy pysznie spali“. Z ochotą idę za nim; wchodzimy do domu, którego róg był rozwalony, ale na gorze pokój nietknięty.

Pogawędziwszy chwilę, rzucam się na kanapę. Co za rozkosz! po tyłu nocach mogę choć zwierzchnie ubranie zrzucić i w ciepłe się położyć. W taki mróz chyba nas nie zaatakują i noc będziemy mieli spokojną, przecież i u nich nie ciepło. Z tem mniemaniem zasypiamy żelaznym snem.

Nie wiem, ile godzin spałem. Naraz słyszę jakby przez sen trąbienie i strzały. Chcę się rozbudzić i wstać, ale nie mogę.

Nakoniec wysiłkiem woli zrywam się, biegnę do okna, słyszę alarm i strzały na wszystkie strony. Porucznik śpi, jak zarżnięty. Wołam — nic nie pomaga, trzęsę nim co siłą, krzyczę:

„Prusacy w mieście!“ Nakoniec oprzytomniał i w mgnieniu oka wciągnął na siebie ubranie.

Z pałaszem i rewolwerem w ręku wybiegł. Ja za nim. Na schodach omarżniętych noga mi się poślizguje i spadam aż na dół. Potłukłem się porządnie, lecz niema czasu o tem myśleć. Cudem szaspot nie wystrzelił, bo był nabity, a tłukł się o schody.

Wypadam na ulicę. Kule już na dobre świszczą. Schylam się i biegnę, co sił starczy, do mojej kompanji. Zastaję ją już na stanowisku w szańcach.

Porucznik Zieliński broni lewego szańca ze swoim plutonem. Kule gęsto idą, ale wysoko. Nieprzyjaciel może o jakie 700 lub 800 metrów oddalony, widać zdala całe czarne masy, posuwające się naprzód po śniegu. Przy świetle księżyca widać ich doskonale, a rotowe ognie rozświetlają jeszcze lepiej.

Granaty zaczynają z szumem przelatywać nad naszymi głowami. To Belfort nas osłania. Artylerja pruska rzuca granaty, ale lecą one przeważnie na prawe skrzydło, bronione przez Garde Mobile.

Ogień z naszej strony bardzo silny. Strzelamy salwami, raz po raz. Pomimo to Prusacy zbliżają się. Co chwila trzeba zmieniać wizjery, bo dystans się zmniejsza. Lufy szaspotów są

okropnie rozgrzane, dotknąć się ich ręką nie można.

Po kilkunastu minutach brak już naboju, roznoszą nowe paczki. Na jakie może 500 metrów widać, jak bataljony pruskie się zatrzymują, widocznie nie mogą ognia naszego wytrzymać, łamią się. Słychać wyraźnie komendę oficerów: „Vorwärts!“ Nowe bataljony przychodzą w pomoc i prą naprzód — straty ich muszą być wielkie.

Nasz komendant, widząc, że atak jest bardzo silny i z wielkimi siłami, prosi telegraficznie o pomoc, której jednakże dostać nie można, bo również Belfort z drugiej strony jest atakowany. Rozkaz brzmi: „Bronić wsi, dopóki można, w ostateczności cofać się pod forty“.

W mojej kompanji straty mamy niewielkie: jeden zabity i pięciu rannych. Wał szancowy doskonale nas zabezpiecza.

Prusacy ze szczególną zaciętością atakują prawe skrzydło. Słychać ich ciągle: hura! hura! Widać z tego, że nas chcą oskrzydlić i odciąć od Belfortu.

Czekamy rozkazu, aby się cofać, lecz nie nadchodzi.

Ogień na prawem skrzydle słabnie.

Prusacy zdobywają pierwsze domy. Bataljon Garde Mobile cofa się pośpiesznie. Nie dostajemy

rozkazu. Widocznie o nas zapomniano, albo adjutant niosący rozkaz zginął.

Kapitan nasz rozkazuje odwrót. Opuszczamy szaniec, chcąc się wydostać ze wsi na pole. Przestrzeń, oddzielająca nas od fortów, ma ze 3 kilometry. Biegniemy kłusem. Naraz spotykamy się z bataljonem pruskim, który na blizki dystans, może na jakie 150 metrów, wita nas piekielnym ogniem.

Od pierwszej salwy coś z piętnastu ludzi nam pada. Cofamy się więc w nieładzie do wsi i tu zajmujemy duży dom piętrowy (zdaje się, że była to szkoła), z nadzieją, że może przyjdzie jaka pomoc.

Za chwilę jesteśmy już ze wszystkich stron otoczeni, strzelamy przez okna. Słysząc trąbienie, ukazuje się oficer pruski konno z białą chustką na szpadzie. Parlamentarz daje 10 minut czasu do złożenia broni, w przeciwnym razie dom będzie rozbity i szturmem wzięty.

Widać, jak w galopie nadjeżdża baterja armat i rychtują je na nas. Po krótkiej naraździe, widząc niemożliwość dalszej obrony, składamy broń.

Jesteśmy wszyscy tak wyczerpani tą nocą, a przytem zmarznięci, że z obojętnością patrzymy na to wszystko. Byle tylko choć na chwilę ogrzać się i spocząć.

Ja jednakże z żalem składam mój szaspot, tembardziej, że na kolbie był głęboki znak od kuli pruskiej.

Za chwilę nadjeżdża sztab pruski, generał Treskoff w otoczeniu, salutuje, podaje rękę oficerom. Zapisują każdego z nas. Sformowawszy się czwórkami, otoczeni pruską piechotą, idziemy do kościoła, bo to jedyny budynek, który nie był bardzo uszkodzony.

Godzina 4-ta nad ranem. Zimno nam bardzo dokucza. Jest nas wszystkich razem z oficerami 114 ludzi.

Czekamy z niecierpliwością ranka, bo w kościele na kamiennej posadzce zimno nie do wytrzymania.

Nakoniec doczekaliśmy się dnia. Rozdają nam po miarce wódki, bułeczce chleba i po pół funta wędzonej słoniny. Wódka choć chwilowo nas rozgrzała. Naprzeciw nas stoi pluton ułanów, który ma nas eskortować do granicy niemieckiej.

Rozlega się komenda: „Vorwärts! marsch!“ Na razie nie możemy się dowiedzieć, do której stacji nas prowadzą. Linje kolejowe w bliskości Belfortu są wszystkie zepsute, idziemy bardzo pośpiesznie. Ułani nas ciągle popędzają.

Oglądamy się co chwila, żegnając Belfort. Droga, którą podążamy, oddalona jest o jakie 5 kilometrów od fortu Hautes Perches.

Dzień już jasny. Naraz słyszymy huk wystrzałów, a w parę sekund potem padają granaty o jakie kilkadziesiąt kroków od nas. Rozlega się komenda: „Kłusem, marsz!“ i tak z wiorstę pędzimy co tchu. Jeszcze parę granatów padło, jednakże szczęśliwie nas ominęły. Jeden tylko, pęknąwszy i wyrwawszy dół w polu, obsypał nas gradem zmarzniętej ziemi i bryłami śniegu.

Takim pośpiesznym marszem zrobiliśmy z 15 kilometrów. Niektórzy żołnierze nie mogą wytrzymać tak forsownego marszu, ale ułani popędzają ich lancami. Ja, dzięki Bogu, chociaż zmęczony, idę dobrze. Rozgrzałem się w marszu.

Przechodzimy przez jakąś dużą wieś. Masa ludzi wylega na nasze spotkanie. Kobiety niosą, co mogą, aby nas posilić. Jest wino, mięso i chleb, ale Prusacy brutalnie odpędzają poczciwych Alzaczyków, nie pozwalając do nas się zbliżyć.

Pomimo to, kilku kobietom udało się coś nam podać. Jedna biedaczka nawet lancą dostała. Porucznik Zieliński zwrócił się ze skargą do wachmistrza, lecz to niewiele pomogło.

Przechodziliśmy wiele wsi, ale już w żadnej nie pozwolono nam spocząć. Widocznie obawiali się jakiegoś buntu, bo i nam w dro-

dze nie pozwolono między sobą mówić. Odpoczynki, zresztą bardzo krótkie, zawsze za wsiami, musieliśmy robić w szczerem polu.

Im dalej byliśmy od Belfortu, tem więcej widać było na twarzach naszej eskorty spokój. Już nas tak szybko nie pędzili, nawet wachmistrz odpowiadał na pytania naszych oficerów. Dowiedzieliśmy się nakoniec, że nas prowadzą do Altkirch, to znaczy od Belfortu około 70 kilometrów.

Po odbyciu może z połowę drogi dali nam wytchnąć z godzinę, bo i kawalerja musiała popaść konie. Po tym krótkim wypoczynku marsz stał się jeszcze uciążliwszy. Kilkunastu żołnierzy pokładło się na ziemi, oświadczając, że dalej nie pójdą, wielu z nich miało nogi pokaleczone i odmrożone. Nie pomogły groźby, że ich rozstrzelają. Koniec końców ułani sprządzili dwie furmanki z sąsiedniej wsi.

Ostatnie kilka kilometrów ledwie już się wlekliśmy. Nogi drętwiały i stawały się jakby drewniane; wielu kulało. My z porucznikiem jednakże na czele maszerowaliśmy i ani razu na podwodę nie wsiadłem.

Była godzina 9 wieczorem, kiedy dotarliśmy do stacji, to znaczy po 14-u godzinach marszu. Wprowadzono nas do dużej sali stacyjnej. Wszyscy rzucili się na podłogę i leżeli, jak zabici.

Wkrótce zjawił się Czerwony Krzyż, z pań al-zackich złożony; wniesiono masę najróżnorod-niejszego jedzenia i picia. Damy na klęczkach rozbierały, myły tych leżących biedaków; roz-dano ubrania, bieliznę; każdy żołnierz dostał oprócz tego 10 franków.

Na mnie szczególnie zwracano uwagę, aż mnie to żenowało, a powodem tego było, że byłem najmłodszy ze wszystkich i, chociaż także strasznie zmęczony, trzymałem się jednak na nogach, przytem porucznik Zieliński widocznie tym paniom coś naopowiadał o mnie.

Słowem, całą noc przy nas były, wszyst-kich opatrzyły, nakarmiły, a mnie wszystkie kieszenie wypchały czekoladą i cukierkami i gwałtem wcisnęły dwie butelki wina reńskie-go na drogę. Ze łzami w oczach pożegnaliśmy te zacne damy, które tyle delikatności i serca nam okazały.

Żegnamy ziemię francuską, nie wiedząc, dokąd nas zawiozą. O 5-ej rano pociąg pod-chodzi: wsiadamy po 40-tu do wagonu i kilku żołnierzy pruskich. Na wszystkich stacjach pu-bliczność ciśnie się do wagonów, podając nam różne rzeczy, ale Prusacy odpędzają bagnetami.

Po kilkunastu godzinach jazdy stajemy na jakiejś większej stacji, zmienia się eskorta i Pru-saków zastępują Bawarzy. Co za różnica! Zu-

pełnie inni ludzie. Na stacjach pozwalają nam spacerować, rozmawiają z nami, nie wzbraniają komunikować się z publicznością, która także życzliwie nas wita; znać, że nie jesteśmy w Prusach. Dojeżdżamy do Ulmu — tam dowiemy się, dokąd nas ostatecznie zawiozą.

Miasto Ulm, mające kilkadziesiąt tysięcy ludności, silna forteca i jest tu już internowanych 40,000 Francuzów. Na stacji oczekuje nas kilku starszych oficerów bawarskich i pełno pań i panów z Czerwonego Krzyża.

Prowadzą nas do wielkiej sali. Stoły nakryte, wszystko już gotowe. Każdy żołnierz dostaje talerz buljonu, kawał pieczonego mięsa z jarzyną, oprócz tego, przed każdym stoi ogromny kufel piwa i bułka chleba białego. Panie z Czerwonego Krzyża prześcigają się w usłudze. Wszystkie mówią po francusku.

Nie potrzebuję mówić, z jakim apetytem zjadamy obiad, bo od 30 godzin nic ciepłego w ustach nie mieliśmy. Spacerujemy po całej stacji, tylko naokoło stoi kilku wartowników.

Naraz wpada porucznik Zieliński i powiada, że żołnierze pozostaną w Ulmie, oficerowie zaś jadą do Monachjum, a więc będziemy musieli się rozstać. Zrobiłem smutną minę, żal ścisnął mi serce na myśl, że muszę się rozstać może na zawsze z tym, który był dla mnie najser-

deczniejszym opiekunem; porucznik Zieliński pociesza mnie, że może się da jeszcze coś zrobić, pomówi z kapitanem, aby mnie przedstawiono jako *porte-épée*, a w takim razie pojechalbym razem z oficerami.

Wkrótce wywołują nas na peron... Kapitan żandarmerji bawarskiej, wymieniając moje nazwisko, dodaje: „Aspirant-oficer“. Jestem uszczęśliwiony. Oficerowie ściskają mi rękę, a nasz kapitan dodaje: „Jedziesz z nami, młody Polaku!“ Żegnam się z moimi kolegami. Zabierają ich do fortecy, my zaś siadamy do pociągu i już bez żadnej eskorty, bo jedzie z nami tylko młody oficer żandarmerji, zajmujemy przedział w 2-ej klasie.

Późno w nocy przyjeżdżamy do Monachjum. Na stacji nikt nas nie oczekuje. Żandarm wiezie nas do jakiegoś pierwszorzędnego hotelu i zostawia samych. Wypawszy się doskonale i zjadłszy dobre śniadanie, idziemy z porucznikiem na miasto, bo nam brak wszystkiego: mamy to tylko, co na sobie, i to w opłakanym stanie. Wszystkie nasze bagaże przepadły.

Wieczorem kapitan z porucznikiem idą do teatru, ja zostaję w hotelu. Korzystam z tego, aby napisać list do rodziców, bo od kilku miesięcy nie mieli żadnej wiadomości ode mnie; nie wiem, kiedy dostanę odpowiedź, nie po-

syłam adresu, nie wiedząc, gdzie nas ostatecznie umieszczą.

Na drugi dzień wieczorem zjawia się żandarm, płaci rachunek w hotelu i oświadcza, że za dwie godziny przyjdzie po nas. Dostał rozkaz zawiezienia nas do Neuburga, gdzie ostatecznie będziemy internowani.

Po kilku godzinach jazdy koleją, przybywamy do miasta fortecznego Ingolstadt. Tutaj także kilkanaście tysięcy Francuzów jest internowanych. Stąd statkiem parowym po Dunaju w kilka godzin stajemy w Neuburgu.

Po zaprezentowaniu się komendantowi miasta i daniu słowa, że nie będziemy usiłovali uciec z niewoli, pozwolono mieszkać, gdzie się nam podoba.

W Neuburgu zastajemy przeszło 500 oficerów różnych stopni i broni, najwięcej z Garde Mobile. Wzięto ich pod Orleanem i pod Reichhofen. Żołnierzy niema wcale. Obawiając się buntów, nigdzie żołnierzy razem z oficerami nie pozostawiają. Wielu oficerów ubiera się po cywilnemu.

Są tu, jako załoga, dwie kompanje Bawarczyków. Do klubu oficerskiego nasi oficerowie uczęszczają razem z Bawarczykami. Nigdy żadnych sprzeczek. Miejscowi oficerowie są dla nas uprzejmi. Komendant placu, stary pułkow-

nik, do którego co sobota idziemy się prezentować, zawsze nas wypytuje, czy nie mamy jakich reklamacji i czy położenie nasze jest znośne.

Miasteczko Neuburg jest bardzo spokojne, a cały ruch nadaje mu tych 500 oficerów, to też z miasta mało ożywionego w krótkim czasie zrobił się jakiś chaos; pełno nieznanych tu natworzyło się kawiarni, rodzaj dzisiejszych kabaretów. Znalazła się wkrótce i operetka, gdzie ruszyć, wszędzie muzyka. Mieszkańcy byli dla nas gościnni, a wszędzie przeklinali Bismarcka, że im tylu ludzi zmarnował w tej wojnie, bo Prusacy nie oszczędzali wojsk bawarskich, ale przeciwnie, na pierwszy ogień je wysyłali.

Słowem, gdyby nie niewola, byłoby nam tu bardzo dobrze, powiem nawet za dobrze, bo zanadto było tej beczynności, a za wiele ładnych dziewcząt, zabaw i hulank.

Rząd bawarski płacił nam żołd, jak w swoich wojskach, przytem odbieraliśmy zapomogę z prywatnej szkatuły królowej angielskiej. Czerwony zaś Krzyż szwajcarski zaopatrywał nas w bieliznę, ubranie, a nawet znalazły się i futra, bo zima i tutaj była bardzo ostra.

Mieliśmy tu dwóch kapitanów artylerji, zamkniętych, gdyż nie chcieli dać słowa. Przed drzwiami mieli wartownika, kolegom jednakże

wolno było ich odwiedzać; codziennie parę godzin spacerowali po mieście, tylko że żołnierz z karabinem nabitym za nimi chodził.

Dwa miesiące przeszło już tu jesteśmy. Paryż kapitulował, wiedzieliśmy o komunie, oczekiwaliśmy powrotu do Francji. Pokój już zawarty. Nareszcie nadchodzi rozkaz z Berlina: ci oficerowie, którzy swym kosztem chcą wrócić do Francji, mogą wyjechać natychmiast; ci zaś, co na koszt państwa, muszą czekać nowego rozkazu.

Przykre to było rozporządzenie, bo nas rozdzielili.

Na drugi dzień przeszło 200 oficerów wyjechało, a w tej liczbie i porucznik Zieliński. Ja pozostałem z resztą. Mieliśmy się spotkać w Wersalu, ale już nigdy do tego nie przyszło. Straciłem na zawsze mego zacnego i ukochanego porucznika i nigdy go już nie odnalazłem.

Jeszcze z tydzień czekaliśmy, aż nakoniec przyszła kolej i na nas. Pomimo że tu nam bardzo dobrze było, jednakże wszyscy ucieszyli się z powrotu. Oni wracali do ojczyzny swojej, do rodzin. Ja nie miałem powodów do radości, pomimo to dzieliłem ją z nimi. Jechałem do pięknej Francji, której nie znałem, bo dotąd, oprócz ruin Belfortu i kilku wiosek okolicznych, nic nie widziałem.

Cały dzień zeszedł na pożegnaniach, porobiliśmy tu bowiem wiele znajomości. Wszyscy życzliwie nas żegnali. Niektórzy poważniejsi obywatele czasami na nas krzywo patrzyli, gdyż wnieśliśmy do ich domów trochę za wiele wesołości francuskiej, ale za to u pań mieliśmy łaski.

Drogę odbyliśmy pośpiesznie. Pociągi już prawidłowo chodziły. Kresem naszej podróży jest Luneville; tu władze niemieckie oddają nas Francuzom.

Po spełnieniu formalności wojskowych, otrzymuję paszport do Belfortu. W drodze zatrzymuję się dzień w Nancy. Śliczne, niewielkie miasto. Nie ucierpiało od bombardowania. Tyle tu pamiątek polskich, tu bowiem rezydował i umarł Stanisław Leszczyński. Główny plac nosi jego imię, najpiękniejszy kościół jest jego fundacji.

Z Nancy do Belfortu odbywam podróż wesołą, w drodze spotykam dużo jeńców wracających. Wszyscy się skarżą na Prusaków, na ich brutalność i złe obchodzenie się z więźniami, przytem byli jak najgorzej żywieni. Jeden z Francuzów pokazał mi kawałek czarnego chleba, wiezie go z sobą na pamiątkę. Ohydny. Wiadać w nim plewy i kawałki słomy. Takim to chlebem karmili Prusacy swoich jeńców. To

też śmiertelność między Francuzami była ogromna, bo i wielkie mrozy do tego się przyczyniły.

W Belforcie zabawiłem kilka dni. Odwiedziłem mego dobrego przyjaciela, sierżanta furjera, Adama, który, gdyśmy zostali wzięci do niewoli w Perousse, zdołał zbiec i, pomimo kilkudziesięciu kul wysłanych za nim, szczęśliwie dostał się do fortów.

Belfort już nie jest taki smutny, jak wówczas, gdym go opuścił. Chociaż wszędzie widać jeszcze ruinę, ale życie wre w całej pełni. Reperują, odbudowują domy, ludzie nie kryją się już po piwnicach. Wprawdzie są jeszcze Prusacy, ale jakoś spokojnie się zachowują.

Żal im zapewne, że wkrótce będą musieli opuścić to miasto, bo Belfort, pomimo że leży w Alzacji, pozostał przy Francji, dzięki swej walecznej obronie.

W Belforcie otrzymałem żołd za cały czas bytności w niewoli i wstąpiłem do nowo formowanej dywizji generała hr. de Catilinau, wnuka owego, który tak dzielnie walczył w Wandei, w czasie wielkiej rewolucji.

Otrzymałem rozkaz stawienia się w Wersalu. Przed samym wyjazdem spotkała mnie duża strata: ukradziono mi walizkę z całym bagażem. Zostałem — jak stoję. Nie miałem czasu zająć się poszukiwaniem.

Drogę koleją odbyłem przyjemnie. W wagonach we Francji robi się prędko znajomości. Zresztą zwracałem na siebie uwagę młodością i zgrabnem umundurowaniem.

Pociągi dochodziły tylko do Saint-Denis. Do Wersalu trzeba było okrążyć Paryż drogą kołową.

Zmęczony podróżą, zatrzymałem się w Saint-Denis, aby trochę odpocząć, coś przekąsić i poinformować się o drogę. Do Paryża, ani z Paryża Prusacy nikogo nie puszczali. Kilka razy byłem zatrzymywany; musiałem się wylegitymować, że należę do armji wersalskiej, dopiero mnie puszczono.

Nie mogłem znaleźć żadnej okazji, aby się z kim zabrać, a za konie drogo żądano. Chcąc nie chcąc, puściłem się w drogę piechotą.

Z Saint-Denis do Wersalu jest duży szmat drogi. Gdym okrążał Paryż, ciągle słyhać było huk armat: to fort Mont-Valérien słał granaty Wersalczykom.

W drodze — a była to już późna noc — nie bardzo mi było wesoło. Ruch na szosie prawie żaden, przytem czułem się jakoś zmęczony. Usiadłem na przydrożnym kamieniu. Słyszę nagle turkot. Wkrótce nadjeżdża kabriolet w dobrego konia zaprzężony. Siedzi w nim dwóch męczczyzn, a widząc mnie w mundurze samego,

zatrzymują się i wypytuja, dokąd dążę. Kiedy im powiedziałem, że wracam z niewoli, proponują, abym siadł z nimi, to mnie podwiozą pod sam Wersal, bo tam mieszkają.

Podziękowawszy, siadam z nimi. W drodze częstują mię koniakiem i czekoladą; gawędka się ożywia, mówimy o komunie; są oburzeni: Prusacy u wrót Paryża, a tu bratobójcza walka. Wiedzą, że Polak Dąbrowski jest naczelnym wodzem komuny, jednakże dla mnie są uprzedzająco grzeczni. Dojeżdżamy do wioski, gdzie mieszkają. Chcę wysiadać i iść dalej, ale nie chcą o tem słyszeć i zabierają mnie do siebie na noc, a jutro odwiozą do Wersalu.

Gdym się przespał, po smacznem śniadaniu gościnny gospodarz sam odwozi mnie do Wersalu. Tu dowiaduję się, że oddział mój znajduje się w Rambouillet, tam więc kolejną podróżam.

Dywizja składa się z trzech bataljonów piechoty i baterji artylerji. Pierwszy bataljon Wandejczyków, drugi Bretonów, a trzeci Paryżan. Komenderuje generał dywizji, hrabia de Catilinau. Ja zostałem umieszczony w pierwszej kompanji bataljonu Wandejczyków.

Żona generała jest przełożoną naszego ambulansu. Każdemu nowowstępującemu do bataljonu Wandejczyków własną ręką przyszywa

do munduru na lewym boku kwadracik sukien-
ny, na którym jest wyhaftowane gorejące serce
i drobnymi literkami napis: „Arrêtez, le coeur
de Jésus est là“ — „Zatrzymaj się, serce Jezusa
jest tutaj“.

Wskutek tej oznaki były często kłótnie
i awantury z innymi bataljonami.

Umundurowani byliśmy ciemno, z jasno-
niebieskimi wypustkami; kepi z takimże lam-
pasem. Za uzbrojenie mieliśmy karabiny Re-
mingtona, z szablą-bagnetem, zgrabne, dosyć
lekkie. Biły, jak szaspoty, na 1200 metrów.
Przy nabijaniu jeden ruch mniej, niż w szaspocie.

Leżeliśmy w namiotach, w samym zwie-
rzyńcu, w bliskości pałacu. Miejscowość prze-
śliczna. Czas tu nam schodził bardzo wesoło.
W rannych godzinach mustry i strzelanie do
celu, od 2-ej do 4-ej—teorja, a potem już wolni
byliśmy. Spacerory po parku, rozmaite zabawy
urozmaicały oczekiwanie rozkazu wymarszu pod
Paryż, bo dotąd był jeszcze nie zdobyty.

Żywieni byliśmy znakomicie. Generał czę-
sto bywał w naszych kuchniach. Żołnierz do-
stawał codziennie podwójną porcję wina, a co
5 dni 5 franków żołdu.

W bataljonie moim zastałem jednego Pola-
ka, niejakiego Piotrowskiego. Zaraz się z nim
zapoznałem. Był starszy o kilka lat ode mnie,

syn emigranta, nie mówił prawie po polsku. Bardzo mnie polubił. W jego towarzystwie najwięcej czasu przepędzałem.

Dzień tak za dniem schodził w oczekiwaniu wymarszu, a tam pod Paryżem na dobre się bili, komuniści nawet odnieśli parę zwycięstw, a o wzięciu Paryża nie było jeszcze mowy. Nie zanosi się widocznie, aby nas wysłano.

Nadchodzą biuletyny, że komuna słabnie. Armja wersalska już jest dosyć silna. MacMahon objął naczelne dowództwo. Jeszcze kilka dni upływa w niepewności, czy nas wyślą, czy nie, aż tu nadchodzi depesza, że wojska wersalskie wtargnęły do Paryża, a więc obeszło się bez nas.

Dywizja nasza jest faktycznie zbyt liczna, więc rozpuszczają nas do domu.

Ja i kilku innych bierzemy paszporty do Marsylji. Po drodze trzy dni zatrzymujemy się w Paryżu. Straszne rzeczy, jak miasto obecnie wygląda. Wojska biwakują na ulicach i placach, domy porujnowane, najpiękniejsze gmachy spalone, bruki powyrywane, gdzieś sterczą szczątki barykad porozrywanych granatami. Bardzo mało osób spotyka się na ulicach. Wszyscy wystraszeni. Ciągłe aresztowania, a od czasu do czasu odzywają się strzały.

W czasie oblężenia Paryż niewiele ucierpiał od granatów pruskich, ale za to po wtargnięciu Wersalczyków wrzała szalona walka na ulicach, setki ulic trzeba było zdobywać bagnietami, ogień był piekielny, bo ani armat ani karabinów komunardom nie brakowało. Strzelano ze wszystkich okien, niektóre barykady i mosty były silnie bronione. Straty obustronne były wielkie, ale bez porównania większe po stronie komunardów. Sądy doraźne funkcjonowały bez ustanku, rozstrzeliwano masami, a ze 20,000 wziętych do niewoli wysłano do Wersalu, a potem do Nowej Kaledonii.

Z Paryża przez Lyon jedziemy do Marsylii. Zaczyna się południowa Francja, cudny kraj. Pora najprzyjemniejsza, bo to koniec maja.

Po 30-godzinnej podróży stajemy na miejscu. Miasto wielkie handlowe, ogromny port z setkami okrętów. W przystani spotyka się różne narodowości.

Kilka dni spędziliśmy na zwiedzaniu miasta. Pierwszy raz widzę morze.

Ale czas pomyśleć o jutrze. Malutkie zasoby pieniężne wyczerpują się, tembardziej, że stoimy w hotelu.

Ja i trzech Francuzów udajemy się do biura rekruckiego. Tu nas objaśniają, że ochotników Francuzów wcale nie przyjmują, co zaś do

mnie, jako cudzoziemca, to pomimo że obecnie przyjmowanie do legjonu jest wstrzymane, mogę jednak spróbować i podać prośbę do generała dywizji, może zrobi wyjątek.

Piszę więc prośbę, załączając dowody z odbytej kampanji i idę do dywizji. Oficer służbowy odbiera mą prośbę i każe czekać. Po kwadransie prosi mię do generała. Wchodzę, salutuję i widzę, że generał zyczliwie na mnie spogląda. Trzyma moją prośbę w ręku i rozmawia z dwoma wyższymi oficerami.

Po chwili zwraca się do mnie i zapytuje, czy ja wiem, co to jest legjon i służba w Algierji, bo chociaż wie, że Polacy są dzielni żołnierze, jednakże mnie szkoda, bo taki młody jestem. Słowem, daje mi rady ojcowskie, abym się cofnął. Na to wszystko odpowiedziałem generałowi, że odbyłem tak ciężką kampanję, to i legjonu się nie ulękne i proszę o przychylenie się do mej prośby.

Mam nakoniec papier z „akceptacją“. Biegnę do biura, składam ją kapitanowi, który mi oświadcza, że będę przyjęty, o ile doktorzy zatwierdzą.

Na drugi dzień wizyta doktorska. Po krótkim badaniu, na blankiecie doktor pisze: „bon pour service“. Następnie czytają mi ustawy wojskowe, w których za rozmaite wykroczenia

słyszę ciągle: śmierć, albo degradacja wojskowa. Wreszcie podpisuję deklarację, że jako ochotnik dobrowolnie wstępuję do Legjonu na lat pięć.

Na tymczasową kwaterę odsyłają mnie do fortu Ś-go Jana. Po trzydniowym pobycie wsiedam na okręt, który zawiezie mnie do Oranu w Algerji.

Podróż trzydniową odbyłem pomyślnie. Morze dosyć spokojne. W drodze zatrzymujemy się kilka godzin na brzegu Hiszpanji, w Kartaginie. Zdaleka widzieliśmy wyspy Balearskie.

Na okręcie znajduje się paręset żołnierzy z rozmaitych pułków afrykańskich, wracających z Francji. Są tu żuawi, strzelcy konni afrykańscy i kilkunastu turkosów; wszyscy ze szpitali po odbytej kampanji.

Zbliżamy się do brzegów Algerji, spostrzegamy Oran z dwoma fortami Ś-go Grzegorza i Ś-go Krzyża na dużej wyniosłości nad miastem.

Na przystani zastaję sierżanta z legjonu, który mnie prowadzi do fortu Ś-go Grzegorza, bo tam się mieści „petit-depôt“ legjonu.

Przechodząc przez miasto, rozglądam się z ciekawością. Na razie nie zdaje mi się, że to Afryka. Miasto europejskie, na ulicach słyszy się najwięcej języki francuski i hiszpański. Spotyka się, co prawda, Arabów, ale nie wyglądają,

jak sobie ich wyobrażałem: brudni, obdarci, wielu jedzie na małych osiołkach.

Oran ma około 100,000 mieszkańców. Droga do fortu Ś-go Grzegorza jest bardzo stroma. Słońce pali nieznośnie.

Po półgodzinnem wspinaniu się, zziajani, spoceni, stajemy w forcie. Tu, po zameldowaniu się oficerowi komenderującemu, prowadzi mnie sierżant do wygodnego lokalu, gdzie zastaję kilkunastu młodych ludzi, oczekujących wymarszu do głównego centrum, to jest do Maskary, bo tam stoi sztab legjonu. Za parę dni z nimi wyruszę w drogę.

Współtowarzysze moi są wszyscy Alzatzcy, po cywilnemu jeszcze ubrani, bo umunduwanie i uzbrojenie otrzymamy w Maskarze.

Po trzydniowym wypoczynku, wypawszy się na wygodnych łózkach, ruszamy w drogę.

Przy sposobności muszę zaznaczyć, że żadna armja w Europie nie posiada podobnych łózek, naturalnie tam, gdzie są koszary. Co prawda, legion połowę czasu spędza na biwakach i wtedy najczęściej sypia na gołej ziemi, pokrytej tylko kołdrą wełnianą, albowiem słomy, lub siana nie zawsze można dostać. Ale niech nikt nie sądzi, że to tylko legion narażony jest na podobne niewygody. To samo dzieje się z innymi pułkami.

Droga z Oranu do Maskary trwa cztery dni. Robi się dziennie po dwadzieścia kilka kilometrów. Etapy nie bardzo uciążliwe, ciągle dobrą szosą.

Sierżant, Francuz, nasz komendant, od lat 10-ciu w legjonie, miły i wesoły człowiek. Jakoś mu się odrazu podobałem, traktuje mnie też już jako wyrobionego żołnierza, tembardziej, że starannie noszę mój uniform. Ale za to burczy często na moich Alzaczyków, nazywa ich z przekąsem „Pekins“, za to, że się ciągle skarżą na upał i proszą o częste wypoczynki.

Na jednym z etapów zdarzył mi się wypadek, który w dalszej drodze pociągnął za sobą przykre skutki. Drugiego dnia przyszliśmy do wioski St. Denis, zamieszkaney przez europejczyków. W bliskości przepływa mała rzeka. Korzystając z tej rzadkiej sposobności w Algjerji, poszliśmy się kąpać. Po półgodzinnem rozkoszowaniu się w wodzie, bo upał był ze 40 stopni, uczułem silne pieczenie szyi i ramion. Był to udar słoneczny. Szczęście, że miałem kepi na głowie, więc się skończyło na szyi i ramionach. Dokuczało mi to jednak bardzo. Ale daleko gorzej było z jednym Alzaczykiem: ten całą szyję i plecy miał spalone literalnie. Pasmami skóra mu schodziła. Cierpiał tak bardzo, że musieliśmy go zostawić w wiejskim szpitalu.

Dochodzimy do Maskary. Okolice ładnie się przedstawiają, małe fermy porozrzucane, dużo winnic, fermerzy przeważnie Hiszpanie.

Sama Maskara, jak wszystkie miasta w Algierji, obwiedziona jest silnym murem z bastjonami i otoczona głębokim rowem. Nieco dalej, za murami, z lepianek złożone brudne miasto arabskie.

Na drugi dzień po przybyciu, zostałem uzbrojony, umundurowany i wcielony do 1-go bataljonu 8-ej kompanji.

Zanim zacznę opowiadać o służbie mojej, muszę zapoznać czytelnika z formacją legjonu, a przede wszystkim rozproszyć błędne mniemanie, najczęściej czerpane z gazet niemieckich, dla których legjon jest kością w gardle. Od czasu do czasu i w naszych gazetach czytałem artykuły, opowiadające o jakichś okropnościach, o nieludzkiem obchodzeniu się z legionistami. Wszystko to wierutne kłamstwa. Każdy, kto choć troszkę zna armję francuską, wie, że to jest absolutnie niemożliwe. Zresztą regulaminy wojskowe są jednakie dla wszystkich pułków i nie może być wyjątków dla legjonu.

Służba jest ciężka — to nie ulega kwestji, ale przyczyną tego są przede wszystkim warunki klimatyczne i wielkie przestrzenie, brak w głębi jakichkolwiek dróg, pustynie piaszczyste,

częste a forsowne marsze, brak wody. Mówię, jak było przed 40 laty; dziś pod wieloma względami jest lepiej, nie zaś gorzej.

Czytam niejednokrotnie w gazetach o miejscowościach, położonych w Algierji, dokąd legion setki kilometrów przebywać musiał dawniej piechotą, gdzie ani dróg, ani wody nie było. Dziś tamtędy przebiegają pociągi.

Dyscyplina wojskowa jest surowa, jak w całej armji, ale nie brutalna, a uciążliwa tylko dla tych, którzy są krnąbrni i niepoprawni. W każdym pułku tacy się znajdują; nie brak ich także w legjonie. Po roku 1870 dołączono także do kodeksu karnego artykuł, który opiewa: „pijaństwo nie może być uważane przy wszystkich wykroczeniach za czynnik łagodzący, lecz przeciwnie“.

Pułk legji składał się z 4-ch bataljonów. W chwili, kiedy wstąpiłem, było dużo Francuzów, bo legjon, jak wszędzie, bił się walecznie i w 1870 poniósł ogromne straty, szczególnie pod Orleanem. Tam to padł śmiercią walecznych brat mój stryjeczny, Kazimierz, a pozostawił między kolegami wspomnienie dzielnego żołnierza.

Po wojnie legjon, jak i inne pułki, przechodził rozmaite losy. Duże zmiany zaszły w regulaminie, a szczególnie w służbie polowej. Poza-

prowadzano także różne oszczędności, na które żołnierz szemrał niekiedy, ale które były nieodzowne po takiej dezorganizacji armji, jaka się wkradła po r. 1870.

Legjon jest umundurowany tak samo, jak cała piechota, a więc: mundur ciemno-granatowy, guziki błyszczące we dwa rzędy, wypustki i kołnierz czerwone, pantalone czerwone, szynel niebieski, kepi czerwone z niebieskim lampasem. Szlify: wierzchy zielone, a frendzle czerwone; trzewiki płytke, na wierzch kamasze białe na lato, w zimie skórzane. Piechota francuska ma na kepi i guzikach numer właściwego pułku, legjon zaś — gwiazdkę.

Pożywienie żołnierza dobre i dostateczne: rano kawa czarna, o godz. 10-tej zupa, mięso i jarzyna, o 4-tej po południu toż samo. W garnizonach, gdzie służba jest cięższa, lub w marszach dostaje każdy także $\frac{1}{4}$ litra dobrego wina, a niekiedy i koniak. Chleb dają doskonały, tylko dla tych, co mają dobry apetyt, nieco za mało, bo tylko $1\frac{1}{2}$ funta naszej wagi dziennie.

Żołd jest bajecznie mały, bo zaledwie 7 centymów dziennie. Utał się ten zwyczaj we Francji, że żołnierzowi nawet najbiedniejsza rodzina kilka franków miesięcznie przysyła.

Służba moja w legjonie z początku była przykra. Nie miałem tutaj żadnej protekcji,

ani przyjaciół. Brak mi było zacnego porucznika Zielińskiego. Musiałem, jako prosty żołnierz, wypełniać rozmaite usługi, niezbędne w życiu żołnierskiem, pracować sobie samemu bieliznę i t. p., a ciężko mi to wszystko przychodziło. Pocieszałem się tylko nadzieją, że to prędko skończyć się musi, że długo prostym żołnierzem nie zostanę.

Mustry, wszelkie obroty z bronią przychodziły mi z wielką łatwością. Robiłem to z prawdziwym zamiłowaniem. Zwracałem także wielką uwagę na noszenie mundurów, bo czystość tu jest posunięta aż do drobiazgowości; żołnierzy abnegatów nie lubią w wojsku i źle ich traktują.

W dużych garnizonach, jak Maskara, Sidi-Bell-Abbes, Oran i wielu innych, służba jest cięższa, a to z powodu wart, zaciąganych przy więzieniach, odwachach, rozmaitych składach wojskowych, prochowniach i t. p., tak, że żołnierze najczęściej dwa dni spędzają w koszarach, a trzeci na warcie.

Po sześciu miesiącach służby już trochę odetchnąłem, bo zostałem wice-kapralem. Przewszystkiemu jestem już wolny od wszelkich posług żołnierskich i żołd biorę podwójny.

Zanim wyruszę z Maskary, zaznajomię czytelnika z moimi oficerami. Pułkownik hr. de

Malarette, człowiek jako administrator bardzo zdolny, ale surowy, niesympatyczny, nie lubiony ani przez oficerów, ani też przez żołnierzy.

Dodać należy, że pułkownik uchodził za złego żołnierza. W czasie wojny 1870—71 r. dowodził ciągle pułkiem podpułkownik de Gant, a pułkownik gdzieś tam chorował, a potem szukał swego pułku, nie mogąc go znaleźć.

O ile nie lubiliśmy pułkownika, o tyle podpułkownik był uwielbiany przez wszystkich.

Majorem mego bataljonu był de Rouille, dzielny żołnierz, typ oficera napoleońskiego. Z kapitanów Bochat, przewany przez żołnierzy: „Ojciec Bochat“, poczciwości i zacności człowiek, Szwajcar rodem; żołnierz poszedłby za nim w ogień.

Porucznikiem moim był Hiszpan, książę de Porto-Carero, który po upadku karlistów wstąpił do legjonu. Kuzyn Don Karłosa, grzeczny, uprzejmy, szczególną otaczał mnie życzliwością. Znał historję Polski doskonale.

W innych bataljonach i kompanjach, o ile dziś pamiętam, był kapitan Stolański, Poznańczyk; wysłużył całą emeryturę, odbył kampanję krymską, włoską, meksykańską i nie wiem ile ekspedycji w Algerji, był kawalerem Krzyża legji honorowej i wielu dekoracji. Nie chciał się naturalizować i dlatego nie mógł być wyz-

szym oficerem. Był także kapitan Różycki, ale krótko. Z poruczników przede wszystkim wymienię Bolesława Świętorzeckiego, którego nazwisko znane jest na ziemiach polskich. Dowódca w r. 63-im na Litwie. W legji stał się legendowym, jako obrońca wszystkich, którzy czuli się nieszczęśliwymi. Niejeden żołnierz zawdzięcza mu, że nie poszedł pod sąd wojenny. Oficer nadzwyczaj świątły, dystyngowany, znał służbę tak, że nawet pułkownik nigdy żadnej uwagi nie mógł mu zrobić, pomimo że go nie lubił za jego popularność. To też ciągle usuwany daleko był od sztabu. Jakiś rok był w Oranie komendantem *petit-depôt*. Nie przeszkodziło to jednak, że generał dywizji, Osmont, powołał go do swego boku jako adjutanta sztabowego. Było to ogromne wyróżnienie. Naszemu pułkownikowi nos się wydłużył. W całej dywizji nie brak było oficerów Francuzów z wyższem wykształceniem wojskowem, a jednak generał wyróżnił porucznika Świętorzeckiego.

Nie znałem go osobiście, ale doznałem także jego dobroci, bo on wszystkimi Polakami się opiekował.

Będąc ciężko chory, leżałem w szpitalu w Saidzie. Porucznik Świętorzecki, dowiedziawszy się o tem, napisał list do mnie, zapytu-

jąc, czy czego nie potrzebuję i czy nie życzyłbym sobie dla ratowania zdrowia wyjechać do Francji.

W parę lat później zrobiłem mu niespodziankę. Kolega mój i przyjaciel Van Vin dostał rozkaz udania się do Oranu w jakimś interesie wojskowym. Było to jakoś koło Bożego Narodzenia. Otóż ja nauczyłem Van Vina po polsku, aby mu powinszował. Wiedziałem, że mu to wielką przyjemność sprawi. Opowiadał mi potem Van Vin, powróciwszy, że kiedy mu powinszował w tych słowach: „Winszuję porucznikowi świąt Bożego Narodzenia“ (naturalnie z akcentem francuskim), to Świętorzecki zdumiał się na razie, a następnie, porwawszy go w ramiona, serdecznie uściskał, aż łzy radości miał w oczach.

W tym czasie byłem już sierżantem.

Z innych oficerów wymienię także hr. Walewskiego. Syn b. ministra spraw zagranicznych, wnuk sławnej Walewskiej, bardzo ładny chłopiec, chociaż tak młody, nosił już Krzyż legji honorowej. Krótko był w legjonie.

Był także podporucznik Kazimierz Biało-błocki, oficer, który zadawał ogromnego szyku i uchodził za człowieka bogatego. Pułkownik go także nie lubił, a to dlatego, że gdy był sierżantem, rozkazem telegraficznym przez mi-

nistra wojny mianowany został porucznikiem, pomimo że pułkownik na listę awansu go nie podał. Widocznie Białobłocki miał tam kogoś w Paryżu u steru rządu. Ta nominacja wielkie wrażenie zrobiła w pułku, bo to rzecz niezwykajna.

Po powrocie do Warszawy, widywaliśmy się często i niejedną chwilę wesołą przepędziliśmy, wspominając legion.

Był także adjutant bataljonowy Dąbrowski. Sierżantów w moim bataljonie było kilku Polaków, a mianowicie: Wrzosek, de Biller, Sokołowski, hr. Branicki, Tadeusz Brynk, Bardecki, z kaprali: Alfred Pilars, wice-kapralowie: Glinkowski, Brzycki i Reclaw. Trzej ostatni to byli dragoni pruscy. W r. 1870-ym przeszli do Francuzów nietylko sami, ale przyprowadzili przemocą podoficera Prusaka. Podobno w wojsku pruskim strasznie im dokuczał i prześladował. Gdy raz byli wysłani na patrol, skorzystali z tego i tak się zemścili na swoim prześladowcy. Naturalnie, że już nigdy nie będą mogli wrócić do swej ojczyzny, bo ich tam czeka śmierć niechybna.

Po sześciomiesięcznym pobycie w Maskarze bataljon mój wyruszył do Sidi-Bell-Abbes. Jest to kilka dni marszu. Pierwszy to raz ruszamy w pełnym rynsztunku bojowym.

Marsze odbywają się w dobrych warunkach. Idziemy okolicami dosyć żyznymi, szosami. Etapy niewielkie, wody poddostatkim, tylko tornister okropnie dokucza.

Żołnierz wszystko, co posiada, mieści w tornistrze, albo na tornistrze, oprócz tego kawał płótna żaglowego na namiot, dwa kije składane okute, kołdrę wełnianą, prócz tego: 10 paczek naboji, z których 6 w tornistrze, często także na trzy dni żywności zapasowej, oprócz tego manierka z 2-ma litrami wody. Wszystko to razem tworzy ciężar nielada. Dodać do tego należy szaspot i szablę-bagnet, co przy gorącu nieraz 45 stopni jest zabójcze.

Trzeba być zdrowym i silnym, a przede wszystkim mieć silną wolę, aby nie upaść pod tym ciężarem.

W marszach często zdarzają się samobójstwa. Są wprowadzicie ambulanse i tak zwane „kakole“: dwa krzeselka, uczepione z każdej strony muła, — dla chorych, lecz to dla bardzo chorych, nie zaś dla tych, którzy są zmęczeni, bo tu wszyscy cierpią, a iść jednakże trzeba.

Jeżeli etapy nie są większe, jak 30 kilometrów, niema dłuższego odpoczynku, dopiero co 5 kilometrów jest 10 minut wytchnienia. Z jakąż to wówczas ulgą zrzuca się ten nieznośny tornister! Jeżeli etapy większe, to na pół drogi

robi się odpoczynek dwugodzinny. Wtedy to gotują i rozdają kawę lub wino.

Z etapu wychodzi się o godz. 2-iej nad ranem, aby jak najmniej maszerować w sam upał. Pomimo zmęczenia żołnierze w drodze ciągle prawie śpiewają, a co raz muzyka gra wesołe melodje i marsze.

W Algierji zawsze jest stan nawpół wojenny. W wielu miejscowościach komendanci wojskowi są zarazem sędziami pokoju i dla ludności miejscowej są także tak zwane „Biura arabskie“, komenderowane przez oficerów Francuzów; pod ich rozkazami są wszyscy „kajdzi“ i naczelnicy arabscy.

Wojsko żadnej prawie styczności nie ma z krajowcami. Patrzymy na siebie wrogo i niedowierzająco. Do bardzo rzadkich wyjątków należy żołnierz, który zna choć trochę arabski język, z wyjątkiem urzędowych tłumaczy. Ale za to każdy żołnierz umie doskonale wymyślać po arabsku.

Faworyzowani są przez rząd wielcy dygnitarze arabscy, jak naprzykład basza-aga z Fren dy. Jest wśród nich wielu kawalerów i oficerów legji honorowej.

Sidi - Bell - Abbes, do któregośmy przybyli, jest miastem z kilku tysiącami europejczyków. Jak wszystkie inne, obronne; garnizon składa

się, oprócz naszego bataljonu, z bataljonu żuawów, 2-ch szwadronów strzelców konnych afrykańskich i 2-ch baterji górskich.

Okolice i przedmieścia są prześliczne. Pełno domków, otoczonych pięknymi ogrodami. Dzielniee arabskie poza miastem brudne, uliczki wąziutkie, domy wyglądają, jak lepianki. Pełno w nich jakichś korytarzy, korytarzyków, zaułków, tak, że wszedłszy, trudno się zorjentować.

Po paru miesiącach pobytu i względnego pokoju, bo się nie zanosilo na żadną ruchawkę — naraz nadchodzi wieść, że o 40 kilometrów od Sidi-Bell-Abbes pokazała się banda rabusiów, która niszczy i morduje kolonistów.

Wyrusza natychmiast szwadron strzelców i moja kompanja za nim. Rozkaz jest gwałtowny, maszerujemy więc forsownie. Przechozimy przez kilka wiosek europejskich. Koloniści są przeważnie rodem z Alzacji. Witają nas z radością, bo już drżą przed Arabami.

Marsz był ciężki, ale dosyć wesoło go przebyliśmy. We wsiach wszędzie nas częstowano dobrem winem.

Stanąwszy na miejscu, zastaliśmy już konnych strzelców w biwaku i wysłane patrole w okolice.

Rozłożywszy się obozem w naszych małych namiotach, oczekujemy dalszych rozkazów.

Nigdy w życiu nie widziałem w jednym miejscu takich mas drzew brzoskwiniowych. Cała plantacja kilkomorgowa. Drzewa aż się łamały pod ciężarem owoców. Właściciel, stary Hiszpan, zachęcał nas do zrywania, prosił tylko, aby szanować drzewa.

Cały miesiąc spędziliśmy wesoło. Służby prawie żadnej, oprócz straży biwakowej. Wyczekiwaliśmy Arabów, ale nie mieli widocznie chęci spotkać się z nami. Spalili tylko przed naszym przybyciem kilka ferm i znikli; nawet kawalerja nie mogła ich doścignąć.

Takie napady bandyckie często się zdarzają, dlatego też trzeba mieć w pogotowiu tak zwane „kolumny ruchome“. Bywają one nieraz po parę miesięcy w drodze i zmęczone okropnie, z dużą liczbą chorych, bez dania jednego wystrzału wracają do garnizonu, aby po jakimś czasie znowu wyruszyć.

Kilka miesięcy przepędziliśmy spokojnie w Sidi-Bell-Abbes. Wracamy znowu do Maskary z niewielką wprawdzie ochotą, bo tam pułkownik rezyduje i niema końca z rewjami i inspekcjami, któremi nam porządnie dokucza.

Z czterech bataljonów zawsze jeden pozostaje z pułkownikiem w Maskarze. Zdarza się

często, że niektóre bataljony i po trzy lata się nie spotykają, bo są rozrzucone na ogromnych przestrzeniach. W tych razach majorowie komenderują samodzielnie bataljonami, zdają tylko raporty tygodniowe pułkownikowi i odbierają rozkazy.

Służba w Maskarze jest cięższa, niż w innych mniejszych garnizonach, z powodu zaciągania wielu wart, a także więcej skomplikowanych pułkowych manewrów. Rezyduje tu również stale generał brygady. Oprócz bataljonu legji, stoi tu także bataljon turkosów, dwa szwadrony spahisów i artylerja.

W Maskarze mój kapitan podał mnie do awansu na kaprała. Z obawą oczekuję dnia, kiedy mnie powołają do pułkownika, bo, jakem już wspomniał, boimy się go jak ognia. Chociaż kandydaci, podani przez swego majora i kapitana, zazwyczaj bywają zatwierdzani, zdarzało się jednak, że pułkownik odrzucił kandydata, gdyż taka była jego fantazja.

W dniu naznaczonym jestem przedstawiony. Przedtem kapitan mój obejrzał mnie od stóp do głowy, czy wszystko jest po formie.

Pułkownik tego dnia był wyjątkowo w dobrym humorze. Zapytał, czy jestem Polakiem, z której części Polski, czy odbyłem kampanję i gdzie mianowicie, a kiedy mu odpowiedzia-

łem, że w Belforcie, odpowiedział: „Tak dobrze się tam bronili“, popatrzył jeszcze chwilę i dodał: „Dziękuję!“.

Wracam pośpiesznie do koszar, bo tam dopiero dowiem się, czy jestem nominowany. W drodze podoficer służbowy dogonił mnie: niesie rozkaz, że zostałem zatwierdzony.

Niezmiernie jestem uradowany. Nowi kole-dzy prowadzą mię zaraz do kantyny, ugaszczają winem i piją moje zdrowie. Przyszywszy galony na rękawy, przedstawiam się memu nowemu kapitanowi i jestem zaproszony przez niego na obiad w klubie oficerskim, bo taki tu zwyczaj panuje.

W nowej kompanji zastaję kaprała-furjera Branickiego. Dziwny to typ żołnierza: Polak tylko z nazwiska. Ojciec jego osobiście go tu przywiózł z wielkimi protekcjami. Z początku pułkownik go faworyzował, nawet mu pozwolił stać w hotelu, ale Branicki tak się zachowywał, że wszystkie te przywileje utracił. Służbę lekcewał, pozwalał sobie na rozmaite wybryki; mając dużo pieniędzy do wyrzucenia, demoralizował innych podoficerów, wyciągając ich na rozmaite birbantki, to też wkrótce częściej był w areszcie, niż na wolności, a wogóle niedługo bawił w legji. Przeniesiono go do jakiegoś pułku dragonów we Francji.

W Maskarze pułkownik nie da się nam nudzić. Cały dzień zajęty, od 6-tej rano z małymi przestankami do 6-ej wieczór: manewry, strzelanie do celu, gimnastyka, szkoła, fechtunek, tańce, bo i to obowiązkowe. Po 6-ej dopiero żołnierz może wyjść na spacer.

Wychodząc z koszar, każdy musi się prezentować podoficerowi służbowemu, który go na wszystkie strony ogląda, czy uniform jest czysty, szabla świecąca, guziki czy błyszczą.

Wieczorem o godzinie 8-ej każdy musi być w koszarach.

Jeden jeszcze wybryk, na który pozwalał sobie nasz pułkownik: oto najczęściej w niedzielę lub święto urządzał uciążliwe przeglądy na placu broni i trzymał nas po 3 lub 4 godziny. Szemrali na to żołnierze i oficerowie, aż nakoniec arcybiskup Algieru wdał się w tę sprawę i w święta przeglądy zostały skasowane.

Wieczorami po służbie prawie codziennie zbieraliśmy się Polacy razem i na gawędce o kraju i o wszystkim, co nam było drogie, czas prędko schodził.

W legji najliczniej byli reprezentowani: Francuzi, Belgijczycy, Niemcy i Polacy, mniej Włosi i Hiszpanie, a po 71-ym roku Alzatzycy.

Rosjanina ani jednego nie było.

Z Maskary mój bataljon wyruszył do Saidu, aby złuzować tamtejszy garnizon. Trzy dni marszu. Tu jeszcze są dobre szosy. Mija się parę ładnych wiosek, spotyka się gdzieś pola urodzajne, ale to już koniec tak zwanego Telu, to jest pasa ziemi urodzajnej. Za Saida zaczyna się step i brak wody.

Saida — małe miasteczko, ufortyfikowane. Mój bataljon stoi za miastem, bo wewnątrz za ciasno. Mieszkamy w małych piwniczkach z dachami z liści oleandrowych. Do środka wchodzi się po kilku stopniach, wykutych w ziemi.

Nie paradne to pomieszczenie, ale lepsze, niż w małych namiotach, w których stać nie można, lecz tylko siedzieć, lub leżeć, a przytem w dzień nie tak gorąco.

Żołnierze z płótna namiotowego porobili sobie rodzaj materaców, wypełnionych alfą. Nie bardzo to wygodne, ale gdy się ma 20 lat, to śpi się doskonale.

Często w tych naszych lokalach mamy odwiedziny skorpjonów, to też budząc się, oglądamy, czy który pod kołdrę się nie wsunął, bo one lubią ciepło. Chodzi o to, ażeby go czasami nie nacisnąć, bo wtedy kłuje, a ukłucie to jest bardzo niebezpieczne. Jednemu z Polaków, sierżantowi Cieszkowskiemu, musiano odjąć palec wskazujący.

Służba w tutejszej załodze lżejsza, niż w Ma-skarze, ale pomimo to bardzo dużo jest chorych. Przyczyną tego jest sypianie w wilgoci; woda także do picia szkodliwa. Dla polepszenia zdro-wia dostaje tu żołnierz dodatkową porcję wina.

Z początku mieliśmy kilka nocnych alar-mów; posterunki strzelają do podkradających się hyjen i szakali, ale potem zabroniono strze-lać. Zresztą przyzwyczailiśmy się do tego skom-lenia i wycia. Nikt sobie z tego nic nie robi. Są to zwierzęta tchórzliwe, a w dzień prawie nigdy ich zobaczyć nie można.

Przez trzy miesiące miałem tu bardzo do-brą służbę; zostałem odkomenderowany z 20 ludźmi do wsi Nazaret, pięć kilometrów od Saidu. Wieś ta budowała się dla Alzatzczyków. Ludzie moi byli do rozporządzenia inżynierji.

Śliczna to wioseczka, budowana po woj-skowemu. Domki murowane, dachówką czer-woną kryte, otoczone ogródkami, w środku wsi na placu kościół w stylu gotyckim. Miłe bar-dzo robiło to wrażenie. Zdawało mi się, że jestem w Alzacji, a przytem wszyscy ci ludzie byli dla nas bardzo uprzejmi, gościnni; starzy Alzatzczycy, choć źle mówili po francusku, ale wszyscy wielcy patrijoci, nie chcieli nawet sły-szeć o Prusakach.

W kilka lat później, będąc już w służbie holenderskiej, dowiedziałem się, że ta piękna wioska została zrabowana, spalona, część ludności wyrżnięta przez bandy Arabów, a nasz osławiony pułkownik za spóźnienie się z pomocą poszedł pod sąd i dostał dymisję.

Jeszcze kilka miesięcy spędziłem w Saida. Zdrowie mi dotąd dopisywało ostatecznie; źle nam tu nie było, ale zaczęliśmy się nudzić. Żołnierz ma tę naturę, że ciągle dąży do czegoś nowego, choćby gorzej, to nic, aby przyszło coś, czego się jeszcze nie doświadczyło.

Nakoniec dostajemy rozkaz wymarszu do Géryville. Jest to najobrzydliwszy garnizon z całej prowincji Oran, ostatni posterunek francuski już na brzegu Sahary. Dziewięć dni marszu etapem, bez wody i drzewa. Niektóre etapy liczą więcej, niż 40 kilometrów; nawet duarów arabskich już się tu nie spotyka.

Na etapach stoją tak zwane karawan-seraj. Jest to budynek, obwiedziony wysokim murem, ze strzelnicami; w środku studnia, zazwyczaj tylko kilku Hiszpanów w nim mieszka; pilnują wody.

Idziemy bez drogi, bo choćby i była, to ją siroko zasypie doszczętnie; marsze strasznie męczące, gdyż noga w piasku więźnie po kostki; upały zabijające, a ten nieszczęśliwy tor-

nister dobija ostatecznie. Żadna armja europejska takich ciężarów nie nosi.

Droga idzie stopniowo pod górę, bo to płaskowzgórze Atlasu. W dzień upały do 45 stopni, a w nocy termometr spada na zero. Nieraz rano wstajemy o 2-iej po północy, grzejemy ręce przy małych ogniskach, bo nie można nawet zwinąć tornistra. Dodać należy, że sypiamy w malutkich namiotach na gołej ziemi, okrytej tylko kołdrą wełnianą. Zasypia się w potach, a budzi się, dzwoniąc zębami.

Żywność, jaką otrzymuje żołnierz w marszu, jest dostateczna. Mięsa dają dużo, ale cóż, kiedy go jeść nie można. Woły, które pędzimy z sobą i które codziennie się zabija, są wyczerpane gorącem i brakiem wody, wskutek czego mięso ich jest niesmaczne. Żyjemy przeważnie czarną kawą, która zawsze jest dobra, dodaje sił i podnieca na razie.

Po kilkodniowym marszu, stajemy w Sisiefie. Jest to rodzaj reduty z załogą pół kompanji piechoty, sekcją artylerji i oddziałem intendenty. Załogę tę luzują co trzy miesiące. Mamy tutaj dzień odpoczynku.

Jak okiem sięgnąć, a widzi się na ogromny dystans, step piaszczysty, gdzieniegdzie małe wyniosłości z piasku, naniesione wiatrami; ani jednego drzewka, ani trawki. Czasami przela-

tują stadka gazeli, cztery lub pięć sztuk, ale nie bliżej jak na 500 lub 600 metrów, lub dalej, tak, że niepodobna do nich strzelać. Śliczne to stworzonka, wielkości naszej sarny, lecz jeszcze zgrabniejsze; mięso ich jest doskonałe. W Géryville kilka razy do nich strzelałem, lecz nigdy nie udało mi się żadnej zabić. Raz tylko byłem świadkiem, jak sierżant Bardecki zabił jedną, podnosząc klapkę wizjerową na 800 metrów. Naturalnie był to strzał przypadkowy. Arabowie polują na gazy z zasadki, gdy zwierzęta w rzadkich oazach przychodzą pić wodę.

Po wypoczynku w Sisifie, ruszamy w dalszą drogę, jeszcze coś z pięć etapów. Marsze ciągle uciążliwe, zdala widać łańcuch Atlasu. Brak wody dokucza niemiłosiernie.

Wychodząc z etapu, żołnierz bierze w manierkę (tak zwany bidon) dwa litry wody, ale kiedy słońce zacznie przypiekać, to za parę godzin wypije, a całą drogę idzie spragniony. Szczególnie robią tak młodzi żołnierze. Starsi biorą do ust kamyki, bo tym sposobem wytwarza się obfitsza ślina, usta nie pękają i mniej się czuje pragnienia.

Mimo tych uciążliwych marszów, wesołość panuje w szeregach. Śpiewy, żarciki ciągle. Oficerowie ten ton podtrzymują, aby żołnierz

nie upadał na duchu. Zbliżenie oficerów do żołnierzy i ich zachowanie więcej poufałe wzmagają się tem więcej, im żołnierz bardziej strudzony.

Przedostatni etap Kenikazir. Tu jest także karawan-seraj ze studnią historyczną, do której wrzuconych zostało, jeżeli się nie mylę, 1862 r. kilkudziesięciu żołnierzy francuskich. Na pamiętkę wmurowano tablicę, a wojska przechodzące zawsze prezentują broń.

W drodze przechodzimy także przez jeziora słone. Są one wyschnięte, a pokryte jakby cienkim lodem. Niektóre z nich kilkanaście kilometrów długie. Przy przechodzeniu noga się zapada. Tutaj często obserwuje się te sławne miraży. Widać czasami w oddali jakby jakieś miasta, okręty, wodę. Niestety, zbliżyć się do nich nie można, bo to ciągle ucieka.

Z Kenikazir jeszcze 38 kilometrów. Nakoniec Géryville. Idziemy rażno, bo z nadzieją wypoczynku. Przed samem Gérywillem przechodzimy wąwozy między górami. Jest to zachodnia część Atlasu algierskiego.

Na parę kilometrów przed przybyciem spotykamy oficerów i żołnierzy, którzy przyszli na nasze spotkanie. Serdeczne powitania; wielu się nie widziało po parę lat, setki pytań się krzyżują. Zastaję tu kilkunastu Polaków.

Géryville jest silną redutą, w środku szpital, rozmaite magazyny, mieszkania wyższych oficerów. Poza murami kilkadziesiąt lepianek arabskich. Nigdzie żadnej roślinności, choćby na lekarstwo, tylko pustynia bez końca.

Garnizon składa się z jednego bataljonu legji, jednego zuawów, dwóch szwadronów spahisów i artylerji. W środku reduty stoi tylko jedna kompanja, a reszta wojska poza murami, w barakach, a raczej w lepiankach, tylko że nie w ziemi, jak w Saidzie, ale ponad ziemią.

Rok tu trzeba przesiedzieć, że tak powiem, w odosobnieniu od świata. Poczta jest tylko wojskowa, dwa razy tygodniowo.

Kupić nic nie można, a co jest, to bajecznie drogie. Wino, które w Maskarze płacimy 40 centymów litr, bardzo dobre, tu płacimy franka za butelkę. W tym stosunku wszystko. Legumin i jarzyn żadnych; wszystko tylko suszone; z owoców tylko jedne daktyle i czasami można dostać fig suszonych. Ale choć jedną rzecz ma dobrą Géryville: znakomitą wodę ze źródła, wytryskującego u podnóża gór. Woda jak kryształ i zawsze zimna. Rurami sprowadza się ją o 5 kilometrów; ale chcąc się nią uraczyć, chodzimy często do źródła, bo ta, co rurami przychodzi, jest już ciepła.

Wojsko tu większej swobody używa. Poza niezbędnymi ćwiczeniami i wartami, nie męczą nas tu przeglądami i tą aż do przesady czystością. Trzeba się liczyć z tem, że jesteśmy wystawieni na pierwsze uderzenie, jeżeli jaki bunt się podniesie. Dziś jest spokojnie, ale nikt nie zaręczy, co będzie za tydzień.

Życie tu pędzimy monotonne; z Arabami żadnych nie utrzymujemy stosunków. Kobiet arabskich prawie nigdy nie widać, a te, co się spotyka czasami, są obrzydliwie brudne. Od czasu do czasu zjeżdżają się tu do biura arabskiego kaidzi i szeicy. Wtedy można się napatrzeć na piękne konie, bo te, co się widuje codziennie, to marne szkapy, chociaż przyznają im wielkie zalety wytrzymałości w biegu.

Czasami wymykamy się w góry, chociaż nie bardzo to wolno i nie nader bezpiecznie. Pewnego dnia zapędziłem się za dwoma dużymi orłami. Chciałem je podejść choćby na sto metrów, ale ciągle się zrywały i opadały w bliskości, a ja znowu za nimi czołgałem się po stromych skałach, co chwila narażając się na skręcenie karku. Nakoniec zmęczony, bo to trwało parę godzin, strzeliłem do nich, może na jakie 250 metrów. Naturalnie po strzale z takiej odległości poleciały daleko, a ja z niczem powróciłem do domu.

Po drodze zwróciło moją uwagę coś błyszczącego, koloru złoto-zielonego. Przybliżywszy się nieco, ujrzałem wielką jaszczurkę, wygrzewającą się na słońcu; miała z ogonem metr długości. Gad ten jest zupełnie nieszkodliwy, to też, napatrzywszy się, zostawiłem ją w spokoju.

Mieliśmy tu sensację, a mianowicie pojedynek między dwoma oficerami. Rzecz się tak miała. Co drugi dzień żołnierze idą kompanjami po odbiór chleba z administracji. Przy każdym oddziale jest oficer, dla sprawdzenia, czy chleb jest dobry i czy ma wagę. Wydanie paru tysięcy chlebów wymaga pewnego czasu, tak, że jednego dnia pierwszy jest legjon, a drugiego żuawi, i tak na zmiany.

Otóż dnia tego legjon miał pierwszy odbierać, a żuawi czekać. Legjoniści się podsuwają, oficer żuawów protestuje, że to żuawi mają być pierwsi. Nasz oficer zwraca uwagę, że kolej na legjon. Na to brzmi odpowiedź:

— Legjon może poczekać.

Następuje sprzeczka, która kończy się wyzwaniem.

Na drugi dzień odbył się pojedynek na szpady, który skończył się fatalnie. Przy trzecim złożeniu oficer żuawów został przeszyty

na wylot i po kilkunastu minutach ducha wyzionął.

Pojedynki w armji są częste i tolerowane, tak, że odbywają się nawet między prostymi żołnierzami, ale zwykle kończą się lekkimi ranami, bo pojedynek musi się odbywać przy zachowywaniu prawideł szermierstwa i w obecności „metra broni“, który nieprawidłowe pchnięcia odbija, a przytem i sekundanci starają się o wynik jak najlżejszy.

* * *

Żle się zaczyna u nas dziać, albowiem codziennie zapada wielu żołnierzy na febrę. Środki zaradcze nie pomagają. Ja jakoś dotąd trzymam się odpornie, ale czuję się nie dobrze. Straciłem apetyt. Nakoniec i na mnie przyszła kolej. Doktor odsyła mnie do szpitala.

Szpital tutejszy, nieobliczony na tak wielką ilość chorych, bo to zanosi się na epidemję, wiele pozostawia do życzenia, a tu codziennie liczba chorych się zwiększa i niema gdzie już ich mieścić.

Już sześć tygodni jestem chory. Co drugi dzień szalone ataki febry, upadek sił ogromny, chinina nie działa. Żołądek nie przyjmuje pokarmów, nie jestem już w stanie przejść kilka kroków po sali.

Przychodzi rozkaz, aby nas przetransportowano do większych szpitali. Przygotowują cały transport 200 wielbłądów i kilkadziesiąt mułów z kakolami. Resztę bataljonu mają zastąpić turkosi. Smutny to bardzo pochód. Mnie wsadzili na wielbłąda, ale już drugiego dnia powiedziałem doktorowi, że dłużej wytrzymać nie mogę tego rodzaju jazdy, wolę zostać na stepie i czekać śmierci.

Podróż na wielbłądzie dla zdrowego jest męcząca przy tem ciągłym bujaniu, a cóż dopiero dla chorego. Doktor się jakoś ulitował nade mną. Znajduje się muł. Kładą mnie do małego łóżka. Po drugiej stronie muła mam żuawa, któremu nie bardzo wiele się należy. Łóżeczka te są przyczepione na hakach do rodzaju kulbaki, żołnierz prowadzi muła przy pysku. Teraz już mi daleko wygodniej i nie tak cierpię. Przybywszy do szpitala w Saidzie i po kilkodniowym tu wypoczynku, wysyłają nas do Maskary.

Tutaj szpital jest obszerniejszy i już więcej odpowiedni dla ciężko chorych, tylko bieda, że i tu niema sióstr miłosierdzia, tych prawdziwych opiekunek żołnierzy.

Dwa tygodnie tu przeleżałem. Doktorzy, widząc, że zdrowie się nie polepsza, przedstawili mnie komisji, która, nie widząc już środ-

ków ratunku na miejscu, kwalifikuje kilkunastu najciężej chorych do Francji.

Znowu więc w drogę, do Oranu, tym razem już wygodnymi ambulansami. Podróż odbywamy dosyć szybko w asystencji dwóch doktorów.

W Oranie szpital wspaniały, zupełnie jak we Francji. Nic tu nie brak, co może ulgę przynieść choremu. Siostry miłosierdzia prześcigają się, aby nam osłodzić ciężką dolę.

Wyglądamy wszyscy, jak kościotrupy, bez włosów na głowie. Gdy tylko wzmocnimy się troszkę, wyślą nas do Marsylji.

Po dziesięciodniowej troskliwej opiece, czuję się troszkę lepiej, ataki febry są słabsze; widocznie powietrze nadmorskie zbawiennie działa, a przytem nadzieja zobaczenia Francji dodaje mi sił.

Następuje dzień wyjazdu.

Morze dosyć spokojne. Jedziemy okrętem szpitalnym. Drugiego dnia podróży czuję się o wiele lepiej, siedzę na pomoście. Powietrze morskie ogromnie dobrze mi robi. Pierwszy raz od wielu miesięcy wypilem kieliszek wina i zjadłem parę biszkoptów z apetytem.

W Marsylji prosto z okrętu transportują nas na pociąg i po dwóch godzinach stajemy w Tulonie. Umieszczają nas tu w szpitalu

marynarki, gdzie po kilku dniach ataki febry zupełnie ustały i jako tako trzymam się na nogach.

Znowu na okręt — i po paru godzinach stajemy przy wyspie Porcrolles, jednej z archipelagu d'Hieres. Śliczna wysepka, z brzegów tylko zamieszкана; środek zajmują lasy i łąki. Zastaję wojskowych rozmaitej broni z kolonji, a więc z Senegalu, Algerji, Tonkinu, Kochinchiny. Wszyscy są tu po to, aby po długiej kuracji odzyskać siły.

Umieszczeni jesteśmy w pawilonach parterowych nad samem morzem. Pobyt tutaj trwa sześć miesięcy, a niekiedy i dłużej. Jeżeli kto zachoruje ciężiej, odsyłają go do Tulonu.

Wstajemy tutaj o godz. 7-ej i po wypiciu kawy idziemy na spacer do godz. 10-ej, bo to godzina śniadaniowa, potem spacer lub spoczynek, o 4-ej godzinie obiad, o 8-ej kawa, a o godz. 9-ej spać idziemy.

Żywieni jesteśmy doskonale i otrzymujemy pół litra wina dziennie, a oprócz tego, przyrządzamy sobie przysmaki z rozmaitych ślimaków i mięczaków morskich.

W miasteczku wszystko jest bajecznie tanie: winogrona 10 centymów kilogram, a wino młode 20 centymów litr.

Co tydzień jesteśmy rewidowani przez doktorów i ważeni. Żadnego tu krępowania w uniformie, każdy ubiera się, jak mu wygodniej.

Powietrze znakomite; lekki wiatr od morza ochładza temperaturę.

Zaraz po przyjeździe odwiedził mnie kapelan, a dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, nagadał mi komplementów i wymógł, że codziennie będę na mszy wojskowej w kaplicy. Mówił mi, że w jednym z sąsiednich pawilonów jest także Polak.

Ucieszyłem się z tego bardzo i zaraz na drugi dzień poszedłem na poszukiwanie. Nie wiedziałem nazwiska, pytałem więc spotkanych żołnierzy o Polaka. Wskazują mi numer taki a taki.

W rzeczywistości nie był to Polak, lecz Czerkies. W dzieciństwie był wzięty do niewoli na Kaukazie, potem wychowany i kształcony w Szkole paziów; później był sztabsrotmistrzem w jednym z pułków huzarów. Stał kilka lat garnizonem w Siedleckiem, mówił doskonale po polsku. Bardzo miły ten człowiek nazywał się Czywilow. Wstąpił do wojska francuskiego do 2-go pułku turkosów. Ułatwiło mu wstąpienie to, że był mahometaninem. Odbył kampanję w 1870—71 r. jako sierżant, stracił zdrowie i był tutaj jako rekonwalescent. Bar-

dzośmy się polubili. Najwięcej czasu w jego towarzystwie spędzałem.

Ja z każdym dniem czułem się tu silniejszy; ataki febry zupełnie ustąpiły i już po parę kilometrów robiłem w głąb wyspy. Jako pamiątka po przebytej chorobie pozostała głowa łyśa, jak kolano, co dziwnie wyglądało u chłopca 20-letniego. Później czupryna mi odrosła.

Cztery miesiące pobytu już minęły, czułem się zdrow i silny, zacząłem tęsknić do pułku i kolegów, więc prosiłem doktora o wysłanie mnie z powrotem. Po zbadaniu jednakże, zaopiniował, że jeszcze z miesiąc pozostanę tutaj.

Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu. Po serdecznem pożegnaniu z Czywilowem, przez Marsylję popłynąłem znowu do Oranu, gdzie komendant petit-depôt zatrzymuje mnie dla wy poczynku trzy dni i dyliżansem pocztowym odsyła do Maskary.

Zastałem moją kompanję z nowym kapitanem, panem Masson. Jest to Amerykanin, ale wychowany we Francji, oficer z wyższem wykształceniem wojskowem, nadzwyczaj ugrzeczny, lecz trzymający się sztywno. Chodzący regulamin! Na wstępie oświadczył mi, że poda mnie do awansu na sierżanta, ale muszę się przygotować do egzaminu. W bataljonie zastają także nowego adjutanta majora, p. de

Mibielle. Jest to stopień w innych armjach nieznanym. Obowiązkiem takiego oficera jest nadzór i wykształcenie podoficerów. Zawsze są to oficerowie, którzy ukończyli akademię wojskową.

O Maskarze już wspominałem, dodam tylko, że mieszka tu około 1500 Europejczyków cywilnych, w czem bodaj połowa Hiszpanów.

W okolicy piękne drogi, to jest szosy, przeważnie wysadżane migdałami. Dużo też widać drzew figowych. Fermerzy z okolic wyrabiają doskonale białe wino, przypominające Oporto, może tylko za mocne.

Znowu opuszczamy Maskarę, wracamy do Saidu. Żal nam muzyki pułkowej, której skład jest znakomity. Ustępuje ona tylko jednej, to jest muzyce Gwardji republikańskiej w Paryżu.

W Saidzie o tyle się zmieniło na lepsze, że już nie mieszkamy w lochach, ale mamy bardzo porządne tak zwane baraki. Są to budowle parterowe drewniane, sale widne, z dobrą wentylacją, a przytem już łóżka porządne z materacami. Podoficerowie mają osobne pokoje.

W trzy miesiące po przybyciu tutaj i po zdaniu egzaminu zostaję sierżantem z rozkazem przeniesienia do 2-go bataljonu, który obecnie stoi w Géryville.

Nie uśmiecha mi się podróż, ani też powrót do tego garnizonu, gdzie mało życiem nie przyplącałem pobytu, ale że jestem uradowany z nowego awansu, a nadewszystko, że położenie moje, dotychczas znośne, o wiele się poprawiło zarówno materjalnie, jak i moralnie, więc wesoło zapatruję się na wszystko.

Wyruszam na czele 24 ludzi i dwóch ze służby pociągowej, z czterema mułami. Żołnierze są wszyscy z tych, którzy opuścili szpitale i podążają do swego bataljonu. Muły niosą żywność. Jeżeliby kto zachorował w drodze, wpakuje się go na muła. Umieszczamy na nich także wszystkie tornistry. W tych warunkach bez wielkiego zmęczenia przychodzimy na pierwszy etap.

Po dłuższym wypoczynku o godz. 2-iej po północy daję rozkaz do wymarszu. Przed samym wyjściem żołnierze pociągowi proszą mnie, czy nie mogliby wyjść później o jaką godzinę, to i tak nas prędko dogonią; muły nie zdążyły jeszcze zjeść. Zgadzam się na to.

Noc jest dosyć chłodna, więc maszerujemy pośpiesznie, z początku nie robiąc nawet zwyczajowych przystanków. Żołnierze są doskonale usposobieni, całą drogę śpiewają i dowcipkują. O 10-iej rano powinniśmy być już na etapie.

W oddziale są przeważnie młodzi żołnierze, pierwszy raz tę drogę odbywający, ale jest też paru starszych, którzy już kilka razy tędy przechodzili. Zresztą ja sam dwa razy już tędy przechodziłem, nikomu więc do głowy nie przyszło, że można zbłądzić.

Po przebyciu może jakich 15 kilometrów stajemy. Mały wypoczynek. Księżyc świeci, ale słabo. Rozglądam się na wszystkie strony. Mam jakieś przeczucie, że źle idziemy. Wołam dwóch starszych żołnierzy i pytam się, co o tem myślą. Odpowiadają mi: „Ależ nie, sierżancie, dobrze idziemy. Znamy doskonale tę drogę“.

Nic nie mówię, lecz jestem niespokojny. Maszerujemy jeszcze z dobrą godzinę.

Teraz już jestem przekonany, że zbłądziliśmy, albowiem, po pierwsze, widzimy przed sobą step porośnięty alfą, a nigdy go przedtem, przechodząc tą drogą, nie widziałem. Po drugie, gdybyśmy szli dobrze, to już powinni nas dogonić żołnierze służby pociągowej, bo oni, na chłódzie, pewno kłusem jadą.

Przypominam sobie także, że na wschód z wielkiej odległości powinien się zarysować łańcuch gór Atlasu, a tymczasem nic nie widać.

Źle jest bardzo! Widzę, że to może katastrofą się zakończyć. Gdyby choć zdala można dojrzeć jakie „duary“, to jest namioty arab-

skie, albo spotkać jakiego Araba. Ale jak okiem sięgnąć — nic a nic.

Gdybyśmy choć mieli na jaki dzień żywności, lecz i żywność została na mułach.

Słońce zaczyna na dobre dopiekać. Z rozpaczą widzę, że kilku żołnierzy już ledwie wlecze nogi. Robię więc dłuższy wypoczynek.

Godzina 9 rano. Upał się wzmaga. Niektórzy prawie już wypili wodę ze swych bidonów. Zalecam jak największą wstrzeźliwość. Sam już biorę w usta kamyk.

Naradzamy się i postanawiamy trzymać się wschodu. Maszerujemy dalej, ale już wolno: co parę kilometrów trzeba wypoczywać, bo żar piecze. Od dwóch najsłabszych żołnierzy odbieram karabiny; niosą je mocniejsi.

Rozpacz mnie ogarnia. Co czynić dalej?

Jeszcze może uda się zrobić kilka kilometrów, a potem połowa żołnierzy się położy. Kwestja zresztą, czy jesteśmy na dobrej drodze. Mało który z żołnierzy ma jeszcze trochę wody. Ja sam, mimo że oszczędzałem, połowę większą wypilem, a resztę trzeba będzie oddać tym, co są słabsi.

Nie idziemy, ale wleczymy się z trudnością. Dwóch najsłabszych trzeba pod rękę prowadzić, bo chcą zostać w pustyni.

Codzina 12-ta. Upał straszny. Iść już dalej niepodobna. Daję rozkaz spoczynku.

Piasek jest tak gorący, że ani na nim siedzieć, ani leżeć nie można. Obliczam, że zrobiliśmy pewno już ze 40 kilometrów. W początkowych godzinach maszerowaliśmy szybko, a cały etap powinien mieć 28 kilometrów. Przed sobą nic nie widzimy, zazwyczaj zaś karawanseraj dostrzega się na jakie 10 kilometrów.

Nie widzę punktu wyjścia. Bóg jeden wyratuje nas z tego nieszczęścia.

Już przeszło godzinę na tym żarze siedzimy. Co chwila wstaję, wypatruję na wszystkie strony. Już nie wiem, ile razy wstaję i siadam. Naraz, na dużą odległość, zdaje mi się, że coś się porusza.

Serce bije mi, jak młotem, z radości, ale nic nie mówię jeszcze nikomu, wyteżam wzrok i po mniej więcej 10 minutach wyraźnie już mogę rozpoznać dwóch jeźdźców. Wskazuję ich żołnierzom. Wszyscy zrywają się na nogi. Ci, co mają słabszy wzrok, nic jeszcze nie widzą. Ale teraz ogarnia nas obawa, żeby gdzie w bok nie skręcili. Widzę, że to są Arabowie i że dotychczas jadą w naszym kierunku.

Jeżeli się zbliżą na jakie 200 metrów, to ja sam wstanę i dam im znak, aby się zbliżyli.

Jeżeli zaś to nie pomoże, a będę widział, że chcą zboczyć i uciekać, to damy salwę do nich, mierząc tak, aby kule nad głowami ich poszły. Jeżeli zaś po tej salwie się nie zatrzymają, to damy ognia w konie, dopóki który nie upadnie. Chodzi o to, żeby choć jednego wziąć żywcem, a on nas z tej matni wyprowadzi.

Są jeszcze o jakie 600 lub 800 metrów, ale ciągle jadą zwolna ku nam.

Nie wiem, czy nas spostrzegli, bo teren był usiany małymi wywyższeniami, nawianami z piasku, a za takim wywyższeniem kazałem leżeć żołnierzom.

Nadchodzi chwila stanowcza. Zrywam się z ziemi bez karabina, podnoszę ręce do góry i daję znak, żeby się zbliżyli.

Zatrzymują się, mówią coś z sobą, a potem w bok galopem. W tej chwili komenderuję ognia i 24 kul świsnęło im koło głowy. Wstrzymują konie na miejscu i zsiadają z nich.

Daję rozkaz, aby się nikt nie ruszał, i idę do nich.

Przybliżywszy się, całuję swą rękę i dotykam czoła, to znaczy przywitanie przyjacielskie. Wymieniam nazwisko etapu, do którego dążymy, i wskazuję ręką, aby nas prowadzili, pokazując zarazem dwa duro, to jest 10 franków.

Widzę po ich minach, że są przerażeni, ale rozumieją, o co chodzi, i zgadzają się, tylko protestują, gdy dwóch chorych żołnierzy wsadzam na ich konie, a im każę iść piechotą naprzód.

Chcę się od nich dowiedzieć, jak daleko jeszcze jesteśmy od etapu, ale nie możemy się porozumieć. Teraz dobywamy ostatnich sił, z nadzieją, że jeszcze nie zginiemy. Głód i pragnienie dokucza; już nikt oddawna nie ma ani kropelki wody. Po dwóch godzinach marszu, Arabowie wskazują nam karawan-seraj, ale jeszcze daleko.

Bogu Najwyższemu dzięki! Arabowie upominają się o swoje konie i chcą odjechać. Nie mogę się na to zgodzić, bo pewno jeszcze będzie z 7 kilometrów, a co zrobię z chorymi?

Radzi, nieradzi idą z nami. Ostatnie parę kilometrów, to już nie marsz, lecz jakieś utykanie, bo nogi zupełnie zdrętwiały.

Była godzina 8-ma wieczorem, to znaczy 20 godzin marszu.

Muły nasze o 10-tej rano już były na miejscu.

Na drugi dzień robimy jednodniowy odpoczynek. Następnego dnia wyruszamy w drogę. Resztę etapów odbywamy, nauczeni doświadczeniem, dosyć pomyślnie. Ludzie z mułami

jadą przed nami, bo okazało się, że oni najlepiej umieją się orientować.

W Géryville nic się nie zmieniło, Zastaję moich dobrych przyjaciół, a teraz kolegów, sierżantów: Augusta Andrego, Józefa Van Vina, Wrzoska i Tadeusza Brynka, z którymi się nie rozstanę aż do końca służby, t. j. 1876 roku.

Z oficerów prawie wszyscy są mi znani. Służba tu nie tak bardzo ciężka. W okolicy jakoś spokojnie.

Raz na tydzień zjeżdżają się tu Arabowie. Czasami jest ich parę tysięcy. Sprzedają wełnę wielbłądzą, owczą, tytoń, daktyle; dostać także można u nich jaj strusich. W czasie tych jarmarków zawsze stoją pod bronią dwie kompanje.

Pozatem nudy tu okropne, a jedną z najprzykrzejszych rzeczy jest wiatr „siroko“, który często nas nawiedza. Wtedy zamknięci siedzimy w naszych lepiankach i czujemy literalnie brak powietrza. Oddycha się pyłem gorącym. Nos, uszy, jedzenie każde, choćby nie wiem jak starannie było przykryte, pełne jest tego pyłu.

Z nudów niektórzy oficerowie hoduja tu rozmaite zwierzęta. Nasz komendant placu urządził sobie wielkim kosztem rodzaj ogrodu; ziemię zwiózł z dalekiej oazy, codziennie beczka-

mi zwożą wodę do polewania, bo ta, co rurami przychodzi, nie wystarcza. Sprowadził sobie dwa strusie, które prędko dały się obłaskawić i chodzą sobie w oparkanionym ogrodzie.

Niektórzy oficerowie mają gizele, które do tego stopnia są oswojone, że chodzą jak psy za nimi.

Mamy także w obozie dwa duże orły uwięzione na łańcuszkach za nogi, ale zbliżyć się do nich nie można, nie dają się oswoić.

Na tem pustkowiu, przy tej monotoności, życie koleżeńskie nadzwyczaj silnie się rozwija i zbliża serdecznie, to też codziennie zbieramy się w swoim kółku i na gawędce czas spędzamy. Szczególnie wesołym usposobieniem odznacza się Brynk, zawsze pełen dowcipów i anegdot, syn emigranta z 1830-go roku i matki Francuzki. Kształcił się w szkole Batignolles. Ojciec jego, wielki patriota, w tym też duchu wychował i syna.

Opowiadał mi nieraz, że w domu ojciec nie pozwalał mówić inaczej, jak po polsku, a matka musiała się uczyć i, choć z trudem, mówiła jednak tym językiem.

My, sierżanci, mamy tu więcej zajęcia. Nasz kapitan nie daje nam spokoju. Codziennie po południu teorje, jeżeli nie pamięciowe, to praktyczne; wymaga od nas znajomości ma-

newrowania całą kompanją, jest bardzo wymagający, pozatem człowiek bardzo miły w obejściu.

Jeszcze kilka miesięcy upływa nam w Géryville i znowu powracamy do Saidy. Tym razem tę kilkodniową drogę odbywam o tyle dobrze, że jestem zdrow — i jadę z tą nadzieją, że to może już raz ostatni. I w Saidzie pobyt nie jest bardzo miły, ale zawsze tu choć trochę stykamy się z cywilizacją. Służba nasza jest tu bardzo lekka, a nadewszystko, że teraz mamy wygodne pomieszczenie, przytem każdy stęskniony za roślinnością, za drzewami, których tyle miesięcy nie widzieliśmy. Ostatnie lata służby przeszły mi głównie między Saidą a Tiaretem. Ostatnie leży w pasie napół żyznym; samo miasto nie wielkie, bo mury fortyfikacji rozszerzyć się nie dadzą, ale poza murami jest dosyć duże przedmieście europejskie. Jest tu także ładny kościółek w stylu romańskim. Bataljon, tutaj stojący, wysyła oddziały dla dozoru więźniów wojskowych, tak zwanych Travaux publics, to znowu jako eskortę honorową Baszy-Agi w miejscowości Frengha. Po kilkomiesięcznym pobycie w Tiaret, pół kompanji mojej z porucznikiem de Porto-Carerro wyruszyliśmy tam także na trzymiesięczny pobyt.

Odległość z Tiaretu wynosi 30 kilometrów szosą; na jakie kilka kilometrów przed Frenhdą zaczynają się lasy dębowe przeważnie, ciągnące się na ogromnej przestrzeni. Od czasu jak jestem w Algerji, pierwszy raz widzę lesistą okolicę.

Sama Frengha jest zbiorem lepianek arabskich z niby-pałacem Baszy-Agi, przed którym nasi żołnierze zaciągają wartę honorową. Sam Basza-Aga jest to staruszek, wywierający duży wpływ na Arabów; jest on komandorem Krzyża Legji honorowej; Francuzi otaczają go wielkimi względami.

Oprócz dwóch posterunków przed pałacem, nic nie mamy do roboty.

Z kolegów moich jest tu Van-Vin. Ciągle się włóczymy po lasach; zwierzyny nie brak, — kuropatw czerwonych całe stada; z grubszej zwierzyny dziki, które ogromne szkody wyrządzają, a i szakale i hijeny włóczą się nocami.

Kuropatwy tutejsze podobne są do naszych, tylko w skrzydełkach mają czerwone piórka; mięso ich bardzo smaczne. Nieraz po kilkanaście sztuk przynosiłem do domu. Po strzale na kilkadziesiąt kroków padają dalej i z łatwością dają się podchodzić.

Z królikami, pomimo że ich jest bardzo dużo, sprawa trudniejsza; nadzwyczajnie są czuj-

ne, w bliskości mają swoje nory, do których błyskawicznie się chowają.

Arabowie przynoszą czasem dziki. Raz kupiłem za dwa franki ogromną sztukę. Mięso, przyrządzone stosownie, byłoby zapewne dobre, ale gotowane zwyczajnie lub pieczone, twarde było i niesmaczne. Z początku żołnierze jedli je ze smakiem, ale potem im obrzydło i psom je oddawali.

Zapoznałem się tu z kilku Arabami. Za parę naboi są gotowi do wszelkich usług, bo u Arabów proch idzie na wagę złota, gdyż rząd francuski utrudnia im nabywanie. Tylko prawomyślni mają prawo kupować i to w bardzo małych ilościach.

Pewnego dnia przyszedł Arab z sąsiedniego duaru i opowiadał, że hijena już kilka psów im zabrała i że każdej prawie nocy podkradają się pod namioty, trzeba więc na nią urządzić zasadzkę.

Dałem Arabowi kilka naboi, aby mi zastrzelił i dostawił dużego psa; takich psów zgłodniałych, napół dzikich, pełno się kręci. Zaraz za naszym barakiem na wzgórzu urządzona jest kuchnia, skąd wyrzuca się na dół kości i rozmaite odpadki. Tam to umieściliśmy psa, skrupowawszy go silnie sznurami i przybiwszy kilkoma kołkami, a na wzgórku wykopaliśmy

jamę, aby w niej można było się położyć. Przed północą wybrałem się z Van-Vinem. Noc była księżycowa. Doskonale widać było naszą przynętę. Leżeliśmy w jamie już dobrą godzinę. Chłód, pomimo płaszczów, zaczął dokuczać. Słychać było skomlenie szakali, ale blisko nie podchodziły. Postanowiliśmy do szakali nie strzelać. Koledze znudziło się czekać.

— Co będę — mówi — tu marznąć; nic z tego dzisiaj nie będzie.

I poszedł do domu. Ja jednak się uwziąłem i pozostałem. Po jakiej jeszcze pół godzinie i mnie się sprzykrzyło. Chciałem wstać, aż tu słyszę mocne skowyczenie. Kilka szakali nadbiega, węsząc na wszystkie strony. Nie mogły mnie jednakże zwietrzyć, bo wiatr był przeciwny. Jeden śmielszy, już skubnął psa, ale zaraz odskoczył i skrył się w krzaki. Ten manerw powtórzył się kilka razy.

Już byłem w obawie, że psa rozerwą, a hijena nie przyjdzie, aż tu słyszę silne, przeciągłe, niemiłe dla ucha wycie hijeny.

Shakale odskakują, nadśluchują i wkrótce wszystkie znikają.

Słyszę trzask suchych gałązek: wyteżywszy wzrok, widzę, jak z za krzaka zbliża się duża hijena. Jednym susem jest przy psie. Chce go unieść, ale sznury dobrze trzymają. Z palcem

na cynglu, czekam, aby się do mnie bokiem wykłęciła. Szarpie psem tak silnie, że tylne kołki wyrwała przy tej robocie i wykłęciła się bokiem. Dałem strzał: zawyła tylko przeraźliwie i poszła. Niepodobieństwo, żebym chybił z tak blizka; miałem ją doskonale na celu, a nie dalej było, jak ze 20 metrów.

Dziwiło mnie, że nie padła na miejscu.

Kilku żołnierzy na strzał wypadło z baraku: jeden przyniósł latarnię i zeszli na dół. Zaraz kilka kroków dalej znać było krew. Żołnierze pogonili za nią; za jakie pół godziny powrócili, wlokąc na sznurze hijenę. Miała bok na wylot przestrzelony, a jednakże poszła jeszcze z kilometry, żołnierze ją dopadli i szablami dobili.

Była to duża sztuka. Musiała być stara, bo przednie zęby były starte, pozostały tylko silne kły. Skóra była brzydka, w niektórych miejscach sierść wytarta, tak, że nie warto było wyprawic.

* * *

Szybko minęły te trzy miesiące. Oddział zuawów przyszedł nas zastąpić. Na drugi dzień o 3-ej rano wyruszyliśmy przy pięknej pogodzie z powrotem do Tiaretu. Na drogę każdy żołnierz dostał od Baszy-Agi butelkę dobrego wina.

Nie zapomnę tego dnia, a to dlatego, że to była wigilja Bożego Narodzenia 1876-go roku.

W dniu takim myśl ulatała daleko, pod strzechę rodzinną. Tyle wspomnień serdecznych ciśnie się do głowy.

Ledwie uszliśmy z 10 kilometrów, naraz zaczyna się gwałtownie oziębzać i śnieg pruszy. Śmiejemy się z tego zjawiska, ale po chwili zrywa się gwałtowna zamieć i tak tnie w twarz, że oczu nie można otworzyć.

Brniemy w śniegu po kostki, każdy żołnierz, jak oblepiony. Niepodobna iść dalej. Schodzimy z szosy i kryjemy się w lesie, koło którego właśnie przechodzimy. Ale i to niewiele pomaga, gdyż drzewa są rzadkie.

Żołnierze, zmarznięci, ściągają gałęzie i rozpalają ogień, aby się troszkę ogrzać.

Słysząc trzask gałęzi i grzechotanie. Oglądamy się, a tu, tuż koło nas ze dwadzieścia zestrachanych dzików przebiega. Chwytam za karabin, ale zanim zziębniętymi palcami miałem czas wsunąć nabój, już dziki były daleko. Kilku żołnierzy strzeliło, ale ani jeden dzik nie padł.

Ze trzy godziny trwała ta zawierucha. Śniegu tyle napadało, że miejscami rowy równe były z szosą.

Skończyła się zadymka, wiatr ustał, więc brnąc po śniegu, maszerujemy dalej. Zanim przyszedliśmy do Tiaretu, śnieg już zniknął i pe-

wno już było ze 16 stopni ciepła. Przemoknięci, z przyjemnością dostaliśmy się pod dach.

Dalsza służba w Tiaret nie przedstawia się zajmującą. Zwykła służba garnizonowa.

Dwóch kolegów, a mianowicie Van-Vin, Wrzosek i ja, postanowiliśmy, po skończeniu służby w legjonie, wstąpić do armji holenderskiej. O tej armji dużo tu mówią, a szczególnie o tych cudownych krajach na archipelagu Indyjskim.

Ostatnie trzy miesiące służby przepędziłem w Rahuyi, o dwa dni marszu od Tiaretu. Zostałem tam wysłany dla pilnowania więźniów wojskowych (Travaux publics), którzy robili tam szosę w pustyni.

Oddział składał się z plutonu. Komendował Porto-Carero, człowiek wielkiej zacności, jako zwierzchnik i miły {towarzysz; drugi sierżant był André, mój serdeczny przyjaciel. Służby tu niewiele mieliśmy, a tylko warty {około obozu więźniów.

Przykro było patrzeć na tych nieszczęśliwych; wielu było skazanych na 5-letnie roboty. Prawda, że byli to ludzie z szalonymi głowami, którzy nie dali się nagiąć dyscyplinie wojskowej, ale, bądź co bądź, są to ludzie, a karność, jaka u nich panuje, jest okrutna. Za najmniej-

sze przewinienie zakuwają ich w ciężkie kajdany i trzymają o chlebie i wodzie od 8 do 15 dni.

Widziałem takich zakutych, leżących na gołej ziemi, ubranych tylko w płócienne ubranie. W dzień prażyli się od słońca, a w nocy zmarznięci sinieli od zimna. Administracja obozu, to jest oficerowie i podoficerowie, są chyba ludźmi bez serca i nerwów, aby na to obojętnie patrzeć.

Bunty nie są tu rzadkością. Były wypadki, że wszystkich swoich szefów wymordowali. Zdarza się także, że naumyślnie przechodzą linje poza obozem, aby ich wartownicy zastrzelili.

Co jakieś dziesięć dni Arabowie zjeżdżają się tutaj dla wymiany i sprzedaży produktów. Nasz obóz jest na wzgórzu, obok obozu więźniów, a na dole Arabowie urządzają targi.

Chciałem kupić tytoniu i zeszedłem na dół. Sprzedający siedzą wszyscy na ziemi, obok swoich koszów. Kupiwszy tytoniu, przedzieralem się przez tę ciżbę. Naraz jakieś duże psisko przyskakuje do mnie. Nie namyślając się wiele, dobyłem pałasz i płazem psa uderzyłem. W tej chwili doskakuje do mnie Arab i z podniesionym matrakiem (laska), łamaną francuszczyzną krzyczy:

— *Pourquoi toi frapper mon chien?* (dlaczego uderzyłeś mego psa).

Nie jesteśmy przyzwyczajeni, aby Arabowie tym tonem do nas przemawiali. Tembardziej, gdy zobaczyłem podniesiony matrak, nie zważając, co dalej nastąpi, jednym uderzeniem pałasza odbiłem matrak, a drugim ciąłem Araba przez głowę. Cięcie było silne. Arab pochylił się i złapał za głowę, a krew strugą ciekła po białym burnusie.

W jednej chwili z krzykiem, wymyślaniem, ściśnięty zostałem ze wszystkich stron. Zrozumiałem, że jeżeli pierwszy ośmieli się mnie dotknąć, to już będę zgubiony. Zrobiłem kilka kroków naprzód i, młynkując pałaszem, trzymałem napastników w oddali.

Nie wiem, jakby się to skończyło, szczęściem André wyszedł z namiotu i, zobaczywszy, co się dzieje, zrozumiał odrazu położenie moje. Krzyknął na trębacza, aby trąbił na alarm.

W minutę może ze 30 żołnierzy napół ubranych z Andrém na czele, porwawszy karabiny z kozłów, jak fala, rzuciło się z góry na dół; kolbami przewrócili kilkunastu Arabów i już byli przy mnie.

Odetchnąłem. Zimny pot wystąpił mi na czoło.

Kiedy się to działo, porucznik z gołą głową wypadł z szablą w rękę, sformował resztę plutonu, nie wiedząc na razie, co się stało, i z bronią nabitą czekał.

Zdałem raport z całego zajścia. Porucznik wysłał Andrégo z 20 ludźmi, aby natychmiast rozpedził wszystkich Arabów, przyprowadził kaida i tego Araba rannego.

Arabowi, ciętemu przeze mnie, niewiele się stało, a to dzięki krymce sztywnej filcowej na głowie. Krymka ta obwinięta jest tkaniną wełnianą i naokoło okręcona dość grubym wielbłądzim sznurem, głowa więc ocalała, a tylko nad skronią skóra została przecięta na kilka centymetrów. Doktor nasz go opatrzył, a kaid za niepilnowanie porządku usłyszał kilka komplementów w tym rodzaju, jak „Kelb beni Kelb“ (psi syn) z obietnicą stu kijów, jeżeli się jeszcze coś podobnego zdarzy.

Porucznik, śmiejąc się, zrobił mi uwagę za moją nieostrożność i dodał, że Polacy to zaraz gotowi do szabli, nie patrząc, co z tego wyniknie. Dzięki Bogu, że się na tem skończyło.

Nadchodził dzień 13 czerwca, powróciłem więc do Tiaretu, bo to koniec mojej służby.

Pożegnawszy wszystkich zwierzchników bataljonowych, odprowadzony przez kolegów, ruszyłem w drogę do Sidi-Bell-Abbes, gdyż tam

stał sztab pułku. Nadzwyczaj serdeczne było pożegnanie moje z Van-Vinem, Andrém, Wrzowskiem i Brynkiem. Wszyscy mieliśmy łzy w oczach i dzisiaj po przeszło 40-tu latach zawsze z rozrzewnieniem wspominam tych zacnych przyjaciół.

Obiecaliśmy sobie, że ani przestrzeń, ani czas nie oziębi naszych uczuć; rzeczywiście, kilka lat jeszcze po powrocie do kraju pisywaliśmy do siebie.

W Sidi-Bell-Abbes, przedstawivszy się pułkownikowi, otrzymałem paszport do Paryża. Jeszcze kilka dni drogi i jestem w Oranie.

Wsiadłszy na okręt, żegnam ziemię algierską, długo wpatruję się w nikonący fort Ś-go Grzegorza. Pomimo wszystko, żal mi tych zacnych, serdecznych towarzysów broni, z którymi pożegnałem się może na zawsze.

Na zakończenie o służbie algierskiej powiem tylko, że nikomu nie radzę udawać się tam, bo po pierwsze: trzeba mieć zdrowie żelazne, a przytem trzeba z zamiłowaniem być żołnierzem i, pomimo najcięższych chwil, nie upadać na duchu.

Co zaś do legjonu, to jeszcze raz powtarzam, że to jest pułk z najlepszą historją i dla wielu znakomitości był szkołą. Tu służyli MacMahon, Bazaine, Canrobert i wielu innych. Ofi-

cerowie wogóle są ludzcy, a niektórzy wielkiej zacności; zresztą nie leży w charakterze francuskim brutalność. Że legjon nie jest więcej oszczędzany, niż inne pułki francuskie, to jest całkiem naturalne, zresztą legjon w razie czy to trudów, czy niebezpieczeństwa, nie da się nigdy wyprzedzić i ma to sobie za punkt honoru.

Przyjechawszy do Marsylji, miałem chwilowo zamiar powrócić do kraju, do którego tak bardzo tęskniłem. Lecz okoliczności tak się złożyły, że trzeba było dalej życie tułaczę prowadzić.

Podróż koleją przez najpiękniejszą i najbogatszą część Francji z prawdziwą przyjemnością odbyłem. W wagonach nudów niema. Francuzi z łatwością się zaznajamiają, armję zaś algierską szczególną otaczają sympatją.

Przyjechawszy do Paryża, zająłem się odszukaniem kuzyna mej matki, Jana Drewnowskiego, b. kapitana artylerji rosyjskiej na Kaukazie, a dowódcy z 1863 roku. Nigdy go przedtem nie widziałem.

Znalazłem go w biurze „Ecole des Ponts et Mines“, gdzie pracował jako jeden ze zdolniejszych inżynierów. Przyjął mnie tak, jakbym był jego synem.

Był to człowiek rzadkiej dobroci.

Pomimo że pobierał dobre uposażenie, sam nigdy nic nie miał. Zawsze utrzymywał koło siebie cały legon biednych rodaków, których zresztą nigdy nie brak w Paryżu. Byli tacy, co rzeczywiście zasługiwali na pomoc, ale nie brakło i takich, co go wyzyskiwali. Pozostał zawsze gorącym patriotą; kochał Polskę nad wszystko, a tęsknota za krajem, do którego nigdy nie mógł powrócić, przedwcześnie go do grobu zapędziła.

Ponieważ wypadło mi zaczekać na kolegów, którzy dopiero po trzech miesiącach mogli przyjechać, aby razem ze mną udać się do Holandji, postarałem się znaleźć jakieś odpowiednie zajęcie. Przy pomocy Drewnowskiego z łatwością otrzymałem je na kolei Paris-Lyon-Méditerranée, w wydziale ekspedycyjnym.

Godziny popołudniowe najczęściej przepędzałem w towarzystwie „Père Jean“, jak Drewnowskiego w całej dzielnicy Łacińskiej nazywano, albo też zwiedzałem muzea.

Trzy miesiące prędko przeszły. Przyjechali Van-Vin, André i Wrzosek. Postanowiliśmy zaraz wyjechać do Holandji, tylko André wstąpił do Charleville, aby pożegnać się ze swą rodziną, a mieliśmy się spotkać już w Hardevyk.

Znowu więc jesteśmy we czwórecku, jak nas Francuzi w legjonie nazywali: „inséparables“. W tych warunkach odbywaliśmy podróż bardzo wesoło. W Brukseli Van-Vin miał brata, który służył w gwardji królewskiej, w pułku kawaleryjskim „guidów“ w stopniu Maréchal de logis.

Na stacji zastaliśmy go z kilkunastu kolegami, którzy nawet nie pozwolili nam stanąć w hotelu, ale zaraz zabrali nas do siebie.

Umundurowanie „guidów“ wspaniałe: bermuza, jak kiedyś w gwardji wielkiego Napoleona, pantalony czerwone podobne do naszych, tylko więcej w amarant wpadające, — szable długie, proste, z ozdobną gardą.

Trzy dni, które przebyliśmy w Brukseli, były jednym ciągiem uczt i zabaw. Pułkownik guidów uwolnił od służby kilku wachmistrzów, aby mieli czas nam asystować.

Odprowadzeni na kolej, po bardzo serdecznych pożegnaniach, przy okrzykach „Niech żyje Francja!“ „Niech żyje Belgja!“, przez Antwerpę wyjechaliśmy do Holandji do forttecznego miasta Bréda.

Po złożeniu naszych papierów wojskowych u komendanta placu na drugi dzień w asystencji podoficera holenderskiego udaliśmy w dalszą

drogę do Harderyk, głównego depôt dla armji indyjsko-holenderskiej.

Te kilka godzin kolejną dziwnę na nas wrażenie robiło. Można całą Europę przejechać, a czegoś podobnego nie zobaczyć. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, wspaniałe łąki, poprzerynane kanałami. Niektóre tak szerokie, że statki na nich chodzą, a wszędzie wiatraki, które przeważnie służą do przelewania wody. Lasów prawie nie widać, za to każdy domek wiejski otoczony drzewami i kwieciami. Wszystko to razem miłe wrażenie robi dla oka.

O porządku holenderskim niema co mówić: jest on przysłowiowy. Dość powiedzieć, że ja sam widziałem, jak we wsiach w sobotę kobiety myją dachy swych domów szczotkami.

W Harderyk formalności przyjęcia bardzo prędko przeszły, nawet doktorzy, którzy są dosyć trudni w wyborze ochotników, prawie nas nie badali. Mundury nasze wystarczały im, bo wiedzą, że legjoniści umieją znosić trudy wojenne. Po przeczytaniu nam ustaw wojskowych, które niczem się nie różnią od francuskich, i po podpisaniu umowy na lat sześć, zostaliśmy włączeni do armji.

Umundurowanie z sukna cienkiego, ciemno-granatowego koloru, z jasno-niebieskimi wypustkami i takimże kołnierzem, kepi podobne,

jak noszą w Austrii; na ramionach płaskie bułjony, a przez plecy i piersi podwójny sznur z dwoma chwastami, zwieszającymi się z lewej strony piersi, koloru pomarańczowego. Oprócz tego każdy żołnierz otrzymuje trzy komplety umundurowania z dymy niebieskiej, trzy pary obuwia i zapas bielizny tak duży, że mógłby wystarczyć na parę lat.

Mundury sukienne nosi się tylko w Holandji i na morzu w sferach chłodnych, później wcale się ich nie używa. Dopełnia umundurowania szynel szaraczkowy, ale także z lekkiego sukna.

Na pomieszczenie tego bagażu żołnierz otrzymuje walizę skórzaną, bo w Indjach nie nosi się tornistra.

Uzbrojenie składa się z karabina szybkostrzelnego 11 mm. systemu Bomont z bagnetem czterokątnym, który się nigdy z lufy nie zdejmuje, chyba do czyszczenia, i z krótkiej szabelki, której klinga jest wążka przy rękojeści, a coraz szersza przy końcu.

Każdy ochotnik przy wstąpieniu otrzymuje 300 guldenów holenderskich w złocie, a żołd od pierwszego dnia na stopie wojennej, aż do wylądowania w Batawji.

Sam Hardervyk, gdzie, oczekując transportu do Indyi, przepędzamy parę tygodni, jest ma-

łem miasteczkiem, przy ujściu Süderse, z 8000 ludności. Nie odznacza się ani handlem, ani przemysłem, ale ma za to 180 kawiarni i t. p. Gdzie się ruszyć, wszędzie muzyka i śpiewy, dzień i noc, a wszystkie te lokale przepełnione są ochotnikami różnych narodowości, z wyjątkiem tylko Anglików, których nie przyjmują wcale. Najwięcej słyszy się tu język holenderski, francuski i niemiecki.

Służby tu żadnej nie pełnimy. Codziennie tylko parę godzin marszu z muzyką, pozatem zabawy i zabawy aż do przesytu.

Oficerowie tutejsi są grzeczni, przedstawiają się dodatnio, tylko znać pewną sztywność w obcowaniu z żołnierzami. Mustry, manewry, reglaminy prawie te same, co we Francji.

Z językiem holenderskim będzie dla mnie trudna sprawa. Bogaty jest w wyrażenia, a twardy w wymowie. Wprawdzie najczęściej mówi się tu po francusku, ale instrukcje i komenda muszą być po holendersku.

Wrzosek i ja pokupowaliśmy sobie podręczniki i kujemy na gwałt, ale to nie łatwo przychodzi, słysząc ciągle francuszczyznę.

Van-Vin za to nie potrzebuje się uczyć: zna dobrze język flamandzki, który jest identyczny z holenderskim.

Odebraliśmy list od Andrégo, w którym donosi, że zmienił zamiar, a to na usilne prośby swej rodziny; pozostaje we Francji i wstępuje w Paryżu do gwardji republikańskiej. Przykrość nam sprawiła ta wiadomość, bo rozstajemy się z dzielnym towarzyszem.

Dwa tygodnie prędko minęły. Wyjeżdżamy do Amsterdamu, aby wsiąść na okręt. Oddział nasz liczy 300 ludzi, 10-u podoficerów i kilku oficerów z rozmaitej broni; komendantem naszym na czas podróży jest major artylerji.

W porcie zastajemy gotowy do drogi duży rozmiarów okręt „Księżniczka Amelja“ o sile 8000 koni. Chociaż już obeznany jestem z podróżą morską, bo przepływałem kilkakrotnie morze Śródziemne, ale nie można tej parodniowej podróży porównać z wielką, którą mamy przed sobą.

Na okręcie instalujemy się jak można najwygodniej, wiedząc, że przy najlepszych okolicznościach podróż trwa 40 dni.

Przy dźwiękach muzyk, które grają hymn narodowy, podnosimy kotwicę. Wszyscy wesołem są usposobieniu. Nikt nie przeczuwa, że nawet połowa nie powróci do Europy.

Morze dosyć spokojne, to też, podzieleni na grupki, siedzimy przeważnie na pomoście,

opowiadając sobie różne dykteryjki. Pod pomostem, pomimo że wentylatory ciągle działają, powietrze jest ciężkie.

Ku wieczorowi wiatr się podnosi, okręt zaczyna się kołysać z boku na bok, tak zwane „roulis“ niejednemu daje się we znaki.

Już brzegi Holandji i Belgji straciliśmy z oczu. Jeszcze kilka godzin i wjedźdżamy w kanał La Manche. Na lewo, to jest we Francji, spostrzegamy miasto portowe Calais. Na prawo—brzegi Anglji z Douvrem. W kanale spotykamy się raz wraz z okrętami różnych narodowości; niektóre bardzo blisko przepływają. Nawigacja wymaga tutaj wielkiej czujności, częste są bardzo zderzenia okrętów, tembardziej, że jesienią i zimą gęsta mgła utrudnia podróż. Syreny ciągle ryczą, a oficerowie z kapitanem nie schodzą z mostku. Morze w tem najwęższym miejscu jest prawie zawsze silnie wzburzone. Na pomoście nie można się utrzymać, co chwila ktoś koziółka wywinie, a od czasu do czasu bałwan przelewa się przez pomost.

Zaczynamy się zbliżać do brzegów Anglji, do Southampton. Tu zatrzymujemy się w samym porcie, zapełnionym setkami okrętów. Wjazd jest trudny i parę godzin upływa na manewrowaniu.

Southampton, miasto wielkie, fabryczne, nie sprawia miłego wyglądu. Literalnie oddycha się tu pyłem węgla.

Nasz okręt zabiera wielką ilość węgla; przez 20 godzin cztery windy parowe pracują. Trudno sobie wyobrazić, gdzie takie masy mogą się pomieścić. Wszyscy wyglądamy, jak kominiarze. Nie można się niczego dotknąć, bo czarny pył jest wszędzie.

Wyruszamy w dalszą drogę.

Morze się uspokoilo, więc zaczyna się mycie i czyszczenie okrętu. I my także musimy doprowadzić naszą toaletę do porządku. Trzymamy się ciągle brzegów Francji, ale w znacznym oddaleniu; latarnie morskie ostrzegają.

Zbliżamy się do Hiszpanji, do prowincji Galicji. Teraz znowu jesteśmy blisko brzegów. W tem miejscu morze jest bardzo głębokie.

Ciągle trzymając się brzegów, płyniemy przy samej Portugalji, bardzo wysoko wzniesionej nad poziom morza. Płyniemy przy prostopadłej ścianie skał, na kilkaset metrów wysokiej. Gdzieś tam na wierzchu widać domki. Ludzie wyglądają jak laleczki. W niektórych miejscach przysuwamy się tak blisko, że zdaje się, iż, skoczywszy z okrętu, możnaby wpław przepłynąć. Tylko pytanie, jak się wdrapać na takie skały, bo to istne ściany.

Okrażamy Portugalję i znowu oddalamy się od brzegów, tak, że prawie ich nie widać. Powietrze mamy wspaniałe; okręt prawie się nie kołysze, a tylko czuć drganie od uderzeń śruby.

Znowu zbliżamy się do Hiszpanji do przemyku. Gibraltar zdala już widać: potężne skały, a w nich wykute galerje, jedna nad drugą, z których wyglądają wielkich rozmiarów armaty. Na samym wierzchu powiewa flaga angielska.

Cieśnina ma mniej więcej 12 kilometrów szerokości. Nietylko każdy okręt jest pod strzałami armatnimi, ale z 30-centymetrowych dział możnaby rzucać granaty aż na wybrzeża Maroka.

Po wyjściu z cieśniny oddalamy się od Hiszpanji, a zbliżamy się do Afryki; niekiedy jesteśmy tak blisko, że widzimy duary arabskie, a nawet ludzi i wielbłądy.

Nic dotąd nie mówiłem, jak jesteśmy umieszczeni na okręcie, a to przecież najważniejsze w tak długiej podróży. Ład i porządek panuje wzorowy. Żołnierz jest doskonale żywiony: rano herbata, ile kto chce, chleb z masłem i serem, o 10-tej obiad i także kawa; o 4-tej wieczorem herbata. Przed każdym obiadem porcja jałowcówki, oraz ćwierć litra czerwonego wina.

Ochotnicy są tak samo karmieni, jak cała załoga okrętowa, z tą tylko różnicą, że tamci pracują, a ci nic nie robią. Pomimo to, zdarzają się wybryki niekarność. Jest kilkunastu takich między ochotnikami, którzy z niczego nie są zadowoleni i wszystko krytykują. Są to prawdopodobnie kandydaci do karnych kompanii, a nie do frontu.

Ktoregoś dnia dano nam kaszę jęczmienną z masłem, i to jeszcze jako porcję dodatkową. Majtkowie holenderscy bardzo ją lubią. Ja sam ją jadłem i uznałem, że była doskonała. Skoro się tym ochotnikom nie podobała, mogli nie jeść i na tem byłoby się skończyło. Ale oni zaczęli wydrwiwać; poszli do podoficera dyżurnego i oświadczyli mu, że nie są końmi, bo tylko koniom jęczmień się daje i w dodatku talerze metalowe z tą kaszą powrzucają do morza.

Gdyby to było na okręcie wojennym, drogoby za to odpokutowali, ale nasz poczciwy major zbagatelizował całe zajście i skazał tylko kilku na areszt czterodniowy w głębi okrętu.

Znowu zaczynamy się oddalać od lądu afrykańskiego, kierując się do Neapolu, który już zdala wspaniale się przedstawia. Wjeżdżamy do zatoki.

Neapol położony jest amfiteatralnie, widać go cały jak na dłoni. Nie dopływamy do samego portu, leez zarzucamy kotwicę o jakie dwa kilometry od miasta.

Na prawo wznosi się dymiący Wezuwjusz.

Zabieramy stąd kilku podróżnych 1-ej klasy, a korzystając z poczty, i ja ślę list do rodziców, uspokajając ich co do mojej podróży.

Piękny czas ciągle nam sprzyja aż do cieśniny Mesyńskiej. Brzegi Włoch urocze; nad samem morzem miasteczka porozrzucane malowniczo; na wzgórkach pałacyki, otoczone pięknymi ogrodami, a przytem niebo niebieskie, bez chmurki.

Ciągle też siedzimy na pomoście, aby się nasycić tym cudnym widokiem.

Przed samą cieśniną morze zaczyna się bałwanić. Wiatr zerwał się gwałtownie i zaczynamy na dobre tańczyć. To już nie „roulis“, ale gwałtowny „tangage“.

Ogromne bałwany porywają cały okręt do góry, a potem rzucają go w tworzącą się przepaść. Są chwile, że zdaje się, iż się z tego nie wyjdzie. Ale co najzabawniejsze, to patrzeć na drugie okręty przepływające. Co chwila wcale ich nie widać, tak nosem lecą w przepaść.

Cieśnina jest bardzo wązka: widać dobrze Mesynę.

Odpływamy od brzegów, kierując się na południowy wschód. Zdała tylko spostrzegamy wyspę Krete i po trzydniowej drodze stajemy w Port-Saidzie. Tu znowu po raz ostatni zabieramy węgiel.

Miasto nie przedstawia nic godnego widzenia. Ulice niebrukowane, obok domów europejskich nędzne lepianki; brak drzew i roślinności; znać, że to miasto świeżo wyrosło. A cechą jego brud, jak we wszystkich miastach wschodnich. Uderza tylko w oczy wiele kawiarni i domów zabawy, uczęszczanych przez marynarzy z całego świata. Sam kanał, który zupełnie inaczej sobie przedstawiałem, ma 70 kilometrów długości, ale wązki bardzo. Okręt dużych rozmiarów ledwie przejedzie, a tylko co jakieś 10 kilometrów są tak zwane stacje, to jest miejsca szerokie, gdzie okręty mogą się mijać. Jak okiem sięgnąć, na prawo i lewo — pustynia.

Brzegi kanału ciągle się obrywają, a umocnić ich niepodobna; wiatry zasypują je piaskiem, to też wzdłuż kanału spotyka się setki drag potężnych, które dzień i noc wydobywają piasek. Pomimo to, często się zdarza, że okręt uwięźnie, co i nam się przytrafiło, tylko że, ja-

dąc bardzo wolno, zaraz cofnęliśmy się w tył i jakoś wydostaliśmy się z ławicy piaskowej. Na przebycie tej stosunkowo niewielkiej długości straciliśmy dwa dni. Jechać można wolno i tylko od 6-tej rano do 6-tej wieczorem, resztę zaś czasu trzeba stać nieruchomo na stacjach, albo w jeziorkach słonych, które kanał łączą.

W kanale okropnie nam dokucza gorąco. Są chwile, że nie można oddychać, pomimo że rozciągnięto płótna żaglowe nad całym pomostem i wciąż je zlewają wodą. Niewiele to pomaga, bo żadnego przewiewu niema. Statek idzie tak wolno, że piechurby nadażył — tutaj też ostatecznie pożegnaliśmy nasze sukienne ubranie.

Nakoniec wydostaliśmy się z tego wężkiego pieca. Okręt już idzie pełną parą. I tu pewno jest z górą 40 stopni, ale wskutek szybkiego przerywania powietrza jest choć trochę przewiewu.

Nie wiem, dlaczego to morze zwie się Czerwone, bo ani jednego odblasku tej barwy nie widziałem. Zwyczajnie, woda "zielonawa.

Dotąd mamy pogodę, co się dosyć rzadko zdarza; płyniemy bliżej brzegów Azji. Z dużej odległości pokazują nam górę Synai.

Często spotykamy delfiny. Niekiedy po kilkanaście ich sztuk towarzyszy okrętowi. Widać je doskonale, jak dają susy ponad wodą.

Okręty spotyka się różnej narodowości, ale najwięcej angielskie.

Wypływamy z morza Czerwonego i wjeżdżamy w cieśninę Babel-Mandeb. Na prawo, to jest w Afryce, dostrzegamy fort francuski Obok, a na lewo, w najwęższym miejscu, potężna forteca piętrzy się na skałach. To Aden, drugi angielski Gibraltar.

Smutnie tu bardzo, żadnej roślinności; upały szalone, brak wody, bo ją muszą sprowadzać z daleka i umieszczają w cysternach.

Deszcze, a raczej nawałnice, są tutaj rzadkością. Pobyt dla Europejczyków jest tak ciężki, że urzędnikom i wojsku angielskiemu rok liczy się za trzy lata służby.

Nie wpływamy tu do portu, lecz zatrzymujemy się o jaki dobry kilometr. Małe statki zabierają pocztę i przywożą nam ze 30 baranów o monstualnych ogonach.

Przez kilka godzin, które tu spędziliśmy, mieliśmy pewną dystrakcję: oto ledwie zarzuciliśmy kotwicę, obskoczyło nas kilkanaście łódeczek, a raczej łupinek, w każdej z nich po jednym, albo dwóch dzieciaków murzyńskich. Naraz wszystko to skacze do morza i, pływając,

już to stojąco, lub leżąco, krzyczy: „Monsieur, argent!“. Wszyscy z okrętu, rzucają drobne monety. Murzyni nurkiem wpadają w morze, chwytają monety pod wodą i, wypłynąwszy na wierzch, pokazują je w zębach. Ta zabawa trwa parę godzin. Jeśli który z nurków bardzo się zmęczy, wsiada do swej łódeczki. Między tymi pływakami były i dziewczynki, może dziesięcioletnie. A dodać należy, że przystań w Adenie jest osławiona z rekinów, dzieciaki te jednak nic sobie z tego nie robią.

Wypływamy na ocean Indyjski. Czas ciągle wspaniały. Po kilku godzinach straciliśmy zupełnie z oczu ziemię.

Podróż wprowadzie się dłuży, ale zdrów czuję się, jak nigdy. Na tem wielkiem morzu noce są wspaniałe i wtedy dopiero oddycha się pełną piersią.

Z niecierpliwością wyczekujemy ziemi, bo dzień za dniem schodzi, a tylko woda i woda bez końca, nawet okrętów niewiele się tu spotyka. Morze wszędzie głębokie, więc rozmaitymi szlakami okręty płyną. Przed samą Sumatrą widzimy śliczne wysepki, wystające z głębi morza, jak bukiety. Są to przeważnie wysepki niezamieszkałe, małego obszaru, całe pokryte palmami kokosowymi.

Upływa jeszcze kilka godzin i spostrzegamy brzegi Sumatry, wzdłuż której płyniemy aż do cieśniny Sunda.

Teraz to już całe dni nie schodzimy z pomostu, podziwiając tę wspaniałą wegetację. W oddali widać łańcuch gór bardzo wysokich. Wpływamy w cieśninę na kilka kilometrów zaledwie szeroką. Na lewo Sumatra, na prawo Jawa. Wszędzie pełno drzew i zieleni.

Nad samem wybrzeżem gęsto rozsiane wioski. Jeszcze kilka godzin wzdłuż Jawy i nakoniec Batawja. Z powodu płytkiego morza okręt zdaleka się zatrzymuje i na małych statkach dobijamy do brzegu.

Pierwsze wrażenie, jakie wywiera na Europejczyku Jawa, trudno określić. Każdy jest zdumiony i oczarowany tą pięknnością przyrody.

Batawja ma z górą 200,000 mieszkańców. Jest to miejscowość bardzo niezdrowa, zamieszkała przez Jawańczyków i Chińczyków. Europejczycy wszyscy, pomimo że mają rozległe interesy handlowe, przebywają tutaj tylko dorywczo, a mieszkają w miejscowości Veltenfriden, położonej wyżej o jakie 10 kilometrów.

Nadzwyczaj miłe na nas robi wrażenie pierwsze przyjęcie. Oficerowie, którzy nas oczekują, prowadzą nas do specjalnych namiotów, gdzie kilku cywilnych z paniami krząta się

koło stołów. Podają kawę mrożoną, jakieś ciasta, rodzaj plum-puddingu i wiele owoców zupełnie nam nieznanych. Jest także wino i limonada mrożona.

Po krótkim wypoczynku wsiadamy do tramwaju konnego. Cała droga do Veltenfriden, a stąd do Mister-Cornelis nie da się opisać. Z jednej i drugiej strony drogi wspaniałe wille z werandami, rodzaj pałacyków, a wszystkie toną w otoczeniu palm najrozmaitszych gatunków, kokosów i bananów. Klomby ze wspaniałymi, nieznanymi mi kwiatami, a dalej pola, piętrzące się tarasami, najdoskonalej zirygowane, a wszędzie spotyka się mrowie ludzi, noszących w koszach na głowie, lub też na bambusach rozmaite produkty. Co jest charakterystyczne, że ci ludzie nie chodzą, ale biegną zawsze kłusem, pomimo szalonego gorąca.

Lud tu nie jest dziki i wszędzie nas witają uprzejmie. Co chwila słyszymy: „Tabe, tohan“ (witaj, panie). To nie Algierja z Arabami, którzy z podełba na nas patrzą.

Przybywszy do Mister-Cornelis, umieszczeni zostaliśmy w wygodnych koszarach.

Wszystko tu zastosowane do warunków klimatycznych, sale wielkie, przewiewne, dachy spuszczone się nisko, korytarze na zewnątrz

wzdłuż gmachu; przy każdej sali łazienki z natryskami.

Zdumieni jesteśmy temi wygodami dla żołnierzy, a co najwięcej nas zaciekawia, to setki kobiet krajowych, kręcących się po salach i korytarzach. W armji francuskiej kobiecie nie wolno przestąpić progu.

Tutaj stoi garnizonom 11-ty bataljon, a wszystkie te piękności jawańskie należą do niego. Po rozejrzeniu się w koszarach, wychodzimy na spacer do dzielnicy chińskiej. Jest to zupełnie odrębne miasto, odrębna struktura domów i inne sklepy. Cała ludność nadzwyczaj czynna i zarazem hałaśliwa. Podróżnikowi zdaje się, że jest w państwie Niebieskiem. Pełno wszędzie smoków porcelanowych i jakichś przedpotopowych zwierząt, jako ozdoba domów.

Wchodzimy do jakiejś okazałej restauracji chińskiej, ale tu już wszystko po europejsku, bo oprócz pałeczek, są łyżki, widelce i noże.

Podają nam wcale niezłe wino francuskie, kurę pieczoną wprawdzie na oleju kokosowym, ale wcale smaczną i sałatę z młodych pędów bambusowych z krewetkami, a na deser gałki muszkatołowe w cukrze. Wszystko to nam smakuje, ale kawa czarna obrzydliwa, pomimo że gatunki kawy jawańskiej są najlepsze. Nie umiają jej dobrze palić ani mleć, a tem mniej przyrzą-

dzać. Wszędzie pije się niesmaczną, chyba, że ktoś sam ją sobie przyrządzi.

Na drugi dzień przedstawiono nas generałowi komenderującemu. Po okolicznościowej przemowie do nas i pytaniu, czy nie mamy reklamacji z podróży, następuje podział ochotników do rozmaitych bataljonów. Ja i Van-Vin zostaliśmy wcieleni do 1-go bataljonu w Salatidze, a kolega Wrzosek pozostaje w Mister-Cornelis.

Przykre nam to rozłączenie, lecz na razie niema na to środka. Później, gdy zostanie podoficerem, da się przenieść do nas.

Muszę dodać, że zaraz na wstępie przy przedstawieniu się generałowi w Mister-Cornelis, wskutek naszych papierów francuskich i raportu majora artylerji, który w czasie podróży był naszym komendantem i bardzo pochlebną dał o nas opinię, zostaliśmy przeznaczeni do szkoły podoficerskiej we właściwym bataljonie, a w papierach naszych zamieszczono: Anbewolen militier (rekomendowany wojskowy).

Pożegnawszy się z naszym zacnym kolegą, powracamy do Batawji i znowu wsiadamy na okręt, który ma nas dowieźć do Samarangu.

Na samym wstępie nie bardzo uśmiechała się podróż morską i okręt mały i cały jego wygląd nieszczególny.

Kapitan, metys, nie wzbudzający wielkiej otuchy; załoga cała jawańska, nie tak wyszkolona, jak na europejskich okrętach. Szczęście, że to kilkanaście godzin jazdy.

Ledwieśmy się jako tako zainstalowali, morze już na dobre zaczyna się bałwanić i rzuca nami, jak piłką. Płyniemy ciągle przy wybrzeżu Jawy. Chcąc przyspieszyć jazdę a oszczędzić węgla, rozpięto wielki żagiel, bo wiatr z boku.

Im bliżej jesteśmy Samarangu, tem powietrze gorsze. Nadciąga burza; na gwałt zwijają wielki żagiel. Wiatr kręci na wszystkie strony i z trudnością sterujemy.

Ściemnia się, błyskawice oślepiają, ulewa straszna. Zdaje się, że niebo się roztworzyło, a przytem trzask piorunów potęguje zgrozę.

Przemoczeni do nitki, linami przymocowani do wielkiego mostu, wolimy jednakże to, niż siedzieć pod spodem, jak w pułapce.

Niebezpieczeństwo naprawdę zagraża; widać to po całym zachowaniu się kapitana. Rozdaje pasy ratunkowe. Na dobitkę coś się zepsuło i ster źle funkcjonuje.

Oddalamy się od lądu. Niema mowy, aby można było zbliżyć się do Samarangu.

Jedziemy więc dalej. Z oddalenia widać latarnię morską, która sygnalizuje, aby się nie zbliżać.

Jeszcze kilka godzin upływa w trwodze. Najbardziej obawiamy się, aby nas burza nie rzuciła gdzie na skaliste brzegi. Kierujemy się do drugiego, dużego miasta, Surabaja.

Nakoniec morze zaczyna się uspokajać, wiatr słabnie. Po tylu wrażeniach dobijamy do przystani. Portu tu niema, zdała więc od miasta zarzucamy kotwicę i małymi jawańskimi statkami udajemy się do miasta.

Jesteśmy wszyscy głodni, a przytem kompletnie zbici. Z radością czujemy stały grunt pod nogami. Po spożyciu kolacji, bo to już wieczór, nie mamy nawet ochoty obejrzeć miasta, jednego z największych na Jawie. Kładziemy się zaraz spać, a na drugi dzień znowu na okręt i z powrotem.

Tym razem szczęśliwie wylądowaliśmy w Samarangu, gdzie przenocowawszy, wyjeżdżamy koleją w głąb wyspy do Salatigi, położonej na 1500 metrów nad poziom morza.

Cała ta kilkogodzinna droga jest nie do opisania. Zdaje się, że to jeden ciąg ogrodów z podzwrotnikową roślinnością, to znowu pola okryte wysoką trzcinaą cukrową i plantacje kawy. Pociąg coraz wyżej zatacza kręgi i pnie się do góry. Czasami przejeżdża się nad przepaścią, ale i ta przepaść ponętna jest dla oka, bo wszędzie pełno krzewów i zieloności.

Stajemy na małej stacyjce. Stąd jeszcze 20 kilometrów. Szosa świetna, utrzymana tak, jak się widzi tylko w Holandji. Jeden prawie ciąg wiosek, przedzielonych niewielkimi polami. Wsie po jednej i drugiej stronie szosy. Wszystko tonie w zieleni. Ruch na szosie ogromny. Całymi sznurami idą wozy dwukołowe, zaprzężone w bawoły. Ruch pieszy także wielki, znać tu ogromne zaludnienie.

Pomimo dużego gorąca nie czuje się bardzo zmęczenia. Co kawałek ujdziemy, to odpoczywamy w cieniu drzew, a we wsiach, przed domami, spotyka się rodzaj kramów, gdzie za kilka centów można się uraczyć ryżem, kawą i najrozmaitszymi owocami. W tych warunkach to nie jest marsz uciążliwy, ale raczej spacer, a przytem żołnierz jest lekko ubrany i bez tego tornistra, który zabija żołnierzy w legjonie.

Aniśmy się spostrzegli, a to już i Salatiga. Stoją tu owe kompanje 1-go bataljonu, do którego jesteśmy zaliczeni, a także cały jedyny pułk kawalerji, z sześciu szwadronów złożony.

Kawalerji tej używa się na Jawie więcej do parady i służb honorowych, niż do boju, nigdy zaś nie używa się jej do ekspedycji na innych wyspach, jak n. p. na Sumatrze, Celebes lub Borneo, bo byłaby zupełnie bezużyteczna w tych krajach lesistych, a do tego bez dróg.

Na jawie od lat kilkudziesięciu nie było nigdy żadnego buntu.

Salatiga jest uważana jako miejscowość najzdrowsza. Cholery tu nie znają, a i febry nie są tak złośliwe, a co najważniejsza, niema tu wcale moskitów.

Miasteczko niewielkie, cywilnych europejczyków bardzo mało, za to Chińczyków pełno. Oni tu odgrywają tę samą rolę, co u nas w Polsce Żydzi.

Kawalerja stoi w wygodnych koszarach murowanych, my zaś w bambusowych barakach, co się nam ogromnie podoba, bo to jest nowością.

Dla nas, legionistów, służba tutejsza wydaje się zabawką, tak tutaj pod każdym względem oszczędzają żołnierza, i tak n. p. od 10 do 2-giej w całej armji zabroniona jest wszelka czynność. Żołnierz w tych godzinach ma absolutny odpoczynek, może spać lub przepędzać czas jak mu najwygodniej, aby tylko nie hałaśliwie. W tych godzinach nie wolno też wychodzić z koszar.

Służba zaczyna się rano, to jest ćwiczenia lub strzelanie; o g. 8 żołnierz wraca do koszar. Przy ćwiczeniach bronią zwracają bardzo uwagę, aby żołnierz nie męczył się zbyt i co chwila są odpoczynki.

Po południu, zwyczajnie półtorej godziny teoria, to jest wykład służby polowej lub garnizonowej. Warty są tutaj nieliczne, tak, że żołnierz jedną noc na tydzień spędza w kordergardzie.

Żołnierze są tu zupełnie wolni od wszelkiego rodzaju posług; przy każdej kompanji jest kilku „kuli“, to jest posługaczy jawańskich. Do nich to należą wszystkie porządki, a przytem czyszczą rzeczy i obuwie. Żołnierz jest tylko obowiązany utrzymywać broń w porządku i tej funkcji nie wolno nikomu powierzać.

Oprócz tego, każda kompanja ma swoich pracy, którzy co sobota pod rachunkiem zabierają bieliznę i zwracają nietylko dobrze wypraną, ale prasowaną; a bielizny tutaj zużywa się bardzo wiele, bo czasami i dwa razy dziennie trzeba ją zmieniać.

Pożywienie żołnierskie bardzo obfite, przystosowane do tutejszych warunków. Podstawą jego jest ryż.

Rano o godz. 5-tej i pół kawa czarna i bułka pszenna, pół funta naszej wagi, posmarowana masłem europejskiem, z serem lub szynką. O godz. 9-tej i pół obiad, składający się z zupy na mięsie, zwanej „Sajor“; jest to zupa narodowa, za podstawę ma mleko, wyciśnięte z orzecha kokosowego, pomieszana z rozmaite-

mi korzeniami. Jest to zupa bardzo smaczna. Je się ją z ryżem, który jest ugotowany na parze.

Do ryżu robią rodzaj sosu z pieprzu djabelskiego. Sos ten jest tak szalenie mocny, że aż język drętwieje. Z początku trudno się do tego przyzwyczaić, ale potem bardzo smakuje. Już to wogóle wszystkie potrawy przyrządzają bardzo korzennie i ostro. Do tego dodają mięsa pół funta z jakąś jarzyną i owoce, ananasy, banany lub mangi.

O godz. 4-tej po południu takie samo danie, z tą różnicą, że mięso jest smażone, czasem drób je zastępuje. Kawa, herbata cały dzień, ile kto chce, zamiast wody, którą tu uważają za niezdrową.

Żołd żołnierski na stopie pokojowej: gulden holenderski na 5 dni, to znaczy sześć razy tyle co w armji francuskiej. Każdy ochotnik po przebyciu sześciu lat, jeżeli nadal się angażuje, otrzymuje gratyfikacji 600 guldenów w złocie, a żołd podwyższony o $\frac{1}{4}$, po wysłużeniu zaś lat dwunastu indyjskich czyli dwudziestu czterech europejskich, otrzymuje pół emerytury, 260 guldenów, a po dwudziestu latach w Indjach czyli czterdziestu europejskich — pełną emeryturę, 500 guldenów.

W drodze, o ile żołnierz idzie piechotą, ma wyznaczone „ $1/2$ kuli“ — to znaczy jednego na dwóch ludzi. Jeżeli zaś nie ma z sobą żadnego bagażu, to odbiera wynagrodzenie podług taryfy, przeznaczonej dla kulich.

W Mister Cornelis zadziwiła nas masa kobiet w koszarach. Rzecz ta jest zupełnie legalna i uprawniona przez rząd. Każdy żołnierz ma prawo mieć w koszarach tak zwaną urzędownie „opiekunkę domu“. Są to wogóle młode dziewczęta jawańskie; przepędzają cały czas w salach razem z żołnierzami, a wychodzą tylko na czas inspekcji oficerskich do specjalnie urządzonego baraku w koszarach. W razie jakiejś ekspedycji wojennej kobiety pozostają w koszarach pod dozorem starszego podoficera, aż do powrotu swoich panów, a przez ten czas otrzymują pół racji żołnierskiej i czwartą część żołdu.

Dla kobiet tych jest specjalny regulamin. W razie wykroczenia przeciw niemu, co się rzadko zdarza, żandarmerja odprowadza je do miejsca urodzenia, czego one bardzo się obawiają.

Indje Wschodnie, holenderskie, składają się z grupy wysp. Do największych należą: Jawa, Sumatra, Madura, Borneo, Moluka, Celebes, Timor, Banka i wiele drobniejszych. Główny rząd tych wysp jest na Jawie.

Generał-gubernator rezyduje w Boitenzorg, niedaleko Batawji. Ogólna ludność dochodzi 60-u milionów. Sama Jawa ma przeszło 22 miliony i jest najludniejsza. Sumatra, która jest trzy razy większa, ma 12 milionów ludności.

Najmniej znana ze wszystkich jest Borneo. Brzegi tylko są faktycznie w posiadaniu Holendrów, którzy tu mają kilka miast i posterunków wojskowych. W środku wyspy są obszary ogromne, lasy nie do przebycia, moczary. W tych lasach zamieszkują dzicy Dajacy, jeszcze dotąd ludożercy.

Holendrzy powoli wdzierają się w głąb kraju. Trzeba go przedewszystkiem osuszać, bo najsilniejszy organizm europejski nie wytrzymuje wyziewów z tych rozpalonych nizin.

Ze wszystkich wysp najwspanialsza jest Jawa. Nazywają ją też „królową wysp“. Żadna z miejscowości na kuli ziemskiej nie przewyższa jej pod względem roślinności i urodzajności, a w dodatku ma Jawa wszystko, co mają kulturalne państwa w Europie, a więc ład i porządek administracyjny i bezpieczeństwo dla Europejczyków bezwzględne. Komunikacja: szosy, drogi, koleje, wszystko we wzorowym stanie. W ludność wszczepione jest poszanowanie dla Europejczyka, którego Jawańczyk uważa za istotę uprzywilejowaną.

Żadne państwo nie może się poszczycić tak mądrą kolonizacją, nie wyłączając Anglików. Do utrzymania w korbach posłuszeństwa tych 60-u milionów Holandja ma tylko 30 tysięcy żołnierzy, z których tylko połowę tworzą Europejczycy. Na niektórych wyspach, jak na Sumatrze, Celebes i po części w Borneo, są szczepy bardzo wojownicze. Od czasu do czasu trzeba je poskramiać i nieraz duże straty w ludziach ponosić.

Holandja ma wielkie trudności z kompletowaniem armji kolonialnej.

Konstytucja holenderska nie pozwala swych wojsk wysyłać za morza, posiłkować się więc musi tylko ochotnikami.

Jawańczycy — można powiedzieć — rządzą się sami: policja, żandarmerja, sądy, wszystko to jest w ich rękach, przy mądrym nadzorze holenderskim. Rząd ani nie narzuca im swego języka, ani nie gwałci ich zwyczajów narodowych. Wszędzie są szkoły z językiem malajskim, a w Batawji istnieje nawet akademja lekarska.

Niewolnictwo od bardzo dawna zniesione, każdy człowiek jest tu wolny. Poboru wojskowego niema, w armji służą tylko ochotnicy.

Lud jawański czuje się bez porównania szczęśliwszym, niż za dawnych czasów. Dla uła-

twienia płacenia podatków rząd pobiera część ich w naturze. Każda gmina ma swoje magazyny z zarządem i kontrolą. Dwa razy do roku odbywa się sprzedaż. Kupcy się zjeżdżają i przez licytację kupują.

Jawa dotąd ma jeszcze swego cesarza i bardzo liczną arystokrację. Za moich czasów, w r. 1883-im, cesarz ówczesny był starcem 70-letnim. Na rezydencję miał wyznaczoną Surakarte. Pensji pobierał 3 miliony guldenów rocznie. Oddawano mu wszystkie honory, miał nawet tytuł generał-lejtnanta holenderskiego a ubierał się w mundur raz do roku, to jest w Nowy rok, przy składaniu mu życzeń przez europejskiego gubernatora.

Gwardja jego składa się z pięciuset ludzi, ale bez broni palnej. Dla oddawania mu honorów stoi przy nim szwadron kawalerji europejskiej; w rzeczywistości pilnują go. Jest to więzien w złotych kajdanach, do tego stopnia, że nie może nawet poza miasto wyjechać bez zawiadomienia gubernatora. Pałace jego są pod strzałami armatnimi fortu, w którym zawsze stoi silny bataljon europejczyków.

Jawańczycy są wszyscy mahometanami, ale kobiety nie zakrywają twarzy, są wolne, może nawet za wolne w naszym pojęciu o moralności.

Życie na Jawie bajecznie jest tanie, kura n. p. kosztuje 20 groszy, pikol kawy, to jest naszych 100 funtów, 10 guldenów; ryby, mięso bawole, wszystko za bezcen, a co za owoce i jaka ich rozmaitość! Ananasy, banany w kilku gatunkach, mangi różnych wielkości i smaku, rodzaj naszych brzoskwiń. Nanki wielkości naszych dyń, dorium, jamba, pompelmusy — rodzaj pomarańczy wielkości ludzkiej głowy i wiele innych owoców. A za to niema tu wcale winogron, fig, daktyli i żadnych europejskich owoców.

Wszystko, co z Europy przychodzi, jest bardzo drogie. Mleko, masło, sprowadza się z Europy. Funt masła kosztuje półtrzecia guldena. Piwo — guldena za butelkę. Wino, koniak — wszystko to się drogo płaci; a wymagania europejczyków są wielkie. Każdy chce mieć wszystko, jak u siebie.

Europejczyków pracujących fizycznie niema tu wcale, są tylko: armja, urzędnicy, plantatorzy i pracownicy domów handlowych. Biały nie może być kucharzem lub lokajem, nie jest to nawet tolerowane przez rząd. Cała służba składa się z Jawańczyków, a kucharzami prawie wszędzie są Chińczycy.

Pensje, jakie rząd płaci, są bardzo wysokie; dość przytoczyć, że najniższy oficer na stopie pokoju pobiera 250 guldenów miesięcznie.

Na wyspie Jawie znajduje się mnóstwo wulkanów. Jest ich około 50, z tych 20 czynnych. W czasie sześćoletniego mego pobytu nie było większych katastrof, ale wstrząśnienia większe lub mniejsze odczuwaliśmy często. Najwyższy z wulkanów jest Semeru; ma 3500 metrów wysokości. Ze zwierząt najwięcej jest znany tygrys t. z. królewski. Rozmiarami przewyższa on lwa afrykańskiego. Pantera czarna, podobno jedyny gatunek na kuli ziemskiej, wielkości naszego wyżła, tylko o wiele dłuższa, nadzwyczaj jest drapieżna. „Babirusa“, rodzaj naszego dzika, z kłami na tył zakręconymi. Małp jest kilka gatunków. Jedna ze złośliwszych to „lutton“, czarna. Wszystkie są mniejszych rozmiarów. Najładniejsza jest „titi“, wielkości małego kota, śliczne stworzonko, koloru jasno-kawowego, pyszczek ma różowy, a po bokach obrośnięty, prawdziwy Anglik w miniaturze. W domach europejskich wszędzie ją trzymają dla rozrywki, bo przytem jest bardzo wesoła.

Zwierzyny, oprócz bekasów, synogarlic i kur wodnych, niema żadnej. Papug większych i mniejszych różnego upierzenia bardzo wiele. Zapomniałem jeszcze o ślicznym zwierzątku: „rat de Coco“. Podobne do naszej wiewiórki, tylko więcej brunatne, ogonek ma dosyć długi, nagi, a na końcu rodzaj pędzelka z włosia.

Nadzwyczaj prędko się oswaja. Jawańczycy bardzo je prześladują, bo im niszczy najlepsze kokosy.

Z płazów dosyć często się spotyka kajmany i leguany. Kajman, to rodzaj krokodyla, tylko mniejszy, ale za to o wiele zwinniejszy, bardzo żarłoczny i niebezpieczny dla używających kąpeli. Wężów jest kilka odmian, ale wielkich gatunków, zdaje się, niema. Najstraszniejszy jest za to „kobra kapola“, wielkości naszej żmii. Na jego ukąszenie niema ratunku. W zarosłach często się go spotyka. Jawańczycy okropnie się go boją, a są bardzo narażeni, bo chodzą zawsze boso. Jest także wąż pospolity, którego się wszędzie w domach jawańskich spotyka, przez nikogo nie prześladowany.

Życie, jakie tu prowadzimy w Salatidze, bardzo jest spokojne. Służby mało, czasami jakieś marsze z *muzyką* do sąsiednich wsi, albo do jakiej bogatej plantacji, gdzie nas ugaszczają kawą i owocami. Słowem, bawimy się w żołnierzy. Upały są wielkie, do 40-tu stopni, ale ja je znoszę doskonale. Zdrowie mi służy, jak nigdy. Noce są o wiele chłodniejsze, często temperatura opada do 12 stopni, a w barakach mamy wełniane kołdry.

Poza służbą czas spędzamy na spacerach, a wieczorem na werandach w kantine. Mamy

tu salę bilardową, bibliotekę, pisma holenderskie, francuskie i niemieckie. Godzień grywa muzyka.

Służbę wojskową tutejszą znam już doskonale. Po malajsku nieźle już mówię, ale z holenderskim trudniej, głównie dlatego, że najwięcej się mówi po francusku lub po malajsku.

W mojej kompanji przeważnie są Francuzi i Belgijczycy z *domieszką* Holendrów i Niemców. Oficerowie wszyscy Holendrzy. W całej armji jest zaledwie kilku cudzoziemców. Chcąc zostać tu oficerem, napotyka się duże trudności. Trzeba przedewszystkiem być sierżantem trzy lata, a potem kończyć trzyletnie kursy w Batawji, przytem dla cudzoziemców stawiają ogromne wymagania. Widocznem jest, że rząd nie życzy sobie oficerów cudzoziemców, sierżantów zaś cudzoziemców i tak zwanych „pełniących służbę oficerską“ jest wielu. Są oni w umundurowaniu tak jak oficerzy, z tą różnicą, że w piechocie i artylerji, gdzie wszystkie ozdoby są złote, oni noszą srebrne, w kawalerji zaś, gdzie są srebrne, oni mają złote.

Oficerowie tutejsi są wogóle ludzie wykształceni, grzeczni, sprawiedliwi względem żołnierzy, ale sztywni. Niema tutaj tej *familiarité*, jaką się spotyka u Francuzów. Co zaś do wykształcenia wojskowego, to może nawet prze-

wyższają oficerów francuskich. Wszyscy bez wyjątku mówią po francusku i niemiecku.

Wszystko tu jest dobrze, tylko tęskno mi, że niema ani jednego rodaka. Już tak dawno słowa polskiego nie słyszałem. Wprawdzie Van-Vin w przystępie dobrego humoru, widząc mnie osowiałym, śpiewa: „Precz, precz, smutek wszelki“ — pieśń, której go jeszcze w legjonie nauczyłem, ale to i wszystko, co mi ojczyznę przypomina.

Wrzosek od czasu do czasu pisuje do nas. Zobaczymy go może, kiedy nas wyślą do Aczynu na Sumatrę.

W naszej cichej Salatidze mieliśmy tu przykry wypadek. Dwóch młodych Francuzów straciło życie najnieprawdopodobniej i z własnej winy. Rzecz się tak miała: żołnierzom często z nudów przychodzą do głowy pomysły dziecinne; nie prosząc o pozwolenie władzy, których to pozwoleń nigdy nie odmawiają, czterej żołnierze, wszyscy Francuzi, nocą poszli odwiedzić swych kolegów w innym bataljonie, a mianowicie o 20 kilometrów dalej w forcie Wilhelma I. Przyszedłszy tam, zachowywali się niespokojnie, śpiewali na ulicach, czem zwrócili uwagę patrolu, który ich zatrzymał, a widząc żołnierzy z innego garnizonu, zapytał o pozwolenie. Następstwem było aresztowanie i zaprowadzenie na odwach, skąd po spędzonej nocy

na drugi dzień, eskortowani przez czterech żołnierzy jawańskich i kaprala europejczyka, mieli być odprowadzeni do Salatigi.

Chociaż jest to nie tak wielkie przewinienie taka eskapada, za którą czeka tylko 8 dni aresztu, ale przepisy są surowe. Eskorta, która prowadzi, ma nabite karabiny i ma prawo obchodzić się z aresztowanymi, jak z więźniami. Kapral, Holender, młody chłopiec, bardzo wzięty, pozwolił w drodze odpoczywać po wioskach, gdzie eskortowani obficie raczyli się arakiem, którego tu w żadnej wsi nie brak. Rezultat był taki, że, podpiwszy sobie, zaczęli się buntować i przekomarzać z eskortą, położyli się pod drzewami i nie chcieli iść dalej. Kapral znalazł się w najkłopotliwszym położeniu. Nie pomagały ani rozkazy, ani perswazje, zagroził im więc strzelaniem. Francuzi, widząc przed sobą Jawańczyków, niewiele sobie z nich robiąc, uzbroili się w bambusy, których wszędzie pełno, i rzucili się na nich, jak szaleńcy.

Kapral zakomenderował ognia. Padły cztery strzały. Dwóch nieszczęśliwców leżało na ziemi, jeden z przestrzelonem gardłem, a drugiemu kula przeszła piersi na wylot. Skonali natychmiast. Dwaj pozostali uciekli. Oni to przynieśli wiadomość do Salatigi, skąd natychmiast wysłano ambulans z doktorem.

Kiedy wieść doszła do naszego bataljonu, ogromnie zawrzało. O mało nie przyszło do zaburzeń. Żołnierze europejscy chcieli powieścić tych czterech Jawańczyków. Dopiero kawalerja wzięła ich pod swoją opiekę i zabezpieczyła.

Na wszystkich ten wypadek wywarł wrażenie przygnębiające, a szczególnie żal nam było jednego z zabitych, niejakiego Chovin'a. Był to bardzo wesoły figlarz, lubiony przez ogół.

Na drugi dzień odbył się pogrzeb. Oddano im wszystkie honory wojskowe. Przez głupstwo stracono dwa młode życia.

Jeszcze muszę przytoczyć, jak tu dbają o żołnierza. Wartownicy na posterunkach wszyscy mają nad sobą daszki z palmowych liści, podtrzymywane na bambusach, a od godziny 10-tej do 4-tej chodzą tylko z gołymi pałasikami, karabin stoi obok. W każdym garnizonie, gdzie stoją europejczycy, musi być także sztuczny lód.

Opowiadają starsi, że za te wszystkie wygody, jakie mamy na Jawie, odpokutujemy, gdy nas wyślą do osławionego Aczynu, o którym same okropności opowiadają. Pomimo to, radzibyśmy byli, aby nas wysłano, bo tutaj naprawdę już się nudzić zaczynamy.

Od lat dziesięciu Holendrzy borykają się z tym Aczynem; wiele krwi już przelali, a pomi-

mo to nie są panami nawet kilkunastu kilometrów. Wszystko mają przeciw sobie: lud fanatycznie bitny, który się trudni tylko rozbójnictwem, kraj dziki, lasy dziewicze, żadnych dróg ani komunikacji i klimat niezdrowy.

Żeby lepiej poznać Jawę i użyć jakichś wrażeń, postanowiliśmy z Van-Vinem wziąć urlop 28-dniowy i tak piechotą przejść część kraju, odwiedzając garnizony nam nieznane, a codzień nocować w innej wiosce.

Uzbroiwszy się w dubeltówki, żeby można po drodze na ptaki polować, ruszyliśmy w drogę. Żywności z sobą żadnej brać nie potrzeba, bo jedzenia nie braknie. Na urlopie, oprócz żołdu, zwracają nam za żywność, jaka nam się należy, tak, że ta podróż nic nie kosztuje, nawet można zrobić oszczędności.

Robimy po 15 do 20 kilometrów dziennie. Czasami zapuszczamy się w pola ryżowe i strzelamy bekasy lub kury wodne.

Przyszędłszy do wioski, gdzie zamysłamy nocować, meldujemy się u kapala-kamponga (wójt), który nas zaraz prowadzi do domku, przygotowanego dla podróżujących Europejczyków. Taki kapala-kampong jest zazwyczaj najbogatszy ze wsi. Zaraz zjawiają się rozmaite jedzenia, jak ding-ding (suszone na słońcu mięso), kura, całe fury ryżu, nieodzo-

wne banany i licha, jak zawsze, kawa. Wszystko to trzeba przyjąć, inaczej uważaliby się za obrażonych. Cała starszyzna zbiera się ze wsi z odwiedzinami. Zadają tysiączne pytania: jak to w Europie, a szczególnie wypytyują się o potęgę Holandji. W ich mniemaniu jest to najpotężniejsze państwo.

W niektórych wioskach, gdzie się nam więcej podobało, przepędziliśmy po dwa dni, robiąc małe wycieczki w okolice. Co zaś do bezpieczeństwa, to rzecz się tak ma: ledwie że się Europejczyk pokaże, zaraz jest sygnalizowany, bo każda wieś ma swoją wartę i w tej chwili wyznaczeni są stróże, którzy odpowiadają za niego, aby mu się nic złego nie stało, dopóki jest w granicach wsi.

Po noclegu, przed wyjściem ze wsi, każdy Europejczyk, cywilny, czy wojskowy, zapisuje w księdze sznurowej u kapala - kamponga, że dnia takiego a takiego tu przebywał i nie ma nic do reklamacji.

Książki te są rewidowane przez specjalnych kontrolerów policyjnych. Słowem, za głowę Europejczyka cała wieś odpowiada.

Przez cały pobyt na Jawie nie słyszałem nigdy o żadnym napadzie lub okradzeniu Europejczyka.

Idziemy ciągle doskonałemi klinkierowemi szosami, a kierujemy się na północny wschód do garnizonu Magalan, gdzie stoi trzeci bataljon z artylerją.

W tych stronach nie spotyka się ani tygrysów, ani panter. Niema tu wielkich dżungli. Często zbaczamy z drogi, dowiedziawszy się o jakiejś pięknej wiosce, malowniczo położonej.

Zdziwieni jesteśmy zachowaniem Jawańczyków, nawet tam, gdzie rzadko widują europejczyków.

Ludność więcej oddalona i nie mająca relacji z europejczykami mówi tylko po jawańsku. Jest to język trudny, wcale niepodobny do malajskiego, który jest językiem urzędowym dla wszystkich wysp. W każdej wsi jest sporo ludzi, mówiących tym językiem, bo w szkołach tylko po malajsku uczą.

Dotąd nie mówiłem, jak Jawańczycy wyglądają. Naogół jest to szczep, sympatyczne robiący wrażenie, i nie razi brzydotą. W moich oczach są oni o wiele przystojniejsi, niż Japończycy, chociaż z rysów podobni do nich. Kolor skóry mniej lub więcej brązowy. Małego wzrostu, ale silnie, zgrabnie zbudowani; kobiety małutkie, odznaczają się żywością usposobienia i przywiązują się bardzo do europejczyków. Lubią się stroić. Prawdziwą ich ozdobą są wło-

sy ogromne, czarne, krucze; czeszą się po japońsku i przyozdabiają głowy ozdobnymi szpilkami.

Jako ubiór Jawańczycy noszą tylko spodeńki do kolan z szerokimi pasami na biodrach i ogromny kapelusz, który okrywa i ramiona. Włosy mają długie, jak kobiety, ale w chustce zwinięte na głowie. Jawańczycy po miastach noszą kurtki różnokolorowe, zamożniejsi jedwabne z drogimi guzikami.

Kobiety ubierają się w tak zwane sarong. Jest to płat bawełniany o nader jaskrawych kolorach, którym się okręcają; sięga do kostek. Biust okrywają rodzajem szalu, także wielobarwnego. Obuwia nie noszą, nawet najbogatsi.

Czystość u Jawańczyków jest wyjątkowa. Nie wiem, czy to Holendrzy ich do tego przyzwyczaili, czy też mają to wrodzone, dość powiedzieć, że każdy trzy razy dziennie się kąpie.

Już od tygodnia jesteśmy w drodze. Czas nadzwyczajnie przyjemnie nam przechodzi, Żadnego zmęczenia.

Zaczęły się noce księżycowe. Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego. Widno tak, że można czytać, a cisza w powietrzu nadzwyczajna. Upału niema, a tylko ciepło usypiające.

W jedną taką noc wyszliśmy ze wsi, przeszliśmy może z 8 kilometrów; trzeba więc od-

począć. Na prawo od szosy o setkę kroków stoją ogromne drzewa kauczukowe. Schodzimy więc z drogi i kładziemy się pod nimi. Blask księżyca jest tak ostry, że kryjemy się w cieniu. Gawędzimy wesoło.

Naraz słyszymy jakby szum jakiś, pisk i trzask gałęzi nad nami. Pełzając, wysuwamy się z pod drzewa. Patrzymy, a tu całe stado wampirów czyli psów latających spadło, ale dojrzeć nie można między ogromnemi gałęziami. Na chybił trafił strzelamy z czterech luf. Łopot skrzydłami, wrzask, pisk. Wszystkie uciekły, jeden tylko upadł nam przed nogami. Nigdy nie widziałem podobnego okazu. Wielkości kota, włos brunatny, podobny do szczura ze łba, skrzydła ze dwa łokcie albo więcej przy rozpięciu. Kiedy go poruszyłem lufą od fuzji, rzucił się z zębami do mnie, kolbą więc go dobiłem. Przewiązawszy sznurem, ciągniemy go aż do wsi. Chcieliśmy go wypchać, ale to za wiele kłopotu przedstawiało.

Jawańczycy, spotkawszy nas, prosili, żeby im darować wampira. Pytamy się, co z nim robią. Oświadczają, że to bardzo smaczne mięso.

W jednej wsi kapala-kampong był wielce gościnny; żeby nas zabawić, sprowadził tandak. Wymawialiśmy się od tego, bo już wie-

lokrotnie to widzieliśmy i wcale się tem nie zachwycamy.

Tandak jest to taniec, wykonywany przez bajaderki, a polega głównie na dreptaniu na miejscu, aż do wycieńczenia, na wyginaniu brzucha i rąk w tył i naprzód przy ogłuszającej muzyce tamtamów i innych piszczących instrumentów.

Tancerki są młode i nawet nie brzydkie, ale tak otynkowane na biało i czerwono, że niemiło patrzeć. Całe są obwieszane rozmaitemi błyskotkami, bransolety mają na rękach i nogach.

W jednej wsi mieliśmy nieprzyjemne zajście. Zaraz za wsią spostrzeżliśmy kilkanaście papug zielonych, zaczęliśmy się skradać do nich, ale trudno było podejść na strzał, bo fruwały z drzewa na drzewo, aż nakoniec usiadły za murem na cmentarzu. Niewiele myśląc, przesadziliśmy ogrodzenie i strzelamy. Dwie spadły—zabieramy je z sobą.

Zaraz po strzałach ludzie zaczęli się gromadzić i coś głośno rozprawiać. Van-Vin powiada: „Głupstwośmy zrobili, strzelając na cmentarzu“. Nadrabiamy miną, jakby nic, idziemy do naszej kwatery. Niedługo nadszedł kapalakampong, oświadczając, że lud jest bardzo wzburzony z powodu profanacji grobów. Na-

turalnie, nic nam nie pozostawało, jak go przeprosić, tłumacząc się nieświadomością. Na tem się skończyło. W każdym razie nieprzyjemnie nam było i zaraz też wynieśliśmy się ze wsi.

Zrobiwszy kilkanaście kilometrów, dotarliśmy do Malaganu. Po dwudniowym pobycie między europejczykami, udajemy się w dalszą drogę w kierunku Donkorbon, gdzie także jest garnizon wojskowy. Idziemy bardzo wolno bez oznaczonych naprzód etapów, a na noclegi obieramy wsie największe i ładnie położone po drodze. Strzelamy często synogarlice, których się dużo spotyka. Mięso ich doskonałe, a są tak nieostrożne, że dają się podejść zblizka, nieprzyzwyczajone do strzałów, nikt tu bowiem nie strzela, gdyż Jawańczykom broń palna jest wzbroniona.

W całej tej naszej podróży nie spotykamy wcale koni. Jawańczycy wcale ich nie hodują. W miasteczkach tylko mają je europejczycy i to wszystkie sprowadzone albo z Europy, albo też, jak w kawalerji, z Australji. Za to wszędzie mnóstwo bawołów. One to uprawiają ziemię i ciągną ciężkie wozy. Zwierzęta te są posłuszne Jawańczykom, europejczyków nie lubią. Zdarza się, że, dojrzawszy europejczyka na drodze, gonią go, a biada temu, kto dostanie się pod ich rogi i kopyta. Sam miałem raz taki

wypadek i, gdyby nie grube drzewo, za które się schowałem i z którego bawół nie mógł mnie wydostać, źleby się skończyło. Z dziecięć minut kręciłem się koło drzewa, a on zachodził to z jednej, to z drugiej strony, rycząc i kopiąc nogami z wściekłości. Szczęście, że nadszedł chłopak jawański i z łatwością go odpuścił.

W jednej dużej wsi trafiliśmy na jakąś uroczystość: cała wieś urządzała pochody, a co kilkanaście domów nieodzowne tandaki, którymi nie bardzo się zachwycamy. Koniec dopiero tej zabawy był zajmujący, bo nigdy nie widzieliśmy nic podobnego.

Zaraz za wsią płynie rzeczka; otóż Jawańczycy napędzili kajmana, zagrodzili z dwóch stron, tak, że między jedną a drugą przegradą było może z 50 metrów. Zbliża się pochód ze śpiewami, z gromady występuje młody człowiek, lat może ze 20, cały obnażony, z przepaską tylko na biodrach. W zębach trzyma „krys“, to jest puginał, jakiego używają Jawańczycy. Jednym susem jest w wodzie. Muzyka z tamtamów złożona urządza piekielny hałas, wszyscy krzyczą przeraźliwie i rzucają różne przedmioty w wodę. Biedny kajman chowa się gdzieś głęboko. Jawańczyk daje nurka i tam pod wodą odbywa się walka.

Nic nie widać, tylko woda się kłębi. Chwilami ukaże się kajman, to znowu Jawańczyk wypływa, aby złapać powietrza. Trwa to kilka minut. Naraz widać zaczerwienienie wody i wypływa Jawańczyk, ciągnąc za ogon kajmana, który ma literalnie cały brzuch wzdłuż rozplątany, ale jest jeszcze żywy. Dobijają go pałkami. Nie jest on bardzo duży, ale zawsze ma ze dwa metry długości.

Zapewne żaden europejczyk na coś podobnego - by się nie odważył, a przedewszystkiem, jakim to trzeba być pływakiem, by podplynać pod kajmana. Co za zdumiewająca zimna krew i pewność siebie!

Zwycięzca, uwienczony kwiatami przez najładniejsze dziewczęta, pod wspaniałym parasolem, przy dźwiękach tam-tamów, wkracza do wsi i odtąd jest traktowany jako młodzieniec rycerski.

Po drodze nie spotykamy w tych stronach plantacji europejskich, gdziekolwiek tylko dom kontrolera państwowego. We wsiach rzadko się spotyka Chińczyków, trzymają się oni grupami, głównie w miastach, a pobyt ich wśród tubylców nie byłby nader bezpieczny, bo lud miejscowy ich nienawidzi i z pogardą nazywa orang-baba.

Im więcej zbliżamy się do Donkorbon, tem częściej spotykamy wielkie pola ryżowe, piętrzące się tarasowo. Są tu wszędzie wspinałe irygacje. Okolice są mniej lesiste, co nie przeszkadza, że każda wieś jest jakby w parku, a ponad inne drzewa i krzewy wystrzelają wyniosłe palmy kokosowe.

Palm na Jawie jest kilkanaście gatunków. Trzeba znać dobrze botanikę, aby je odróżnić. Najwięcej znane są kokosy, palmy wachlarzowate, o szerokich wielkich liściach, inne znowu o wązkich a długich. Jest także palma, której rdzeń z pnia jest jadalny, a smak ma jak nasza kalarepa, lecz słodsza. Palma winna wydaje sok, który po zlaniu do butelek po kilku dniach tworzy bardzo smaczny napój, podobny do wina szampańskiego i również musujący.

Dalsza nasza wędrowka nie przedstawia większego zainteresowania. Wszędzie ze strony Jawańczyków spotyka się tę samą usłużność. Każdy choćby z wyższej kasty, przechodząc koło Europejczyka, uchyla kapelusza i pozdrowia słowami: „tabe, tohan“ (witaj, panie).

W Donkorbon stoi garnizorem 9-ty bataljon. Jest tu bardzo silny fort, który nawet europejskiej artylerji mógłby się długo opierać. Cztery dni tu przepędziliśmy w towarzystwie kilku Francuzów, z którymi zapoznaliśmy się

bliżej. Codziennie polowaliśmy na bekasy i kury wodne. Polowanie to jest męczące, bo ciągle chodzi się w błocie po polach ryżowych.

Drogę powrotną odbyliśmy pośpieszniejszymi marszami, już to idąc piechotą, a często wsiadając na wozy, które na szosie ciągle się spotyka. Wybraliśmy kierunek o wiele krótszy, tak, że po kilku dniach stanęliśmy w Salati-dze, odnosząc najprzyjemniejsze wrażenie z całej 28-dniowej włości.

Wieści z Aczynu nadchodzą alarmujące.

Aczyńcy, widząc bezczynność wojsk, które tylko trzymają się odpornie, coraz więcej się rozzuchwalają. Napady na bentyngi powtarzają się ciągle, napewno więc i na nas przyjdzie niezadługo kolej wzmocnienia tamtejszych posterunków, tembardziej, że rząd podobno postanowił raz już skończyć z tem rozbójniczym plemieniem, gdzie od 10 lat trwa ciągle niepokój.

Jak zawsze, tutaj nam bardzo dobrze pod każdym względem, a jednakże czekamy z niecierpliwością rozkazu wymarszu. Będą jakieś zmiany, nowość jakaś, a więc już rzecz pożądana dla żołnierza.

Na tem wyczekiwaniu zeszło jednak jeszcze kilka miesięcy.

Nareszcie przychodzi rozkaz z Batawji, a raczej z Buitenzorg, ażeby z naszego bataljonu wziąć 150 ochotników dla wzmocnienia 5-go bataljonu, który przeznaczony jest do Aczynu, a obecnie stoi w Samarangu.

Żądano 150 ochotników a zgłosiło się 300. Naturalnie ja i Van-Vin byliśmy pierwsi. Połowę ze zgłaszających się odrzucono. Doktory zakwalifikowali tylko najsilniejszych.

Myśleliśmy, że po przybyciu do Samarangu zaraz stąd wyruszamy. Okazało się, że przygotowania do wielkiej ekspedycji, w której ma wziąć udział 10,000 ludzi, wymaga dłuższego czasu.

Samarang jest to duże miasto portowe, liczy przeszło 150,000 ludności, w tem ze 30,000 Chińczyków, parę tysięcy europejczyków, reszta Jawańczycy.

Służba tu jest o wiele cięższa, niż w Salatidze. Codziennie przeszło stu ludzi odbywa warty.

Rezyduje tu generał brygady, Hofmort, człowiek dosyć wymagający i nie dający nam za wiele próżnować.

Klimat tu gorszy, szpital zawsze przepelniony chorymi na febrę, a co najwięcej nam dokucza, to moskity, pomimo że każde łóżko jest zaopatrzone w tiul i formuje jakby malutki po-

koik szczelnie zamknięty. Ustrzedz się jednak od nich nie można. Dochodzi do tego, że żołnierze palą siarkę w miseczkach porozstawianych na sali. Środek jest dobry, ale znów utrudnia oddychanie. Noce mało chłodniejsze od dnia.

Dzielnica europejska jest wspaniała. Proszę sobie wyobrazić aleję, długości 3 kilometrów, szeroką na jakie 50 metrów, całą wyłożoną klinkierem, z jednej i drugiej strony wysadzoną ogromnemi drzewami tamarangowemi. Między temi drzewami są chodniki z płyt dla pieszych. Drzewa te są tak rozłożyste, że przy największej operacji słońca panuje tu zawsze cień. Z jednej i drugiej strony alei kanał szeroki.

Wille, a raczej pałacyki, z ogromnemi werandami, całe ginące w zieleni, połączone są mostkami z aleją. Do każdej willi wchodzi się po szerokich schodach kilkostopniowych na werandę, odkrytą z trzech stron. Na środku fontanna z basenem, a woda spadająca rozpryskuje się w pył orzeźwiający. Za umeblowanie werandy służą stoliki i fotele bujające trzcinowe, na których panie europejskie całe dni przepędzają w nadzwyczaj lekkich negligach krajowych, boso, bo ozdobne pantofelki stoją przy fotelach. W rannych zaś godzinach, kiedy je-

szcze chłód, oddają w sąsiednich willach wizyty. Wieczorem dopiero ubierają się po europejsku, podług ostatniej mody paryskiej, i w powozach wygodnych, zaprzężonych w piękne konie angielskie, przejeżdżają wolno po alei. Do szyku należy, aby przy pyskach koni biegło zawsze dwóch młodych Jawańczyków.

Panie europejskie absolutnie niczem się nie zajmują, całe dni im przechodzą na bujaniu się na fotelach, czytaniu romansów francuskich i na popijaniu różnych napojów. Służby tu trzymają bardzo wiele. Młode matki nie karmią też nigdy; wyręczają je Jawanki. Ponieważ cała służba składa się z krajowców, dzieci więc europejskie do jakich trzech lub czterech lat mówią tylko po jawańsku; potem mają bony, przeważnie francuskie a następnie wysyłane bywają do Europy.

W biurach rządowych lub prywatnych urzędnicy pracują tylko do 10-tej rano i od 4-ej do 6-ej wieczorem. Europejczycy nie zapracowują się tutaj, a wszyscy prowadzą życie z przepychem wschodnim.

Jest tu także przyjęte, że europejczycy w godzinach rannych i wieczornych spacerują bez kapeluszy; strój ich jest zawsze nieodmiennie biały, jak również i trzewiki.

Miasto chińskie śmieszne bardzo. Dom przy domu, przeważnie jednopiętrowe. Ulice wąskie, sklep jeden koło drugiego. Wieczorem wygląd czarowny z powodu wielkiej ilości latarni papierowych różnokolorowych.

Jest tu także kilka wspaniałych rezydencji milionerów chińskich. Wszyscy oni przeważnie dorobili się na sprzedaży opjum. Widziałem ich pałacyki. Kryte całe porcelanowymi dachówkami, a wszędzie pełno smoków brązowych, niekiedy połączanych i jakichś potworów nieokreślonych. Wewnątrz urządzenia chińskie, ale dla przyjęć mają i salony, po europejsku urządzone ze zbytkiem.

Dzielnica jawańska to jedna wielka wieś. Domki wszystkie leciutkie, bambusowe, kryte liśćmi palmowymi, dachy spadające nisko. Jak wszędzie, tak i tu domy są otoczone krzewami, bananami, ananasami, a około niektórych widać kokosy. Wzdłuż ulicy z jednej i drugiej strony kanały, o każdej też porze widzi się kąpiących.

Nad miastem panuje duży fort Pontjol z ciężką artylerją. W nim to mieszczą się więzienia karne wojskowe.

Koszary są bardzo obszerne, murowane, jednopiętrowe.

W środku miasta jest kościół katolicki, przy nim zakon ks. Jezuitów.

Istnieją tu domy wychowawcze dla dzieci żołnierzy europejskich, pod kierunkiem sióstr miłosierdzia. Instytucja to zamożna i prowadzona wzorowo. Chłopcy wychowują się do lat 10 a następnie idą do szkoły, tworząc rodzaj kadetów; w 17 roku, jako podoficerzy, pełnią służbę w bataljonach, zdolniejsi po trzyletniej służbie mogą wstępować do szkoły oficerskiej w Batawji.

Z tych wychowañców „półkrwi“, zwanych tutaj „Sinio“, Holendrzy mają doskonałe kadry.

Dziewczęta aż do zamążpójścia pozostają w zakładzie. Widziałem je nieraz na spacerach pod wodzą sióstr, idące parami. Ubrane nietylko schludnie, ale z pewną elegancją. Wszystkie w białych sukniach z niebieskimi szarfami. Wiele z nich jest uderzająco pięknych.

Instytucja ta, oprócz znacznych funduszków rządowych, otrzymuje często legaty ludzi bogatych i cieszy się wielką sympatją w kolonji.

Przemysłu, fabryk tu żadnych niema, ale za to ruch handlowy olbrzymi. Stąd okręty zabierają: ryż, kawę, herbatę, cukier, indygo, pieprz, cynamon, goździki, gałki muszkatołowe i wiele innych produktów. Opjum przynosi rządowi ogromne dochody. Plantacje są pod

ścisłym nadzorem. Najmniejsza ilość nie może iść do handlu bez opłaty, która jest bardzo wysoka. Malutka paczka, wystarczająca na kilkanaście fajeczek, kosztuje rupję (guldena).

Po kilku miesiącach pobytu naszego tutaj nadszedł rozkaz wymarszu do Aczynu na Sumatrze. Ruch wielki w koszarach. Wszystkie szable idą do arsenału do ostrzenia. Wesołość ogólna. Nakoniec zobaczymy tych strasznych Aczyńców, o których okrucieństwach tyleśmy się nasłuchali. Żołnierz nic z sobą nie zabiera, żadnych bagaży. W miarę potrzeby dostaniemy wszystko na miejscu.

Karabin, szabla i sto naboí — nic więcej do niesienia. Zostawia się nawet pas od karabina, jako zbyteczny, a przedewszystkiem dlatego, aby żołnierz był zawsze gotowy do obrony.

Oficerowie zdejmują wszystkie ozdoby złote, pozostawiając tylko małe gwiazdeczki na kołnierzach. Zresztą są ubrani tak samo, jak żołnierze. Za uzbrojenie mają rewolwery i gołe pałasze w ręku, bo pochwy brzęczą i zawadzają w gąszczach.

W przystani stoją dwa okręty gotowe: jeden dla nas a drugi dla kulisów, to jest dla obsługi, która liczy 2.000 ludzi.

Proszę sobie wyobrazić, co to za koszt podobnej ekspedycji. Jeden bataljon, liczący mniej

więcej 800 ludzi, potrzebuje 2.000 obsługi, bo wszystko absolutnie ludzie na barkach nieść muszą: amunicję, żywność, rannych i chorych.

Odprowadzeni do przystani przez 14 bataljon, który nas zlizował przy dźwiękach hymnu narodowego i nie milknących „hura!“, odbijamy od brzegu. Okręt niewielki, ledwie się mieścimy, i nie nader nam wygodnie.

Na drugi dzień tracimy z oczu brzegi Jawy. Zaczyna się Sumatra. Piątego dnia zarzucamy kotwicę w Singapor, na półwyspie Malakka, gdzie tylko kilka godzin się zatrzymujemy.

Po trzech dniach drogi, przy sprzyjającej pogodzie, stajemy na samej północy Sumatry, w sułtanacie Aczyn.

Jest to jedyne państewko na całej Sumatrze niezawisłe. Z niem też od 10-u lat rząd prowadzi wojnę.

Holendrzy nie mieli tu wcale zamiaru wkra-
czać, ale okoliczności zmusiły ich do tego.

Aczyńcy należą do szczepu czysto malajskiego i różnią się od Jawańczyków nawet wyniosłym wzrostem i kolorem skóry, która jest o wiele jaśniejsza. Wszyscy są mahometanie. Lud to bitny, a trudniący się tylko grabieżą i rozbojem. Żaden statek handlowy a szczególnie żaglowiec nie był pewny w tych stronach. Państwa europejskie słały wciąż noty

dypłomatyczne, robiąc rząd holenderski odpowiedzialnym. Anglja nawet oświadczyła, że kiedy rząd miejscowy nie ma sił do ukrócenia rozbojów, to ona sama tam porządek zaprowadzi. Tego najwięcej, naturalnie, Holandja się obawiała.

W dodatku Aczyńcy napadali także na Sumatrze na kraje pod protektoratem holenderskim i straszne tam wyrządzali spustoszenia, wyrzynając ludność w pień.

Wszelkie układy z sułtanem Aczynu do niczego nie doprowadziły, a ostatnich posłów holenderskich zakuto w kajdany.

Pierwsza ekspedycja karna, złożona z 2000 ludzi, nie udała się zupełnie, Holendrzy nie zdołali nawet wylądować i z dużemi stratami musieli wracać na okręty. W rok później rząd zorganizował nową wyprawę o wiele silniejszą, popartą przez flotę. Po upartych i ciągłych walkach zdołał na kilku punktach się utrzymać i w głębi kraju, o kilkanaście kilometrów, zdobył rezydencję sułtana, Kraton, i tu założył podstawę operacyjną. Stąd to kolumny szły w głąb kraju i wystawiły kilka bentingów (blokhausów). Na tem się skończyła rola zaczepna.

Upłynęło kilka lat. Napady nie ustawały. Coraz śmieiej Aczyńcy niepokoiли posterunki.

W tej oto ekspedycji, w której biore udział, a która się składa z 10.000 ludzi, ma nastąpić ostateczne podbicie i uśmierzenie kraju.

Brzegi Aczynu są bardzo płytkie. Z okrętu ze trzy kilometry dobijamy łodziami. Na samym brzegu już jest kolej żelazna, którą dojeżdżamy do Kratonu. Okolica, którą przejeżdżamy, robi to samo wrażenie, co i inne wyspy. Ta sama bujna wegetacja, ale zaraz widać, że to kraj dziki, ogołocony z ludności, która się w głąb kraju wyniosła. Nigdzie nie widać wiosek.

Kraton, dawna rezydencja sułtana, dziś jest miastem czysto wojskowym. Wielkie magazyny z żywnością, amunicją, baraki dla wojska, szpital na 1000 łóżek. Ludności miejscowej prawie nie widać. Za to Chińczyków już jest kilkuset. Pozakładali sklepiki.

Miasto całe obwiedzione palisadą, wałem, rowem głębokim i otoczone drutem kolczastym. Oprócz artylerji górskiej, jedynej, której tu można używać, stoi kilkanaście dział ciężkich, 12-centymetrowych.

Zastaliśmy tu już kilka bataljonów gotowych do wymarszu. Mamy operować jednocześnie czterema kolumnami. Dowódcą jest generał Domini.

Odnalazłem mego zanego przyjaciela Wrzowska; teraz już często będziemy się widywali, bo

choć on należy do drugiej kolumny, ale prawie równolegle będziemy postępowali: jego kolumna posuwać się będzie lewym brzegiem rzeki, my zaś prawym. Przydzielono też do nas baterje górskiej artylerji. Poznałem tam wachmistrza Bendę. Przedtem służył w gwardji konnej belgijskiej w „gidach“.

Jest tu także w trzecim bataljonie Suchodolski vel Strupczeski, były saper z legjonu cudzoziemskiego w Algierze. Wszyscy czterej często się teraz widzujemy. Przy szklance wina wesoło czas schodzi.

Po czterech dniach, gdy już wszystko było gotowe, z ogromnym zapasem żywności i amunicji ruszamy dwoma kolumnami do Lombara. Jest to ostatni posterunek holenderski, silny „benting“ (blokhauz). Trzy kilometry dalej mamy wejść w kraj zupełnie nieznan.

Kolumna lewa wchodzi pierwsza w gęszcze. Ma rzucić tam most na rzece i przejść na lewy brzeg, dopiero wtedy nasza kolumna posunie się naprzód i równolegle o ile możliwości posuwać się będzie.

Zaledwie czoło kolumny zniknęło nam z oczu w gęstwinie, słychać już trzask ogni rotowych. Robi to wrażenie, jakby kto darł płótno.

Aczyńcy, dobrze ukryci, bronią przejścia rzeki. Trwa ta strzelanina z godzinę. Nakoniec zdołano po tych bezdrożach przeprowadzić kilka armat. Po kilkunastu strzałach, kolumna przeszła rzekę. Dodać trzeba, iż rzeka, chociaż bardzo bystra i głęboka, ale wązka.

Niedługo przeciąga przed nami transport rannych. Widzimy ze trzydzieści tandu (długi bambus, do którego przymocowany hamak płócienny, w którym umieszcza się rannego. Niesie go dwóch kulisów, a obok idzie dwóch na zmianę). Smutny to widok te płótna, całe przesiąknięte krwią. Niemiłe to na nas robi wrażenie. Mimowoli przychodzi myśl do głowy, że za chwilę którego z nas nieść będą.

Przychodzi rozkaz, aby iść naprzód. Zagłębiamy się w las. Ledwie zrobiliśmy parę kroków, strzały zaczynają padać ze wszystkich stron.

Odpowiadamy na nie na ślepo, bo nikogo nie widać.

Kroczyliśmy ścieżką gęsiego. Ani się rozwinąć w kolumnę, ani żadnego obrotu wykonać. Idziemy możliwie szybkim krokiem, żeby się prędzej wydostać na jaką polankę ryżową.

Przy kolumnie mamy dwóch szpiegów, którzy nas prowadzą; mówią, że wkrótce będzie duża wieś.

Z drugiej strony rzeki kolumna napotyka większy opór, bo ciągle słychać strzały armatnie. Co chwila trzeba się zatrzymywać, bo artylerja nie może nadążyć. Armatki są 8-centymetrowe na dwóch kołach, zaprężone w szpic we dwa konie. Pomimo że koła są bardzo blisko jedno od drugiego, jednakże często przejechać nie można, trzeba je rozbierać i ludzie na rękach przenosić muszą działka.

Największy jest kłopot z kulisami, którzy niosą ciężary na bambusach. Trzeba ich pilnować, a także zabezpieczać przed napadem nieprzyjaciela, a przy naszej kolumnie jest ich 2500, bo na wszelki wypadek trzeba mieć duży zapas żywności i amunicji.

Niewiadomo, czy czasami nie odetną nam tyłów i uniemożliwią zaprowiantowanie z głównej kwatery, to jest z Kratonu. Tych biednych kulisów często ginie więcej, niż nas. Bronimy ich od wycięcia ręczną bronią, ale przed kulami osłonić ich niepodobna. Często wśród nich powstaje popłoch; rzucają ciężary na ziemię, chcąc się ukryć. Trudno się dziwić, bo ludzie bezbronni i obciążeni. Bądź co bądź, trzeba nad tem wszystkim panować i do ładu doprowadzać, a wszystko to ogromnie utrudnia pochód.

Cztery godziny już jesteśmy w marszu, a nie wiem czy z pięć kilometrów zrobiliśmy. Upał nieznośny. Żołnierze rwą liście bananowe, składają we czworo i wkładają do kepi. To troszkę odświeża głowę, bo te liście są zawsze pełne wody.

Gęstwina zaczyna się zmniejszać. Wychozimy na pole z trzcina cukrową. Zdała widać kilka domów. Zbliżamy się do wsi.

Kolumna się zatrzymuje. Jeden pluton wysłałamy na rekonesans.

Po chwili dowiadujemy się, że wieś jest opuszczona. Wychodzi na nasze spotkanie kilku starców. Pierwsza to wieś, jaką spotykamy w Aczynie. Domów może z 50, wszystkie zbudowane solidnie stoją na palach. Do każdego wchodzi się po schodach. Pale, belki, krokwie, wszystko z twardego drzewa, zwanego żelaznem, ściany przewiewne z dartych bambusów, dachy śpiczaste, kryte liśćmi palmowymi.

Wszystkie te domy porządnie wyglądają, a niektóre mają ozdoby z wyrzynanych desek, coś podobnego jak domy w Zakopanem.

Ze zwierząt domowych, oprócz kóz, psów i gdzieś tam bawołów, nic nie widać. Z ptactwa widzimy tylko kury. Ryżu, cukru, kawy nie brak, a najwięcej nas uderza to, że prawie w każdej chacie znajdujemy dywany, i to nie

bylejakie, same perskie, smyrneńskie, walki czyli poduszki z drogich materji. Znaleźliśmy także siodło damskie angielskie, busołę okrętową, lunety i rozmaite wyroby europejskie, a nawet lalki. Wszystkie te rzeczy pochodzą ze zrabowanych okrętów.

Wieś, ponieważ nie stawiała oporu, zostawiamy nietkniętą, a w dodatku każdy ze starców dostał od komendanta kolumny Ryksthaller (2 i pół guldena) jako dowód lojalności i humanitaryzmu ze strony europejczyków.

Po godzinnym wypoczynku i posileniu się kawą, znowu ścieżkami w lesie posuwamy się naprzód. Czasami padają strzały, ale znać, że odosobnione. Widocznie główne ich siły bronią się z tamtej strony rzeki, bo tam ciągle słyszeć się daje gęsty ogień i strzały armatnie.

Stajemy w miejscowości Anagalong. Tu mamy założyć obóz obronny a później wybudować blokhauz.

Jesteśmy nad samą rzeką. Przedewszystkiem trzeba oczyścić teren, to jest wyciąć drzewa i krzewy. Idzie to bardzo pośpiesznie. Parę tysięcy ludzi tnie na wszystkie strony. Kulisowie i kompanje jawańskie pracują, bo na noc obóz musi być jako tako zabezpieczony, aby nieprzyjaciel nie mógł za blisko się usadowić. Drzewa nie tyle nam przeszkadzają, co

krzewy bananu, którego jest mnóstwo wszędzie, a swymi wielkimi liśćmi zasłania tak, że nawet na kilka kroków nic się nie widzi.

Pierwszą noc przepędziliśmy wszyscy pod bronią, bo nie było dosyć czasu, aby się zabezpieczyć palisadą. A wszelkich niespodzianek nocnych musimy się bardzo strzedz.

Aczyńcy są znani z tego, że w największej cichości umieją się podkradać, a potem z wielkim impetem rzucają się na obóz ze swymi klebanami (jest to rodzaj miecza, wązki przy rękojeści, a szeroki jak dłoń na końcu), zadając straszne rany. Bywały też wypadki, że żołnierze w nocy, w zamieszaniu, sami do siebie strzelali.

Kolumna z drugiej strony rzeki dopiero na wieczór ściągnęła. Miała cięższe przejście, niż my: 17 zabitych i 42 rannych, w tem 3 oficerów. W naszej kolumnie mieliśmy tylko jednego zabitego kulisa i 4 rannych żołnierzy Jawańczyków, z tylnej straży. Noc stosunkowo mieliśmy dość spokojną, choć nie obeszło się bez kilku alarmów. Nad ranem kule zaczęły świstać nad obozem, ale kilka rzuconych szrapneli spędziło nieprzyjaciela z obronnej pozycji. Od rana wre robota u nas z wielkim pośpiechem. Rzucamy most, aby można się znosić z drugą kolumną, stawiają szalasy, tną

kokosy na palisady, a poza palisadą otaczają obóz szerokim pasem kolczastych bambusów.

Zapewne tu kilka miesięcy przepędzimy i stąd dopiero będziemy robić wycieczki i zmuszać Aczyńców do uległości, a po wybudowaniu blokhauzu i obsadzeniu go załogą, posuniemy się naprzód. W ten sposób zabezpieczamy tyły i umożliwiamy transporty z Kratonu. Po kilku dniach obóz jest w porządku i ufortyfikowany, szalasy zabezpieczają od słońca i ulewy i żołnierz śpi na podwyższeniu, chroniąc się od wilgoci. Pomimo to, duży procent zapada na febrę.

Żołnierze dotąd przeważnie są żywieni mięsem australskim w konserwach; z początku ono bardzo smakuje, wkrótce się jednak przejada, jak również i sardynki, które z czasem tak obrzydły, że żołnierze setki pudełek wyrzucali.

Upały są tu ciężkie, nie do zniesienia, większe jeszcze, niż na Jawie. Aczyn leży na samym równiku.

Codziennie prawie wysyłamy oddziały w okolice. Niektóre kampongi (wioski) trzeba brać szturmem, tak są uporczywie bronione: wszystko tu się bije, kobiety i dzieci nawet. Broń palną mają różną, od starych fuzji aż

do nowoczesnych karabinów; dużo mają także garłaczy. Wogóle strzelają źle.

Najwięcej męczy żołnierzy ta ciągła gotowość. Niema nocy, żeby dwa albo trzy razy żołnierz nie stawał do broni. Są to drobne ataki, zawsze odparte, niemniej jednak wymagające ciągłej czujności.

Któregoś dnia doniesiono, że w niewielkiej odległości od obozu w małej wiosce gromadzą się Aczyńcy. Kompanja moja i druga jawańska dostaje rozkaz zaatakowania. Po godzinnym może marszu, prawie bez ścieżek, okropnymi gąszczami, gdzie nietylko trzeba uważać przed sobą, ale z wielką roztropnością omijać drzewa, na których wiszą gniazda mrówek i które spadają na głowę, a są tak zjadliwe, że trudno sobie dać z niemi radę, naraz zatrzymujemy się. Kapitan wysyła mnie z 12 ludźmi na zwiady.

Idziemy w największej cichości, nie widzimy nic jeszcze przed sobą, a jednakże Aczyńcy już nas dostrzegli i kilkadziesiąt strzałów pada w naszym kierunku. Pośpiesznie wracamy, aby się dostać do naszej kompanji, biegniemy kłusem, aż tu rozlega się trzask karabinów i setki kul świszczą nad głową. Zaledwie zdążyłem zakomenderować: „legen“ (kłaść się) — grzmi druga salwa.

Przyciśnięci do ziemi, krzyczymy co sił w piersiach: „Nie strzelać!“ Usłyszeli nasze rozpaczliwe wołanie. Rzecz się wyjaśniła. Kapitan kompanji jawańskiej, nie wiedząc, że jesteśmy na przodzie, a słysząc strzały i nas biegnących, zakomenderował ognia, pewny, że to Aczyńcy.

Szczęście, żeśmy leżeli, bo pewno nie wyluby nas zostało.

Po krótkiej naradzie i na przedstawienie przewodnika, że trzeba obejść pozycję, bo z drugiej strony wioska dotyka polanki i stamtąd będzie lepiej strzelać, rozdzieliwszy się na dwa oddziały, okrążamy wioskę.

Trzeba obejść może z kilometr. Aczyńcy zaraz nas wysledzili i strzelają gęsto. Nie odpowiadamy nawet i posuwamy się jak możemy najprędzej. Wpadamy na pole trzcinowe. Stąd na jakie 300 metrów widać już domy.

Po kilkunastu naszych salwach ogień ich słabnie. Kompanja Jawańczyków idzie na bagnety. My zostajemy w asekuracji. Aczyńcy bezładnie uciekają. Znaleźliśmy 6-ciu zabitych, rannych widocznie uprowadzili. Z naszej strony mieliśmy 2-ch Jawańczyków zabitych i 5-ciu rannych, oraz jednego europejczyka rannego.

Po spaleniu wsi powróciliśmy do obozu.

Pomimo takich karnych wypraw Aczyńcy nie przestają napadać i dopuszczają się najwstrętniejszych okrucieństw. Przed kilku dniami sześciu Jawańczyków z kapralem europejskim wysłano z listem do Lombara, kilka wiorst zaledwie i to już na naszych tyłach, gdzie niby pokój panuje. Wpadli jednakże w zasadzkę. Na drugi dzień znaleziono ich wbitych na pale.

To znowu jeden z kapitanów, wyszedłszy nieostrożnie za obóz, goniąc za jakimś ptakiem, przepadł bez wieści. Wkrótce nieobecność jego spostrzeżono. Wysłano silne patrole na wszystkie strony. Po paru godzinach powróciły, nic nie znalazłszy. Dopiero w trzy dni później, w oddaleniu 10-ciu kilometrów, w bliskości wsi, która przedtem się już poddała, trafiono na ślad i znaleziono szkielet w wielkiem mrowisku. Czy może być coś okropniejszego nad takie wyrafinowane okrucieństwo.

Po takich faktach, żołnierze są okropnie oburzeni. Oficerom trudno ich utrzymać w posłuszeństwie; pałają zemstą, a tu rząd wydał rozporządzenie, aby jak najhumanitarniej postępować. Ranni, którzy wpadną w nasze ręce, są leczeni na równi z naszymi. Mamy rozkaz nigdy nie strzelać pierwsii.

Transporty, które są prawie codzienne, z żywnością lub amunicją, zarówno dla nas, jak i budującego się blokhauzu, są prawie zawsze ostrzeliwane. Nie można wysłać ich inaczej, jak pod silną eskortą.

Kolumnie z drugiej strony rzeki nie wiedzie się lepiej. Tam nawet Aczyńcy silniej napadają. Niema dnia, aby nie było strat w zabitych i rannych.

Drugie dwie kolumny, które się posuwają na wschód, mały robią postęp. System budowania blokhauzów jest dobry, ale nader powoli zdobywa się kraj.

Holendrzy są przezorni, niema tu żadnych porywów nieobliczonych, wszystko się dzieje systematycznie, z upartą wytrwałością.

W tych czasach doszła nas bardzo smutna wiadomość: kolumna 3-cia, składająca się z 9-go bataljonu z artylerją, prawie doszczętnie została wycięta. Rzecz tak się miała; zmęczona bardzo całodziennym marszem, nie przedsięwzięwszy należytych ostrożności, rozłożyła się obozem w miejscowości bardzo zakrytej. Nie mieli czasu jako tako się oszańcować, tembardziej, że przed wieczorem radza z naczelnikami wsi sąsiednich zjawił się w obozie, zaprzysiągł uległość i zaprzestanie kroków wojennych.

Komendant kolumny, ufając temu, zamiast całą noc trzymać wszystkich pod bronią, gotowych każdej chwili, ograniczył się do zwykłych wart. Reszta kolumny używała odpoczynku.

Koło obozu przestrzeń nie była wycięta. Aczyńcy w wielkiej cichości podsunęli się na kilkadziesiąt kroków. Zaledwie warty dały pierwsze strzały, nieprzyjaciel był już w środku obozu, robiąc na prawo i lewo. Nie było czasu w tym zamęcie ani się sformować, ani jakiś ład zaprowadzić. Nastąpiła straszna rzeź. Żołnierze strzelali na oślep na wszystkie strony, mordując się wzajemnie, bo noc była ciemna.

Co się tam działo, przechodzi pojęcie. Podpułkownik, komendant kolumny, będąc już ranny, z przestrzeloną ręką, dopadł konia, a znalazłszy koło siebie trębacza, wydostał się z nim z tego piekła, dopadłszy zaś jakiejś małej polanki o kilkaset kroków, kazał trąbić na odwrot i zbieranie się. Ci z żołnierzy, którzy jeszcze mogli się wydostać, pośpieszyli do niego. Tym sposobem ze 200 ludzi zostało uratowanych.

Pułkownik, sformowawszy ich, ruszył natychmiast w pomoc pozostałym w obozie, ale tu już nie było komu pomagać ani kogo ratować. Gdziekolwiek tylko odzywał się jakiś jęk żałosny, a wszędzie cichość grobowa. Nasi,

pomieszani z Aczyńcami, leżeli pokotem. Wszyscy tu się mordowali bez litości. Kleban aczyński dowiódł, jaka to straszna broń w ich rękach.

Prawie połowa żołnierzy poległa zabita przez swoich. Z 32 oficerów ani jeden nie pozostał, oprócz podpułkownika.

Straty straszne: 824-ch zabitych, rannych ledwie kilkunastu. Co to za szalona, dzika rąbanina być musiała, pokazało się przy oglądaniu trupów. Niektórzy, przeszyci kulami, mieli jeszcze poobcinane ręce lub nogi.

I któżby powiedział, że takiej strasznej rzezi dokonało 200 Aczyńców, bo więcej ich nie było, i to bez broni palnej. Zginęli prawie wszyscy. U niektórych Aczynów były rany zadane klebanami, co dowodzi, jaki tam zamęt panował wśród ciemności. Reszta zginęła od kul i bagnetów.

W kilka dni później trzy kolumny wyruszyły, aby pomścić tę klęskę. Cały obwód został kompletnie zniszczony, dwadzieścia ośm wsi spalonych, radzę i pięciu naczelników pojmano i powieszono, kilkuset ludzi wystrzelano i wykłuto, reszta uciekła w góry.

U nas blokhauz już prawie ukończony. Żywności i amunicji sprowadzono na trzy miesiące. Obecnie kulisowie zajęci są wyrąbywa-

niem drogi, aby można sprowadzić armaty większego kalibru dla obrony blokhauzu.

Przy wyrąbywaniu drogi codziennie 200 ludzi stoi na straży.

Zapewne już niedługo wyruszemy naprzód, pozostawiwszy załogę tutaj.

Podobno w miejscowości, oddalonej stąd o 15 kilometrów, w Indrapuri, koncentrują się główne siły Aczyńców i stamtąd wyruszają główne siły zaczepne.

Dotąd kompanja moja mało ucierpiała w boju, ale i na nas przyszła kreska. Kapitan mój, Van der Loo, dostał rozkaz eskortowania 500 kulisów do Lombara, skąd mieli zabrać żywność i amunicję. Ponieważ cała przestrzeń, może 10-kilometrowa, już jest uspokojona i codziennie prawie przebywają tamtędy nasze wojska, a oddawna nie słyszeliśmy o żadnym poważniejszym napadzie, zdawało się, że stu ludzi zupełnie wystarczy. Pierwszy więc pluton, do którego i ja należę, został odkomenderowany. Nie bierzemy nawet z sobą zapasu amunicji. Żołnierz ma przy sobie tylko 100 naboí. Przyłącza się do nas kapitan 4-ej kompanji, który chce w Lombarze odwiedzić swego kolegę.

Kolumna nasza, podzielona na 2 oddziały, idzie naprzód; 50 ludzi, za nimi 500 kulisów, a drugie 50 ludzi zamyka pochód.

Wyruszyliśmy w wesołym nastroju. Żołnierze śpiewają.

Przeszedłszy może z pół drogi, wychodzimy z lasu na duże pole ryżowe i ścieżką zawsze gęsiego chcemy skręcić na prawo. Straż przednia, złożona z czterech ludzi, która w pewnym oddaleniu idzie przed nami, zatrzymuje się i donosi, że na skraju lasu widzi dużo ludzi. Nikt na to nie zwrócił uwagi.

Jesteśmy może 150 metrów od lasu. Naraz, jakby na komendę, pada kilkaset strzałów. Zanim żołnierze zdążyli się złożyć do strzału, już ze 20-stu leży na ziemi. Chwilowy popłoch, kapitan nie traci głowy, komenderuje: leżeć. odpowiadamy szybkim ogniem. Kilkunastu kulisów także upadło, reszta ucieka w strasznym zamieszaniu w pole, w stronę Lombara.

Drugi oddział z tyłu, słysząc ogień i przywołany trąbką, biegnie na pomoc, ale upływa z kwadrans, zanim zdążył nadbiec. Przez ten czas wytrzymujemy piekielny ogień. Pomimo że leżymy na ziemi, tracimy ciągle ludzi. Już nasz kapitan raniony, drugi — zabity. Porucznik także ranny. Podporucznik, który nadbiegł z pomocą, komenderuje odwrót eszelonami, to znaczy połowa leży i strzela, a druga połowa cofa się kłusem ze 100 kroków i tak na zmiany.

Mieliśmy z sobą kilkanaście tandu, ale kulisowie rozbiegli się. Co tu robić z rannymi, których liczba co chwila się powiększa? O zabitych już mowy niema. Rozpaczliwe położenie — a tu niezadługo zabraknie naboji; wtedy wytną nas do nogi. Cała nadzieja, że Lombardo, które słyszy taką strzelaninę, wyśle pomoc.

Kilkunastu rannych ciągniemy jak możemy za sobą, ale wielu zostało. Mamy już zaledwie po 20 naboji, to też prawie, że nie odpowiadaemy. Cofnęliśmy się może ze 300 kroków. Aczyńcy, widząc to, całą masą wyszli z lasu, aby dobijać rannych. Trzy nasze salwy powstrzymały ich. Lecąc w taką zbitą masę, kule nasze dobrze ich wzięły. Zaraz się też cofnęli, ciągnąc za sobą kilkunastu zabitych i rannych.

Z dwóch żołnierzy, co byli przy mnie, jeden, Belgijczyk, został raniony, a drugi, Szwajcar, zabity.

Ja miałem strzaskaną manierkę, wiszącą u boku. Kepi moje także pewno dostało, bo gwałtownie spadło z głowy. Nie miałem czasu ani mu się przyglądać, ani też podnosić.

Naraz słyszymy trąbki. Jakaż radość wstępuje nam w serca! Teraz już nie żałujemy ostatnich naboji.

Kłusem nadbiega cała kompanja z dwoma działami, artylerja odprzęga i raz po raz kilkanaście szrapneli wyrzuca. Odrazu strzelanina słabnie, kompanja wpada z bagnetem do lasu, ale już nikogo nie znalazła.

Nie pierwszy to raz w życiu byłem w ogniu, ale zdaje mi się, że nigdy nie byłem tak pewny śmierci. Jedna myśl mnie nie odstępowała: aby nie wpaść w ręce tych rozbójników i mieć dosyć siły, aby sobie życie odebrać.

Straty nasze były stosunkowo ogromne: 13 zabitych i 31 rannych, w tem trzech oficerów.

Już dnia tego nie powróciliśmy do obozu. Na drugi dzień, wzmocnieni przez kompanję, przechodzimy tą samą drogą, ale ani jeden strzał nie padł.

* * *

Pomimo że administracja, o ile możliwości, stara się, aby żołnierz był dobrze karmiony, a zamiast konserw i sardynek, sprowadzono całe stada wołów australskich i europejczycy codziennie dostają pół butelki wina, jednakże ubytek w ludziach z każdym dniem jest większy. Febra, dysenterja, a co gorsza i beri-beri zaczyna grasować w naszym obozie.

Co kilka dni długi szereg tandu z rannymi, a najwięcej z chorymi wysyła się do Kratonu, a stąd okrętem szpitalnym na Jawę.

Smutną bardzo wiadomość odebrałem: nasz serdeczny przyjaciel Wrzosek przy eskortowaniu jakiegoś transportu został raniony. Kula strzaskała mu poniżej kolana nogę. Zapewne będą musieli ją amputować. Wysłali go do Kratonu. Przed paru dniami był jeszcze u nas, ale biedak, jakby przeczuwając nieszczęście, był jakiś nieswój. Nie mogliśmy go rozruszać, pomimo kilku kieliszków koniaku.

Van-Vin i Benda żartowali sobie z niego, że się zakochał w Aczynce, które, mówiąc nawiasem, są brzydkie i wstrętne brudne, a przystem uciekają od nas, jak od djabłów.

Już ta kampanja zaczyna nam na dobre dokuczać. Wszyscy jesteśmy jeśli nie zupełnie chorzy, to okropnie zmęczeni i zdenerwowani. Ja i Van-Vin trzymamy się stosunkowo dobrze. Codziennie naczczo wypija się kieliszek chiny.

Doszedłem do przekonania, że żołnierz europejski wytrzymuje nawet trudy lepiej, niż krajowy, i nie tak się poddaje chorobie. Jawańczyk, jak tylko febra go zmęczy, kładzie się na ziemi i już jest do niczego.

Co to będzie, gdy się zacznie pora deszczowa? Stan zdrowotny o wiele się wtedy pogorszy.

Codziennie odbywają się u nas narady. Był także generał Domini. Zdaje się, że połączymy się z kolumną z drugiej strony rzeki.

Przed paru dniami przyprowadzono do obozu ze 300 ludzi, przeważnie kobiety, dzieci i starców, chociaż było i kilkunastu młodych. Poddali się bez boju i nie mogą wrócić do swoich siedzib, bo by ich współbracia wymordowali. Trzeba się więc nimi opiekować i żywić ich. Zostaną wysłani do miejscowości zupełnie spokojnych. Na początek każdy dostaje worek ryżu i po $2\frac{1}{2}$ rupji.

Posiłki nam co parę tygodni nadchodzą, aby zastąpić tych, co ubyli z szeregów. Są tacy, co ledwie parę tygodni pobędą w kolumnie, a już schorowanych trzeba odsyłać na Jawę.

Czwarta kompanja europejska z mego bataljonu także została przetrzebiona. Byli wysłani do zlustrowania jakiegoś kampongu, który zaliczony był do spokojnych. Wracając, wpadli w zasadzkę. Stracili dwóch oficerów, 9-u zabitych żołnierzy i 23 rannych. Zabrakło im naboju. Musieli się bronić bagnetami.

Zaczęła się pora deszczowa. Codziennie prawie o tej samej porze przez parę godzin

z rzędu straszna ulewa. Woda leje się potokami, niebo się zaciemnia, a rozświetlają je tylko błyskawice i zygzaki uderzających piorunów.

Pomimo takiej pory, czujność w obozie nie może słabnąć ani na chwilę. Wycieczki i patrole codzienne. Brnie się po kostki w błocie, bo, pomimo upałów, ziemia nie może pochłonąć takiej masy wody i ledwie zacznie obsychać, już druga taka sama ulewa. Trzeba być przygotowanym, że to potrwa ze trzy miesiące.

Znowu bolesną stratę ponieśliśmy, a ja w szczególności jako Polak. Na tyłach naszych przedarła się jakaś banda. Wysłano z naszej kolumny jedną kompanję z dwiema armatami. Aczyńcy na duży dystans rozpoczęli strzelanie. Mało która z kul dochodziła, piechota więc nasza nie odpowiadała, artylerja tylko rzuciła kilka granatów.

Komenderując swą armatą, biedny Benda ugodzony został kulą w głowę i zginął na miejscu. Ze wszystkich on jeden biedak tę wycieczkę przypłacił życiem. Nie było nawet ani jednego rannego.

Przyniesiono go tu do obozu.

Oddaliśmy mu ostatnie honory wojskowe i pod rozłożystą palmą złożony został na wieczny spoczynek.

Bardzo go wszyscy żalowali. Kapitan artylerji miał długą przemowę nad grobem, podnosząc jego gorliwość w służbie i męstwo.

Mnie niezmiernie zmartwiła strata ostatniego z rodaków. Z trzech nas ja jeszcze jeden się zostałem.

W ostatnich czasach Benda jako wachmistrz pełnił służbę oficerską. Był on blizkim kuzy-nem sławnej artystki, Heleny Modrzejewskiej.

Rzeczka, przy której brzegach mamy obóz, zaczyna gwałtownie wzbierać; z gór wielka ilość wody napływa. Jesteśmy paręset metrów jeszcze oddaleni. Nikt nie przypuszcza, aby woda nas dosięgła, bo obóz jest troszkę na wzgórzu.

Noc przechodzi dosyć spokojnie, ale nad ranem rzetelnie jesteśmy zaniepokojeni. Mamy wodę już pod palisadą. Wyczekujemy z nadzieją, że to może już maksimum i woda zacznie się cofać. Nadzieje nasze zawiodły. Woda wtargnęła do wnętrza obozu i to z taką gwałtownością, że trzeba uciekać. Wkrótce mamy ją pod kolana. Łatwo zrozumieć, z jakim pośpiechem trzeba ratować taką masę żywności i amunicji. Przenosimy wszystko o jakie paręset metrów dalej, na małą polankę. Niebawem mamy wodę do pasa.

W takich warunkach cały dzień pracujemy wszyscy, nie wyłączając oficerów. Pomimo wysiłku, znaczną część żywności uniosła woda. Amunicję jednak wszystką uratowaliśmy. Przy tej pracy utonęło trzech żołnierzy jawańskich i kilku kulisów, bo prąd był tak silny, że nas przewracał. Przez cały dzień nie było mowy o spożyciu czegoś gorącego. Winem i wódką podtrzymywaliśmy siły.

Noc zapada. W nowym obozie nie było można nic zrobić, ani się zabezpieczyć. Po takim dniu i w takich warunkach, śmiało można powiedzieć, że trzecia część żołnierzy stała się zupełnie niezdatną do boju. Leżą w paroksyzmie febry, na mokrej ziemi.

Aczyńcy wiedzą dobrze o naszym położeniu i z pewnością w nocy nas zaatakują. Nie ma się co łudzić, położenie jest niebezpieczne.

Sformowawszy się w czworobok, nie zapalając ogni, wszyscy na stanowiskach czuwamy. W lukach między piechotą armaty nabite kartaczami, nie wolno nawet zapalić papierosa.

Cichość taka panuje, że każdy szelest, z zewnątrz dochodzący, można usłyszeć. Pomimo że noc parna, jest nam chłodno. Ubranie przemokło w ciągu całego dnia, a całą noc stoimy bez najmniejszego ruchu w błocie. Odczuwa się febryczne dreszcze, a co najwięcej nam do-

kucza, to moskity, których miljarady nas obsiadają. Twarze i ręce mamy opuchnięte, a tu ani nawet dymem odstraszyć ich nie można.

Nad samem ranem usłyszeliśmy jakiś szelest i ciche nawoływanie. W tej chwili rzucono cztery bomby rozświetlające, a jedna ściana czworoboku otworzyła czterorzędowy ogień. Po tej salwie wszystko ucichło. Aczyńcy zawiedli się w swych rachubach. Zapewne myśleli, że naboje nam zamokły.

Od rana znowu gorączkowa praca: woda z obozu już ustąpiła, trzeba znowu wszystko przetransportować. Palisady w wielu miejscach powyrywane. Upłynie z tydzień, zanim wszystko do pierwotnego porządku się doprowadzi; most także trzeba zbudować, bo ze starego niema śladu.

Kolumna po drugiej stronie nic prawie nie ucierpiała. Obóz jej jest o wiele wyżej położony i z tamtej strony rzeka tak szeroko nie rozlała.

W tej porze deszczowej robimy mniej wycieczek. Kolumna i tak literalnie topnieje, a szczególnie beri-beri masę ofiar zabiera. Posiłki nadchodzące nie wystarczają na wypełnianie luk.

Oficerowie także się ciągle zmieniają, co jest wielką szkodą dla całości. Ledwie, że się

którego pozna, a już go niema. Tym sposobem żołnierz nie może się ani przywiązać do swych szefów, ani też bardzo zaufać ich zdolnościom bojowym.

Odkąd jesteśmy w Aczynie, nigdzie nie spotykamy dzikich zwierząt. W jednej wsi raz tylko znaleźliśmy na uwięzi dwie małpy, podobne do pawjanów. Mieszkańcy używają ich do zrywania kokosów. W rzece nie widzieliśmy kajmanów, ale za to bardzo dużo legwanów. Jest to wielka jaszczurka z półtora metra długości, koloru szaro-zielonego, żyje przeważnie padliną; bardzo tchórzliwa. Nieraz widzieliśmy na ławie piaszczystej kilka razem objadających padlinę.

Nakoniec skończyła się pora deszczowa. Po połączeniu się z kolumną lewą przedstawiamy siłę 3000 bagnatów, 12 armat i 4 moździerze, oddział saperów i kilka tysięcy kulisów. Z tą siłą wyruszamy w kierunku Indrapuri, która podobno jest silnie ufortyfikowana i broniona armatami.

Pierwszego dnia przeszliśmy kilka kilometrów, nie będąc ostrzeliwani, ale już drugiego nie mamy spokoju; co chwila musimy się bowiem zatrzymywać. Artylerja nie może nadążyć, droga nie do przebycia, takie straszne gąszcz. Cały oddział saperów i kilkuset kuli-

sów rozszerza drogę. Z wielkim trudem wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń. Pole ma może z kilometr. Kiedyś musiała być ziemia uprawna, ale oddawna leży odłogiem. Ledwie żeśmy się skoncentrowali, a już Aczyńcy rozpoczęli strzelaninę. Na drugim końcu pola leży kampong Senelop z bentingiem.

Kolumna, uformowawszy się plutonami, posuwa się naprzód, nie odpowiadając na bezładne strzelanie, tembardziej, że tylko kiedy niekiedy kula świśnie nad głową i to zapewne z naszych zabranych karabinów. Z ich broni na ten dystans kule wcale nie dochodzą.

Podeszliśmy może na jakie 500 metrów. Ogień ich zaczyna nam dokuczać: mamy dwóch zabitych i kilku rannych. Czołowe nasze kompanje strzelają salwami, pomimo to ogień ich nie słabnie. Benting jest zabezpieczony wałem i palisadą, tak, że kule karabinowe niewiele mu szkodzą. Nadjeżdżają więc armaty. Po jakich dwudziestu strzałach granatami, Aczyńcy ratują się ucieczką. Straty ich muszą być dotkliwe. Samych zabitych w benting u naliczyliśmy 32. Rannych nie znaleźliśmy, więc ich uprowadzili. Z naszej strony mieliśmy trzech zabitych i jedenastu rannych.

Dowiaduję się, że między rannymi jest także sierżant Van-Vin. Lecę natychmiast do

ambulansu. Zastaję go już opatrzonego. Na szczęście, rana nie jest niebezpieczna, kula ześliznęła się po łopatce i nie bardzo ją nadwreżyła, jednakże trzeba dłuższej kuracji. Prawdopodobnie odeślą go na Jawę.

Bardzo się zgryzłem. To mój ostatni serdeczny przyjaciel, z którym od lat tyłu w legjonie i tutaj żyliśmy, jak bracia.

Noc przebyliśmy na zdobytej pozycji i tu pozostawiliśmy jedną kompanję i kilkuset kulików, którzy zajęli się budowaniem [blokhauzu]. O świcie ruszamy naprzód. Mamy podobno z 10 kilometrów do tej groźnej Indrapuri, o której od tak dawna słyszymy.

Posuwamy się ciągle zaroślami w bliskości rzeki. Na parę kilometrów przed Indrapuri zaczyna się teren odkryty. Zdaleka, z drugiej strony rzeki, widać na dosyć wyniosłym wzgórzu duży meczet murowany. Tutaj to Aczyńcy mają nam stawić poważny opór.

Kolumna rozwija się kompanjami. Zajmujemy pozycje naprzeciwko bronionego meczetu. Oddziela nas od niego rzeka, może ze 100 metrów szeroka, nie głęboka wprawdzie, ale bardzo bystra — i przestrzeń lesista z 500 metrów.

Ledwie czoło kolumny się ukazało, witają nas strzałami armatnimi, które na szczęście wszystkie idą górą i robią szkodę tylko orze-

chom kokosowym. Ogień armatni idzie z meczetu. Z za wału i z gęstwin Aczyńcy rażą nas z broni ręcznej. Jest chwila, że nam bardzo niewygodnie. Kopiemy na poczekaniu dołki, aby się jako tako uchronić.

Zanim artylerja zdążyła nadciągnąć i uformować się w baterje, pierwsze nasze cztery kompanje poniosły dotkliwie straty: trzech oficerów zabitych, sześciu rannych, żołnierzy i podoficerów coś ze 60 ubyło z szeregów.

Dopiero kiedy dwanaście armat i cztery moździerze rozpoczęły rzucanie granatów, ogień Aczyńców zmiejsza się, ale nie ustaje. Nie można na razie próbować przejścia rzeki.

Po kilkudziesięciu strzałach artylerji, armaty Aczyńców umilkły, już to zupełnie zdemontowane, już to opuszczone. W murze widać duży wyłom. Meczet się pali. Aczyńcy opuszczają go gromadnie, aby z zarośli bronić przejścia rzeki. W tej właśnie chwili duże straty ponoszą, bo artylerja, widząc ich uciekających, praży bez litości szrapnelami, a i ogień naszej piechoty jest gwałtowny.

Po dwóch godzinach takiej obopólnej strzelaniny, w ciągu których artylerja ani na chwilę nie milkła, ogień Aczyńców słabnie o tyle, że dwie kompanje z 11-go bataljonu dostają rozkaz w bród przejść rzekę.

Pomimo że artylerja osłania ich przejście, ogień znowu się wzmacnia, a co gorsza, pierwsze szeregi, które są już w rzece, muszą się wracać, bo prąd jest tak silny, że żołnierzy porywa. Kilku utonęło. Następuje zamieszanie, bo i ogień z zarośli ich parzy. Trąbią więc na odwrót.

Artylerja rozpoczyna jeszcze silniejszy ogień, nakoniec ogień Aczyńców milknie. Gdziekolwiek tylko odzywają się pojedyncze strzały. Wtedy to komendant nasz wysłał kilku najlepszych pływaków, aby się dostali na drugą stronę i przeciągnęli liny, które zostały z tej i z tamtej strony rzeki uwiązane do wielkich drzew.

Aczyńcy, widząc to, jeszcze i teraz chcieli przeszkodzić. Kilkudziesięciu z wielkim krzykiem, z klebanami w ręku, wypadło z zarośli, chcąc zarębać tych, co wiazali liny. Ale ledwie kilkanaście kroków zrobili, dwie armaty kartażami ich powitały. Zostawiwszy kilkunastu zabitych, w popłochu się cofnęli.

Jak tylko liny zostały umocowane, żołnierze zaczęli przechodzić, trzymając się jedną ręką liny. Pomimo prądu, który podrywał nogi, dostaliśmy się na drugą stronę prawie bez strat.

Mój bataljon opanował opuszczony meczet, z którego już tylko mury pozostały. Wszystko z drzewa spłonęło.

Znaleźliśmy cztery armaty rozbite, a sześć jeszcze w dobrym stanie. Pierwsze to armaty, które w tej ekspedycji widzimy, z ciekawością więc je oglądamy. Są one wszystkie bronzowe, średniego kalibru, noszą datę XVII-go wieku, wyrobu portugalskiego, prawdopodobnie kiedyś zrabowane z okrętów. Aczyńcy strzelali tylko kulami pełnemi, granatów nie mieli.

Jedenasty bataljon poszedł w pościg za uciekającymi Aczyńcami, a trzeci pozostał z tamtej strony rzeki; ma on zasłaniać kulisów i pośpiesznie budować most, aby można przeprowadzić artylerję i ambulansy i duże zapasy żywności i amunicji.

Jesteśmy wszyscy ogromnie wyczerpani. Cały dzień na słońcu, to też kilkunastu ludzi przyniesiono do ambulansu z porażeniem słonecznym. Trzech umarło w nocy. Były chwile, że i ja czułem takie uderzenia w skroniach, jakby młoteczką kto pukał, a to jest zły znak. Jednakże dzięki Bogu i to przeniosłem.

Noc niewiele nam spoczynku przyniosła. Nie będąc zabezpieczeni, стоимy wszyscy pod bronią, luzujemy się tylko, aby co zjeść i wypić,

bo część najkonieczniejszej żywności na trawach przeprawiono.

Straty Aczyńców muszą być bardzo znaczne. W samym meczecie i w pobliżu znaleźliśmy 180 zabitych. Ilu ich jeszcze zostało w zaroślach, nie wiemy, bo tam często padały szrapnele. Rannych wpadło w nasze ręce tylko kilkunastu.

Z naszej strony ogólnie w tym dniu straciliśmy trzech oficerów zabitych i siedmiu rannych, w tem jeden kapitan. Podoficerów i żołnierzy 32-ch zabitych i 83-ch rannych.

Noc przeszła spokojnie, chociaż było parę fałszywych alarmów i niepotrzebnych kilkaset strzałów, ale trudno się tego ustrzec. Od ostatniej rzezi 9-go bataljonu, żołnierz ogromnie jest zdenerwowany.

Upłynie parę tygodni i znowu obóz będzie urządzony, a przytem ma się budować dwa blokhauzy z tej i z tamtej strony rzeki. Dopiero potem zaczniemy z radzami prowadzić negocjacje, a jeżeli te się nie powiodą, zmuszać sąsiednie kampongi do uległości.

Dwie inne kolumny na wschodzie, z którymi jednak łączności nie mamy, także posuwały się naprzód, a tyły obecnie zabezpieczają blokhauzami.

Mówią, że na razie dalej się nie posuniemy i na tych zdobyczach zakończy się kampanja. Dałby Bóg, aby to najprędzej nastąpiło, bo już co prawda mam jej dosyć. Prawda, że mógłbym już powrócić na Jawę. Doktor mi to radził, bo bardzo źle wyglądam i opadłem z sił. Ale postanowiłem sobie, że powrócę wtedy, gdy rozkaz przyjdzie dla całego bataljonu. Wziąłem to sobie za punkt honoru. Bo jeżeli nasz major zawsze nazywał mnie „*brave Pool*“, to chciałem dowieść, że zasłużyłem na to.

Zawsze z usposobienia byłem bardzo wesoły i nie upadałem na duchu, nawet w najkrytyczniejszym położeniu, ale teraz, po utracie moich przyjaciół, smutno mi bardzo. Biedny Wrzosek po amputacji nogi zmarł w Kratonie. Zawsze sobie robię wyrzut, bo to ja głównie namówiłem go, aby wstąpił do wojska holenderskiego. On miał zamiar pozostać nadal w legjonie francuskim.

Od Van-Vina miałem list z Jawy. Ma się już zupełnie dobrze, ale jeszcze jest w szpitalu. Otrzyma emeryturę. Doktorzy uznali, że prawe ramię będzie ulegać pewnemu osłabieniu.

Jeszcze kilka miesięcy przeszło nam na ciągłych wycieczkach. Dużo wiosek się poddało, inne witały nas strzałami i zostały spalone. Poważniejszych starć już nie mieliśmy. Ale

pomimo to napadają na nasze transporty, jeżeli tylko nie są silnie strzeżone, to znowu podkradają się pod sam obóz i tych, którzy przez nieostrożność oddalają się, tną w kawałki.

Rozeszła się pogłoska, że 14-ty bataljon z Jawy ma nas zluzować. Kiedy to jednakże nastąpi, dotąd niewiadomo, a ja z każdym dniem czuję się gorzej i tylko wysiłkiem woli trzymam się na nogach.

Miałem wypadek. Będąc odkomenderowany z plutonem dla pilnowania kulisów, którzy wycinali drogę w lesie, zanadto zbliżyłem się do rąbiących i zostałem uderzony w głowę walącym się pinangiem. Metr bliżej, a byłbym zabity na miejscu. Szczęście, że dostałem samym czubkiem drzewa, które w tem miejscu nie jest zbyt twarde, a przytem uwieńczone liśćmi. Uderzenie jednakże było tak silne, że zważyło mnie z nóg. Straciłem przytomność. Odniesiony do ambulansu, kilka dni przeleżałem, a dłuższy jeszcze czas czułem ból w karku przy wykręcaniu głowy.

Przy każdym transporcie z Kratonu zawsze mamy kilku albo kilkunastu Chińczyków. Są to dobrowolni kramarze, którzy sprzedają żołnierzom w obozie wino, koniak, rozmaite słodczyce i papierosy. Podziwiać trzeba tych ludzi: życie swe narażają codziennie dla marnego

zarobku, bo każdy z nich, skoro wpadnie w ręce Aczyńców, jest w barbarzyński sposób mordowany.

Zdarza się często, że komendanci transportów niechętnie godzą się, aby Chińczycy przyłączali się do nich; jest to zawsze pewna odpowiedzialność.

Od paru dni nie było transportu; pięciu Chińczyków z towarem pragnęło się dostać do naszego obozu, a nie chcąc dłużej czekać, wybrali się sami z Kratonu. Podążając linją bentyngów, doszli do Senelop. Naraz zostali obskoczeni przez Aczyńców. Wszyscy pięciu zginęli w męczarniach.

Zdaje się, że prawdziwy pokój nigdy nie zapanuje. Dziesięć lat Holendrzy borykają się z tym rozbójniczym ludem, a żadnych pozytywnych rezultatów nie osiągnęli. Więcej ich ten Aczyn kosztuje, niż administracja całej kolonji. Nawet wtedy, kiedy wojska trzymają się tylko obronnie i nie posuwają się w głąb kraju, to załoga w Kratonie i w kilkudziesięciu blokhauzach liczy 5 tysięcy ludzi.

Co jest najuciążliwsze i kosztowne, to ciągle zastępowanie chorych nowemi siłami.

Nadszedł nareszcie kres naszych utrapień; 14-ty bataljon nas zluzował. Wracamy na Jawę do Samarang. Przechodzimy te wszystkie miej-

scowości, które z takim trudem zdobywaliśmy. Kolumna nasza posuwa się rażno, bo drogi już wszędzie powycinane. Po dwóch dniach stajemy w Kratonie, stąd kolejną do przystani, gdzie okręt czeka już na nas.

Nie zatrzymujemy się nigdzie. Przy pięknej pogodzie, po tygodniu, przyływamy do Samarangu. Tu nas przyjmuje całe miasto z wielkimi honorami. Wojska miejscowe z generałem Hofmortem na czele, oddają honory przepisane, muzyki grają marsze powitalne. Bataljon idzie plutonami, a na czele rozwinięta chorągiew, otoczona 33-ma ludźmi, do których i ja należę. To jest reszta z całego bataljonu, która przez 18 miesięcy ekspedycji nie opuściła sztandaru.

Przed miastem ustawiono bramę tryumfalną, na której są wypisane zdobyte pozycje. Panie europejskie zarzucają nas kwiatami. Na podwórzu koszarowem ustawiono wielkie namioty. Miasto wydaje wielki bankiet. Całą noc bawiono się, ucztowano, a muzyka grała ciągle.

W tych wszystkich zabawach nie brałem udziału: po pierwsze byłem nader osłabiony, a po drugie mój zacny przyjaciel Van-Vin, który już od dawna wyszedł ze służby i zajmował dobrą posadę w jednym z domów handlo-

wych, zabrał mnie do siebie. Witaliśmy się jak rodzeni bracia, bo przyjaźń nasza była tego rodzaju, że ani przestrzeń ani długie lata jej nie oziębiły.

Całą noc spędziliśmy na pogawędce, wspominając Wrzoska i Bendę, którzy na wieczne czasy spoczęli w tej ziemi niegościnnej.

Na drugi dzień cały bataljon podlegał lustracji lekarskiej. Z dawniejszych prawie wszystkich umieszczono w szpitalu dla wypoczynku i nabrania sił. Mnie, pomimo, że nie miałem wielkiej ochoty, zaliczono tam także. Resztę zwolniono na 8 dni od wszelkiej służby.

W Samarang jest wspaniały szpital z wszelkimi możliwymi wygodami. Nas tu nie traktowano jako chorych, nie dawano żadnych lekarstw, ale zalecano spokój i jaknajlepsze odżywianie.

Po dwutygodniowym prawdziwym wypoczynku, powróciłem do bataljonu, czując się o wiele lepiej na siłach.

Jakem już przedtem wspominał, Samarang nie zalicza się do zdrowotnych garnizonów, a przytem służby jest wiele, ale jako duże miasto, z liczną kolonją europejską, przedstawia więcej życia i różnorodności.

Poza służbą wszystkie chwile wolne spędzam u Van-Vina. Ma on śliczny dome-

czek, i tam na werandzie wesoło nam czas schodzi.

Od czasu powrotu z Aczynu coraz więcej zaczynam tęsknić za krajem i rodziną, i ciągle tylko myślę, aby jaknajprędzej ten czas zeszedł i wrócić do Europy.

Jest tu w Samarang gwardja narodowa, składająca się z cywilnych europejczyków i metysów. Dwa razy tygodniowo zbierają się na placu broni i odbywają ćwiczenia pod przewodnictwem naszych instruktorów, do których i ja należę. Ci gwardziści, są to przeważnie ludzie inteligentni i zamożni. Te parę godzin ćwiczeń sprawiają nam prawdziwą zabawkę, takie to wszystko niezgrabne w ruchach. A przytem, nieprzyzwyczajeni do żadnego wysiłku fizycznego, strasznie się pocą i stękają pod karabinem, pomimo, że się jak najogłędniej z niemi postępuje. Za tę dodatkową służbę miasto nas hojnie wynagradza.

W każdym większem mieście na Jawie, a więc i w Samarang, trzymają w klatkach po kilka tygrysów, które są przeznaczone do walki z bawołami. Te zabawy odbywają się kilka razy do roku przy udziale najwyższych władz krajowych i europejskich.

Urządzają rodzaj areny, otoczonej płotem z ludzi, sprowadzonych do tego z okolic. Kilka

tysięcy Jawańczyków uzbrojonych w lance otacza arenę w cztery rzędy; dwa pierwsze klęczą, ostatnie stoją. W ten sposób jest to mur ludzki, najeżony od dołu do góry lancami. Nad tem dominują trybuny dla władz i europejczyków.

Kiedy już wszystko gotowe, przy dźwiękach tam-tamów wprowadzają wspaniałego bawoła. Rogi ma złocone. Kilku ludzi wnosi klatkę z tygrysem. Na znak dany ludzie cofają się, a pozostaje jeden tylko, uzbrojony krysem.

Bawoł, puszczony luzem, przeczuwa nieprzyjaciela, bo chrapie i nogami ziemię wyrzuca. Naraz człowiek otwiera klatkę i sam cofa się tyłem.

Najczęściej zdarza się, że tygrys uwolniony na razie nie zwraca uwagi na bawoła, a lata koło areny i szuka sposobu wyjścia, ale powitany wszędzie krzykiem, zwraca się na środek areny i zaczyna walkę z bawołem, która najczęściej fatalnie się dla niego kończy.

Zdawać się może nieprawdopodobne, aby taki wspaniały tygrys nie mógł poradzić bawołowi, ale trzeba wziąć pod uwagę, że ten biedny tygrys kilka miesięcy lub dłużej przesiedział w klatce, źle i niedostatecznie odżywiany, a więc stracił swą wrodzoną siłę i elasty-

czność, bawół zaś jest dobrany z najpiękniejszych okazów.

Gdyby jednak, co się rzadko zdarza, tygrys zdusił bawoła, to lud jest bardzo zasmucony i przepowiada klęski. I ja raz byłem na podobnej zabawie, ale chociaż ostatecznie bawół zabił tygrysa, sam jednak doznał takich obrażeń, że krew lała mu się z boków i karku i gdyby był nie rzucił się na ziemię i ciężarem swym nie przydusił tygrysa, to kto wie, czy tygrys nie byłby zwycięzcą.

Od paru miesięcy mam służbę niezależną. Odkomenderowano mnie do żandarmerji polowej. Mieszkam osobno na mieście i dostałem dobrego konia. Wprawdzie dla mnie trochę za mały, ale silny i wyjątkowo łagodny, jak na konia australskiego. Służba moja polega na transportowaniu więźniów wojskowych, wysyłanych do bataljonów karnych. Nieraz po parę tygodni jestem w drodze, z czego jestem bardzo zadowolony. Tym sposobem zwiedzam miejscowości nieznanne.

Zwiedziłem duże miasta Surakarte i Dżozakarte, dokąd dochodzi kolej żelazna. W bliskości ostatniego znajduje się świątynia Borobodo. Są to olbrzymie ruiny, wobec których niczem są piramidy egipskie. Świadczą one o zdumiewającej cywilizacji dawniejszej.

Bujna roślinność zwrotnikowa rozsadza mury, ale co jeszcze pozostało, ogromem swoim i dokładnością rzeźb w kamieniu, wzbudza podziw w europejczyku.

Z Dżodżakarte odbyłem podróż konno aż do Navi, 7 dni drogi. Wsie wszędzie piękne, znać dobrobyt. Ale w tej części Jawy znajdują się wielkie lasy i dżungle. Mieszkańcy wiosek często spotykają się z tygrysem, który wyrządza duże szkody i nierzadko napada nawet na ludzi. W tych stronach po zachodzie słońca nikt nie odważy się udać w drogę bez wielkich pochodni, które buchają dużym płomieniem. Jest to najlepszy środek odstraszenia tygrysa.

W jednej z moich podróży po odprowadzeniu więźni do fortu Navi, powracając etapami od Dżodżakarte, z powodu ogromnych upałów postanowiłem nocą przebyć przestrzeń 20 kilometrów, bo cokolwiekbądź noce są zawsze chłodniejsze.

Gdym wyjeżdżał ze wsi, uprzedził mnie kapłan-kanpong, że okolice są niepewne, i proponował mi kilku ludzi z pochodniami. Ale nie przywiązywałem wielkiej wagi do tych ostrzeżeń, bo jawańczycy w swojej wyobraźni widzą wszędzie tygrysy, a ja, pomimo kilku lat przebycia na Jawie, nigdy ich inaczej nie widziałem,

jak w klatce. Zresztą, miałem pięciu ludzi uzbrojonych ze sobą.

Jedziemy doskonałą szosą, która przecina zarośla. Z jednej i drugiej strony widać kępy bambusowe. Upojeni miłem ciepłem powietrzem (było to już nad ranem przy jasnym księżycu), drzemiemy wszyscy na koniach. Naraz czuję, że koń mój stanął jak wryty. To raptowne wstrzymanie obudziło mnie.

Koń strzyże uszami i okazuje niepokój. Poklepawszy go, oglądam się za moimi ludźmi, którzy, także drzemiąc, rozciągnęli się na pewnej przestrzeni. Kiedy się zrównali ze mną, sformowawszy się, jeden koło drugiego, ruszamy przed siebie. Konie są niespokojne, ale, poskromione ostrogą i czując się w towarzystwie, idą śmiało.

My bacznie się rozglądamy na wszystkie strony, aż tu może nie dalej, niż o jakie 50 metrów od szosy z kępy bambusów ukazuje się tygrys: drepcząc niewielkim kłusem, przesadza rów szosowy i ogląda się w naszą stronę.

Zatrzymuje się, i następnie, nie śpiesząc bardzo, przesadza drugi rów i znika w sąsiednich bambusach.

Konie nasze tak się zbiły jeden do drugiego, że aż nogi nam pościskały. Trzymając rewolwery w ręku, nie daliśmy ani jednego strzału, chociaż była chwila, że można było strzelać.

Ale, pomimo że kaliber naszych rewolwerów jest duży, jednakże nie jest to broń na tygrysa. A zresztą, co to za strzał, gdy konie się kręcą i ledwie je można utrzymać.

Puściwszy lejce koniom, przelecieliśmy z kilometr szalonym galopem i dopiero się uspokoiły.

Z całej tej przygody przyszedłem do przekonania, że ani my, ani też tygrys, z blizka nie chcieliśmy się spotkać, ale przynajmniej teraz mogę powiedzieć, że widziałem tygrysa na swobodzie.

Parę tygodni nie byłem w Samarang. Otóż, ledwieśmy wjechali w granice miasta, dowiedziałem się, że panuje cholera. Oddawszy konia człowiekowi, biegnę do koszar i następnie dowiaduję się, że kilku dobrze mi znajomych już pochowano.

Szpital przepełniony. Codziennie po kilkunastu ludzi umiera. Na wszystkich znać przysięgę. Pomimo środków zaradczych, zaraza szerzy się gwałtownie. Nikt nie jest pewny jutra.

Z każdym dniem więcej chorych zapada; w całym mieście żałoba. Sklepy pozamykane, ruch na ulicach ustał; dochodzi do tego, że jak się nie widzi którego ze znajomych dzień lub dwa, to już nie śmie się o nich pytać, aby nie usłyszeć, że już pochowany.

To nie ta europejska cholera, gdzie duży procent z niej wychodzi. Tutaj, kto zapadnie, to już śmierć pewna. Wszystkie środki są bezsilne; cała choroba trwa kilkanaście albo nawet kilka godzin.

Mieliśmy tu kółko dramatyczne, do którego i ja należałem; było nas piętnastu, prawie sami Francuzi. Grywano małe sztuczki od czasu do czasu na rozmaite cele dobroczynne. Otóż z całej tej grupy po dwóch tygodniach zostało nas sześciu.

Żadna wojna, żadne niebezpieczeństwo nie zgnębi tak, jak ta straszna choroba. Każdy chciałby się rozerwać, zapomnieć choć na chwilę o tej smutnej rzeczywistości. Ja wogóle nigdy nie piłem za wiele mocnych trunków, ale w tym czasie piłem jak inni, a pomimo to nie można się było rozweselić.

Nie zapomnę nigdy, jak zaprosiłem kilku znajomych do siebie na karty. Między innymi był Francuz, Lafont, miły i wesoły towarzysz. Cały czas pokpiwał sobie z cholery, Zawsze wypytywał, czy młoda? czy ładna? Zawsze w wesołym usposobieniu i z niczego sobie nic nie robił.

Siedząc przy stole, popijając koniak (gra nawet była dosyć ożywiona), naraz spostrzegam, że Lafont, który siedzi vis-à-vis mnie,

przestaje pić i gra z nieuwagą. Zaczynamy z niego podrwiwać, ale spostrzegam, że twarz zaczyna mu się zmieniać. Po cichu komunikuję to siedzącemu obok koledze, a on potwierdza moje spostrzeżenie. Wlewam mu do kieliszka kilkanaście kropli chlorodyny. Wypił, powiada: „to głupstwo“ i gra dalej. Wszyscy już jesteśmy tem przygnębieni. Po chwili rzuca karty i zrywa się, mówiąc: „źle się czuję — i do mnie cholera się bierze, ale ja się jej tak łatwo nie dam“.

Z mojej kwatery jest paręset metrów do szpitala wojskowego. Chcemy go prowadzić pod rękę, ale sam idzie, siląc się na żarty. Wchodzimy: jest pomoc, bo dzień i noc kilku doktorów dyżuruje.

Doktor, który obejrzał Lafonta, polecił go umieścić na sali. Zwróciłem uwagę, że jak go oglądał, to go uszczypnął i podniósł skórę na rękę.

Wziąwszy doktora na bok, zapytuję, jak go znajduje? Krótka odpowiedź:

— Zgubiony!

To coś okropnego! Nie mogę się tak z nim rozstać. Idę na salę. Siadam koło niego. Bierze mnie za rękę i z pół godziny jeszcze rozmawiamy.

Zapytuję, czy bardzo cierpi? Odpowiada, że nie.

Niema zupełnie zwykłych symptomatów cholerycznych, a jednak rysy mu się zmieniły, skóra nabrała koloru trupiego. Po chwili mówi, że czuje wielkie osłabienie i senność. „Będę spał!“ Ścisną mnie za rękę. „Przyjdź jutro“.

Na drugi dzień raniutko biegnę do szpitala i na wstępie słyszę, że zmarł o 5-ej rano. Cała choroba trwała 7 godzin.

To straszne!... i to teraz, kiedy przeszedłszy ciężką ekspedycję i wyszedłszy z niej cało, codzień liczę, aby jaknajprędzej powrócić do kraju, a tu nieprzyjaciół groźniejszy, niż wszyscy Aczyńcy. I niema sposobu się bronić.

Jednakże i to przeszedłem obronną ręką. Opatrzność czuwała nademną, a może modlitwy mojej ukochanej matki ustrzegły mnie od zaguby, bo ona biedaczka tak bardzo pragnęła mego powrotu.

Po miesiącu epidemja zaczęła słabnąć i wkrótce ustała.

Straty w naszym bataljonie ogromne. Prawie $\frac{1}{3}$ żołnierzy i 9 oficerów.

O ludności miejscowej i Chińczykach niema już co mówić, gdyż zabierano ich wozami.

Ostatnie kilka miesięcy w Samarangu przechodzą mi ciężko. Nie jestem chory, a jednak czuję się źle. Nie mogę sobie zdać sprawy z mego stanu. Wszystko mnie nudzi i męczy, nawet ta urocza Jawa stała mi się obojętna. Jedna myśl we mnie nurtuje: powrócić do kraju za jaką bądź cenę.

U Van-Vina, jak zawsze, przepędzam wolne chwile, ale on obecnie pochłonięty miłością. Zakochał się w młodej, bardzo urodziwej kreolce, wkrótce ma być ślub.

Nakoniec nadchodzi dzień tak upragniony i pomimo, że major chce mnie koniecznie zatrzymać na służbie i proponuje mi nawet stopień adjutanta i stosunkowo wysokie wynagrodzenie, za nic zgodzić się nie chcę. Dziękuję za wszystko i o paszport proszę.

Za kilka dni mam opuścić Samarang. Wszystko już gotowe do wyjazdu, aż tu nadchodzi depesza z Europy, że Anglicy prowadzą wojnę w Egipcie i że kanał Suezki zamknięty.

Co tu robić? Bóg wie, jak długo to może potrwać. Nie namyślając się, proszę o wysłanie zagłowcem naokoło przylądka Dobrej Nadziei. Zamiast 40-u dni drogi, będę miał cztery miesiące, a może nawet dłużej.

Van-Vin mnie powstrzymuje, nazywając to niedorzecznością, ale ja nie chcę słuchać, czuję bowiem, że pozostanie tu dłużej w niepewności doprowadzi mnie do jakiegoś szaleństwa.

Dzień już wyznaczony: jadę żaglowcem. Aż tu przed dniem wyjazdu zawiadamiają, że wskutek interwencji całej Europy, która ponosi nieobliczalne straty, kanał został otwarty. Można sobie wyobrazić moją radość.

Ostatnią noc na Jawie przepędziłem z Van-Vinem. Nadzwyczaj rzewne było nasze pożegnanie, bo pomimo projektów, że się jeszcze zobaczymy, że on odwiedzi Europę i naturalnie będzie u mnie, czujemy, że to pożegnanie jest ostatnie.

Kilka lat po powrocie moim do kraju, utrzymywaliśmy korespondencję, potem i to ustało. Nie odbierałem odpowiedzi na listy. Przypuszczam, że nie żyje.

Okręt, którym wracam do Europy, jest jednym z największych. Nazwę nosi „Princes Wilhelmina“; podróżni przeważnie Holendrzy, cudzoziemców jest kilkunastu, wszystko to chorzy, a wśród nich paru takich, co pewnie nie dojadą do Europy.

Takich, jak ja, co skończyli służbę, jest tylko kilku, reszta — to emerytowani wskutek

chorób. Oficerowie zaś jadą do Europy z dwuletnim urlopem i z pół pensją dla poratowania zdrowia.

Na okręcie, pomimo że jesteśmy we wszystko należycie zaopatrzeni, panuje przygnębienie, brak humoru. Każdy tylko myśli, aby jaknajprędzej dostać się do lądu.

Pomału znika nam z oczu piękna Sumatra, mijamy małe wysypki, całe zielenią pokryte.

Cała podróż aż do Adenu odbywa się przy sprzyjającej pogodzie, za to morze Czerwone daje się nam we znaki. Prawie ciągle musimy siedzieć w kajutach, bałwany przelatują przez pomost.

Czwartego dnia po opuszczeniu Adenu na pełnem morzu zmarł jeden z żołnierzy. Był to młodzieniec dwudziestoparoletni, Holender. Stracił zdrowie w Aczynie, febry go zabiły.

Na lądzie nad faktem takim nikt się nie zastanawia i jest bolesny chyba dla najbliższych, tutaj zaś przeciwnie, wszyscy są zmarwieni, jakby kto umarł z rodziny.

Pogrzeb, to jest wrzucanie do morza, odbywa się bardzo uroczyście. Na okręcie nie mamy księdza, ani pastora, zastępuje ich kapitan okrętowy. Zwłoki, zaszyte w płótno żaglowe (u nóg wkładają dużą kulę żelazną), cztery

majtkowie wynoszą okryte kolorami holenderskimi. Po spisaniu protokołu i podpisaniu przez świadków, kapitan z książki intonuje psalmy, odmawia modlitwę i żegna zwłoki serdecznem przemówieniem. Trzy razy zwłoki obnoszą koło wielkiego masztu; wszyscy bez wyjątku pasażerowie i załoga towarzyszą. Dzwon wielki raz po raz uderza, a czarna flaga powiewa na pół masztu. Na komendę maszyna staje, okręt się jeszcze posuwa tylko siłą rozmachu. Majtkowie, niosący zwłoki, zbliżają się do burty i tu, po ostatniem błogosławieństwie, schylają nosze. Zwłoki wysuwają się z pod osłony i wpadają w przepaść.

Jeszcze kilka dni, i wpływamy w kanał Suezki. Jesteśmy w połowie grudnia. Tam na północy pewno dobre mrozy i śniegi, a tu spacerujemy po pomoście prawie nieubrani, a i tak pot się leje.

W Port Saidzie nie wysiadam na ląd, nie czuję się dobrze.

Podróż mnie męczy jak nigdy. Wysyłam tylko listy do Van-Vina.

Wjeżdżamy na morze Śródziemne. Po paru dniach zaczyna być chłodno. Wiatr z zimnym deszczem nie pozwala nam siedzieć na pomoście. Wszyscy już ubraliśmy się w sukienne ubrania.

Morze ciągle wzburzone. Dowiaduję się od kapitana, że jedziemy prosto do Marsylji. Pierwszy ląd europejski, to Sycylja. Przejeżdżamy bardzo blisko, ale jakież zdziwienie nasze! Cała wyspa bieli się od śniegu. Mijamy ją, i przez cieśninę św. Bonifacego, to jest między Sardinją a Korsyką, gdzie także śnieg się bieli, zbliżamy się do Marsylji.

Chłodno ciągle. Dla nas, cośmy odzwyczaili się od zimna, a przytem nie mamy ciepłych ubrań, położenie ciężkie. Dzwonimy po prostu zębami.

Przed wejściem do portu władze sanitarne zatrzymują nas i jako podejrzanych, kierują na małą wysepkę dla odbycia kwarantanny. Nie pomagają protesty, że na okręcie nie zaszedł żaden wypadek cholery.

Na wysepce, oddalonej ze dwa kilometry od Marsylji, oprócz baraków nic niema.

Po czterodniowym pobycie pozwolono nam wjechać do portu. Marsylję znam oddawna, niejednokrotnie tu byłem. Zawsze wydawała mi się wesołym miastem, ale teraz się nią nie zachwycam, co jest dowodem mego usposobienia, a przytem pora jest okropna. Zimno, deszcz ze śniegiem tnie w twarz. Cały dzień przepędziliśmy w kawiarni, przy żelaznym piecyku.

Musiałem tu załatwić parę sprawunków, a przede wszystkim nabyć ciepłe palto, bo w moim szyneliku zimno fatalnie. Proszę sobie wyobrazić, że w całej Marsylii gotowego ciepłego palta nie znalazłem. Musiałem się zadowolić okryciem z syberyny, takim, jakie noszą u nas w jesieni. Kupiłem więc sobie jeszcze szal i tak opatulony, nie bardzo po wojskowemu wyglądałem.

Z Marsylii z chęcią pojechałbym koleją do Holandji, bo już dosyć miałem tej morskiej podróży, tembardziej, będąc niezdrów. Ale podróż tę musiałbym odbyć na własny koszt, a tego ponieść nie chciałem.

Dalszą podróż przez Gibraltar ciągle odbywamy przy wzburzonym morzu. Na oceanie Atlantyckim zimno przejmujące. Pomimo, że jesteśmy przy brzegach Portugalji w zatoce Biskajskiej, nie można pokazać się na pomoście. Bałwany przelatują przez wierzch.

Ostatnią wigilję Bożego Narodzenia smutnie bardzo spędziłem. Myślą byłem daleko, z tymi, którzy mi byli najdrożsi i do których resztką sił zdążałem.

Przeplłynąwszy szczęśliwie kanał La Manche, zbliżamy się do Holandji. Tu już mróz potężny. Cały okręt oblepiony lodem. Płyniemy

kilka godzin kanałem Holenderskim i oto Amsterdam!

Powietrze jest tak ostre, że oddychając, sprawia mi to ból w piersiach. Tak tęskniłem za śniegiem i mrozem, nie przewidując, że może mnie to do łóżka położyć.

Z Amsterdamu koleją udaję się do Hardevyk, skąd wysyłam telegram do kraju, donosząc o szczęśliwym mojem przybyciu.

Po załatwieniu formalności, otrzymawszy paszport i pieniądze na drogę, nie tracąc ani jednego dnia, przez Hanower, Berlin, jadę do Poznania, gdzie spodziewam się zastać rodziców i brata, którzy mieli wyjechać na moje spotkanie.

Nie znając Poznania, chociaż wiem, że nazwa hotelu nic nie oznacza, wybieram jednak Hotel Francuski. Trafiłem, jak można najlepiej. Nie zastaję rodziców, lecz tylko list, w którym donoszą, abym ich czekał.

Tutaj, w hotelu, zwracam na siebie uwagę uniformem holenderskim, a także moim chorobliwym wyglądem. Przyjechałem tu w sam karnawał 1883 roku. Zostałem wszystkich rozbawionych. Hotel przepełniony zamożną szlachtą z okolic. W tym czasie nie było prześladowań pruskich. Właściciel hotelu, p. Luziński, zapoznał mnie z kilku obywatelami;

wszyscy—byli oficerowie pruscy. Zapamiętałem sobie szczególnie jednego, który nadzwyczajnie podobny był do Napoleona III-go. Wszyscy go nazywali Napoleonem. Polak z krwi i kości, odbył kampanję w 1870 roku w randze kapitana, był ranny i ozdobiony krzyżem żelaznym. Zapoznawszy się ze mną przez p. Luzińskiego, wciągnął mnie w towarzystwo oficerów, stojących garnizonem w Poznaniu, między którymi poznałem jednego, który odbył oblężenie Belfortu.

Ci panowie silili się, aby mnie rozerwać i zabawić, pomimo, że, o ile wypadało, usuwałem się od tych wesołych kompanjonów; nieraz jednak zmuszony byłem podzielać ich zabawy, co jeszcze gorzej odbiło się na moim stanie zdrowia. A tu, jak na złość, przyjazd rodziców opóźniał się.

Poznałem także dr. Wicherkiewicza. W tych wspomnieniach poczuwam się do miłego i serdecznego obowiązku, aby mu wyrazić najwyższą wdzięczność za doznaną serdeczną opiekę. Poznawszy się ze mną i widząc zły stan mego zdrowia, prawie przemocą zabrał mnie z hotelu do swojej lecznicy (w tym czasie już dr. Wicherkiewicz był słynnym okulistą) i nietylko że sam mnie leczył, ale, nie polegając na swej wiedzy, wezwał wybitnego doktora

specjalistę od chorób piersiowych. Pod taką serdeczną opieką pozostawałem z 10 dni, aż do przyjazdu rodziców. Przy pożegnaniu za nic w świecie nie chciał przyjąć żadnego honorarium. To serdeczne zajęcie się mną wynikało po części z tego, że dr. Wicherkiewicz miał rodzonego brata na Jawie, który, poznawszy się u wód europejskich z córką pułkownika wojsk holenderskich, ożenił się z nią, objął posadę aptekarza wojskowego na Jawie i tam stale przebywał.

Nareszcie odbieram upragniony telegram. Rodzice przyjeżdżają. Doktor za nic nie pozwala mi jechać na dworzec, bo mróz jest 18-stopniowy. Nie mogę jednak wytrzymać. Kiedy nadchodzi godzina, po cichu skradam się tylnymi schodami, nic nie mówiąc nikomu, wskakuję w pierwszą dorożkę i pędzę na kolej.

Spóźniłem się. Zapewne w drodze minąłem się z rodzicami. Każę się wieść do hotelu, zapytuję szwajcara, czy tacy państwo z Warszawy przyjechali. Na jego twierdzącą odpowiedź biegnę na górę. Tu już tchu i sił zupełnie mi zabrakło.

Otwieram drzwi i wpadam w objęcia ukochanych rodziców i brata.

Tej sceny nie silę się nawet opisać. Pamiętam tylko, jak przytulony do mej drogiej matki, długo bez słowa patrzyliśmy na siebie, a łzy radości i niewypowiedzianego szczęścia spływały nam po licach.

Rodziców zastałem pochylonych wiekiem, ale w pełnym zdrowiu. Ojciec jeszcze pełen energji. Brat, którego zostawiłem dzieckiem, dziś młodzieniec dwudziestokilkoletni, wyrósł jak dąb. Gdyby był Francuzem, służyłby w stu-gwardzi-
stach Napoleońskich.

Po kilku dniach pobytu rodziców w Poznaniu, razem już z nimi powracam do Warszawy.

Na tem kończę moje opowiadanie.





12617 /
1